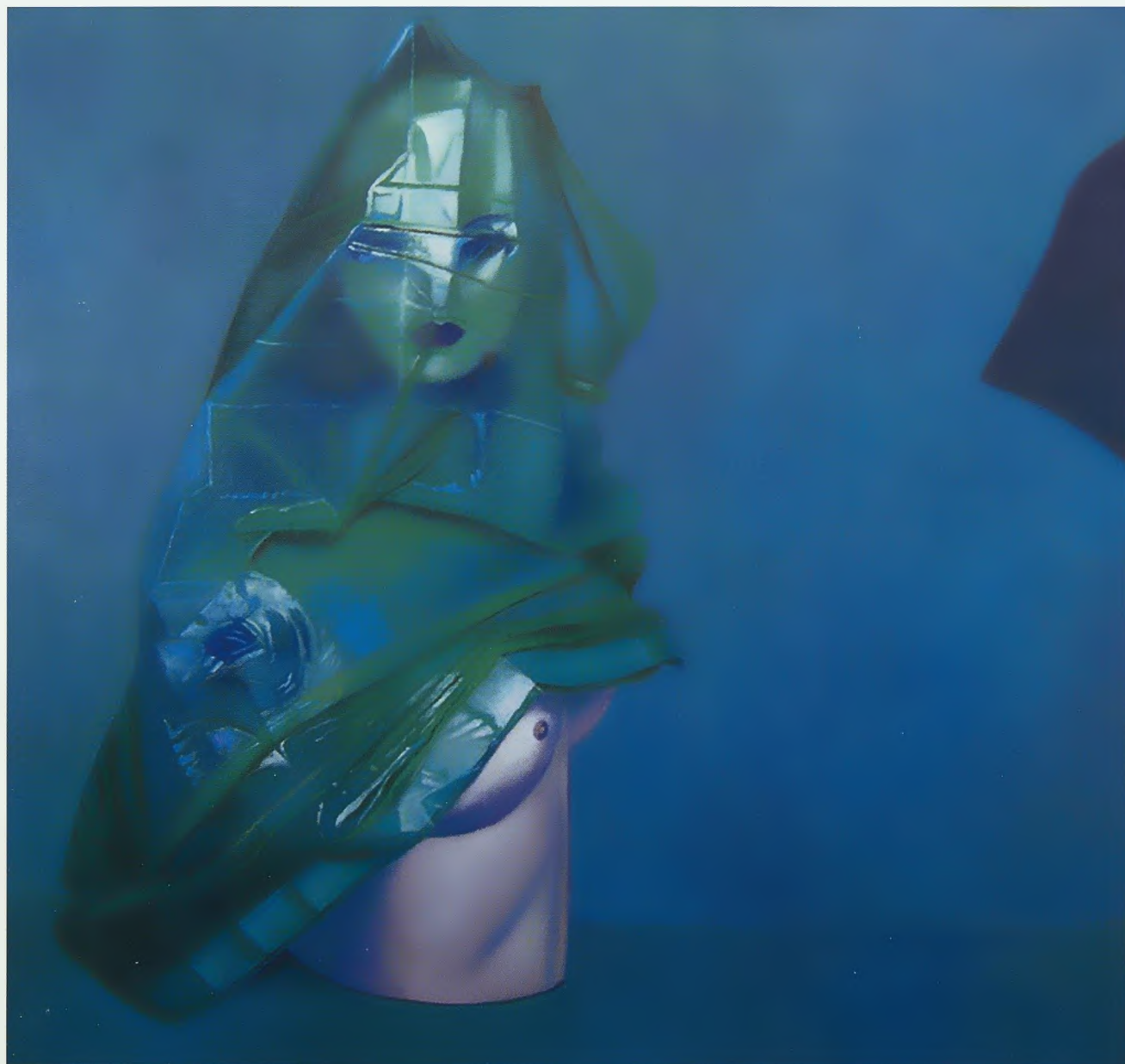


MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK



CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 11 (302) • ROK XXVI • LISTOPAD 2020



PRZEMIJANIE  
PAMIĘĆ  
TRWANIE



## Od Redaktora

Mija właśnie **dwudziesta piąta rocznica** edycji pierwszego numeru miesięcznika społeczno kulturalnego „Śląsk”, opublikowanego w **listopadzie 1995 roku**. Przez ćwierć wieku pismo erygowane przez **Tadeusza Kijonkę** starało się reprezentować, premiować, dopominać o istotne dla kultury naszego regionu sprawy. Przywołując fragment artykułu programowego pióra pierwszego naczelnego redaktora z historycznym dziś już tytułem „*Po pierwsze: Śląsk*” warto przypomnieć jego słowa, iż pismo wino prezentować, cyt.: „*istotne dla stanu psychoz zbiorowych i niepokojów obszarów i diagnozy społeczne*”.

Co więcej, zaznaczył On wówczas bardzo dobitnie, cyt.: „*A więc po pierwsze – Śląsk... z punktu widzenia polskiej racji stanu. Z tych jednakże pozycji, które nawiązują do tego, co wartościowe i godne podjęcia w wielokulturowej tradycji macierzystego obszaru, lecz nie za cenę mistyfikowania historii, fałszywego ekuumenizmu i doraźnych usług*”.

Historyczny skład pierwszego zespołu redakcyjnego inicjującego wieloletnią działalność periodyku, składał się z powszechnie dziś znanych, ważnych dla funkcjonowania środowiska osób: Feliksa **Netza**, Wiesławy **Konopelskiej**, Krzysztofa **Karwata**, Mariana **Kisiela**, Jana F. **Lewandowskiego**, Wojciecha **Łuki** i Mirosława **Korbiela**. Redakcja podziękowała także istotnym dla powstania czasopisma osobistościom ówczesnej ogólnopolskiej i regionalnej polityki.

Poza wypowiedzią Tadeusza Kijonki i członków redakcji numer zainicjowany został tekstami m. in.: prof. Henryka **Markiewicza**, Kazimierza **Kutza**, Tadeusza **Różewicza**, Juliana **Kornhausera**, Marii **Korusiewicz**, Janusza **Stycznia**, Aleksandra **Widery**, Seweryna A. **Wisłockiego**, profesorów Jacka **Wodza**, Marka S. **Szczepeńskiego** i wielu innych znakomitości. W ówczesnym Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” liczyliśmy z inspiracji Tadeusza Kijonki potencjalne koszty

produkcji takiego miesięcznika, którymi to kalkulacjami i kwotami „mobilizował” później potencjalnych sponsorów do sfinansowania realizacji owego projektu.

Niestety, nie wszyscy z grona inicjatorów i współpracowników tworzących początek historii miesięcznika doczekali jubileuszu jego ćwierćwiecza. W listopadzie, tym miesiącu szczególnym dla kultywowania pamięci o tych którzy odeszli, warto z zadumą i szacunkiem wspomnieć postać założyciela czasopisma, i także m. in.: Michała Smolorza, Barbarę Porembę Wolkową, Antoniego Halora, Jana Rusnoka, Edmunda Wojnarowskiego i wielu, wielu innych.

Rzeczywistość społeczna nie jest niezmienna, po upływie wielu lat od pamiętnego listopada, miesięcznik towarzyszy i dokumentuje procesy jakie dotykają współczesne środowiska artystyczne, kulturalne, kręgi twórców, działaczy i badaczy kultury. Jesteśmy świadkami głębokich kontrowersji – nie tylko politycznych – ale, przede wszystkim obyczajowych i gruntownych przemian społecznych, zmian technologicznych jakie zachodzą w tych-żnów niestety – burzliwych czasach.

Młode i najmłodsze pokolenia z impetem wkraczają we współczesność, ograniczane rygorami szerzącej się pandemii bezwzględnie domagają się respektowania swoich praw i potrzeb. Prawem każdego pokolenia wkraczającego w dorosłość jest bunt i wołanie o wprowadzenie historycznych zmian. Z dziejów kultury wiemy jak ważne jest w epokach „burz i naporów” zachowanie ciągłości i kontynuacji w kulturze. Negacja starych symboli zwiertających hierarchii wartości i konieczne zastępowanie ich nowymi, odmiennymi jest – budzącym najczęściej sprzeciw „konserwatystów” – szlachetnym działaniem kulturotwórczym; lecz czyniona **wyłącznie** dewastacja i profanacja pomników w tym i tych symbolizujących sacrum jest **barbarzyństwem**

w każdej kulturze, tej tradycyjnej (dawniej mówiono pierwotnej) jak i tej – nowoczesnej. Ewolucja hierarchii wartości, manifestacja potrzeby zmiany form języka i jego komunikacyjnej efektywności – realizowana wyłącznie przez jego **brutalizację i wulgaryzację nie jest kreatywna**, może być wyrazem bezsily, słabości, dotarcia do granic słowa i czynu lub beznaędziejnej determinacji tych, którzy ją użytkują dla swoich potrzeb. Historia uczy także, że agresja słowna jest zazwyczaj wstępem do fizycznej konfrontacji.

Jeśli te i inne, tu nie wymienione negatywne procesy wsparte zostaną jeszcze swoistą hipokryzją elit sprawnie **podmieniających znaczenia słów** zastępując dotychczasowe „dosadne” i wyraziste określenia typu manipulacja, kłamstwo, szyderstwo – „obojętymi” pojęciami w stylu: marketing polityczny, spin doctor, fake news, komunikacja face to face, wzmacniane wieloma innymi tendencjami manifestującymi się w społecznej etyce i moralności, estetyce – możemy spodziewać się jako ostatecznego efektu tych procesów – narastania **postępującego kryzysu w kulturze**.

Zapobiec mu mogą bezkompromisowi, kreatywni, twórcy, postrzegający otaczającą ich rzeczywistość zarówno w synchronicznej jak i diachronicznej perspektywie, korzystający ze współczesnych środków i technik komunikacji, mądrzy wiedzą i tradycją całego dorobku kultury narodowej i europejskiej: twórcy, naukowcy, nauczyciele, przedstawiciele zawodów służebnych wobec społeczeństwa: inżynierowie, lekarze i inni, czyli ta grupa społeczna, która kiedyś, potocznie, a dziś nieco anachronicznie nazywana była – inteligencją.

„Śląsk” był w intencji jego animatora, a współcześnie jest – forum dla tych, którzy ośmielają się myśleć niekonwencjonalnie, nie stadnie (*sapere aude*).

Tadeusz Sierny



**Lot**

wszystko jest możliwe  
– ptaki wiedzą to najlepiej  
nie zważają na resztki brudnego śniegu  
pod murami kamienic,  
coraz radośniej budzą mnie o świcie  
„chodź, pofruń z nami”  
chciałbym wzlecieć bardzo wysoko  
poczuć powiew wiosennego powietrza  
w moich skrzydłach  
słońce i ja  
nie grozi mi los Ikara  
szaleństwo pędu  
przepełnione powietrzem płuca  
radość ze spotkania  
z nieświadomym  
kogo niebo przeznaczy mi na towarzysza lotów  
jaskółkę? sokoła? albatrosa?  
czyje dzioby i miękkość puchu  
ochronią mnie przed bezkresem,  
przed nieznanym?  
będą przesłaniać mi widok ziemi  
albo blask wiosennego nieba?  
wypełnią cały mój podniebny świat  
i dadzą radość  
lotu i wolności?  
kto bezpiecznie zabierze mnie do gniazda  
po spełnionej rozkoszy wlotu?  
ktokolwiek to będzie – uczyni słusznie  
roztropnie i mądrze  
kto mi skrzydeł użyczy?  
a wówczas wszystko tam na dole  
straci swoją wyrazistość  
nic nie uszczęśliwi  
nic nie pograży  
dobrze

# Pandemia magistra vitae est?

Z prof. GRZEGORZEM FRANCUZEM rozmawia PIOTR SKOWRONEK

## Czy filozofia może pomóc nam w radzeniu sobie z pandemią?

Dla mnie jest oczywiste, że filozofia może pomóc w radzeniu sobie z pandemią, bo generalnie filozofia jest narzędziem, które pomaga nam w życiu. To, w jaki sposób my ujmujemy świat i samych siebie, czyli to jaką mamy filozofię decyduje o tym, w jaki sposób my w tym świecie jesteśmy, radzimy sobie w nim i go interpretujemy. To ma znaczenie, dla naszej psychiki, dla emocji i w ogóle dla naszego zdrowia. Powiedziałbym, że sposób pojmowania rzeczywistości jest kluczowy dla szeroko pojmowanego zdrowia – a to właśnie jest filozofia.

Filozofia postrzega świat w sposób nieroszczeniowy. To znaczy, że patrząc na zjawiska wokół nas, dostrzegamy te procesy, zjawiska i te zachowania ludzi, które istnieją od zarania rodzaju ludzkiego. Twierdzi się, że filozofia rodzi się ze zdziwienia, ale z drugiej strony filozof się nie dziwi biegowi wypadków, a przede wszystkim nie wpada w panikę itp., bo widzi, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego pod słońcem. Tak pouczra nasz zwłaszcza filozofia klasyczna, która wywodzi się ze starożytności i wbrew pozorom nie traci swojej aktualności.

Szczerze powiedziawszy świat zawsze był dynamiczny, w ruchu, zawsze ludzie się rodzili i umierali, a w ich życiu były problemy i wyzwania. Nic nowego. Jedynym sposobem na to, jak my sobie poradzimy z tymi problemami jest przyjęcie właściwego stanowiska wobec tego, co się dzieje. Powinniśmy postawić sobie zatem pytanie podstawowe – na co mamy wpływ na świecie? Gdzie i czym możemy znaleźć spokój i źródło mądrości? W filozofii chodzi bowiem o mądrość. To są pytania, które właściwie pojawiają się już w starożytności u stoików i innych myślicieli.

## I jaką dali odpowiedź?

Przede wszystkim mamy wpływ na to, jak my ten świat pojmujemy, jak go widzimy, jak go interpretujemy. I dopiero wtedy, kiedy jesteśmy w stanie określić na co mamy wpływ, a na co wpływu nie mamy, możemy uzyskać pewien rodzaj spokoju wewnętrznego. W moim mniemaniu filozofia klasyczna jest właśnie drogą do uzyskania takiego stanu, do stanu harmonii z sobą i kosmosem. **Jednak pandemia poruszyła w nas struny, które budzą lęki, zagrożenie, obawy o to, że nie poradzimy sobie z rzeczywistością, która nas otacza.**

Jeżeli przyjrzymy się naszej historii, dziejom ludzkości, światu, to zagrożenie istniało od zawsze. Lęki i obawy towarzyszą nam od zarania dziejów. Ponadto podejrzewam, że kiedy jadę samochodem statystycznie jestem bardziej narażony na śmierć niż przez zarażenie koronawirusem. To samo być

może jest, kiedy lecę samolotem czy zwyczajnie idę ulicą. Pandemia również wyhamowuje naszą aktywność, a właśnie podejście filozoficzne proponuje zwolnienie tempa działania po to, żeby refleksyjnie odnieść się do tego, co się dzieje w naszym życiu. Na co dzień jesteśmy wciągnięci w pewien kierat działania, załatwiania spraw. Musimy zrobić to czy tamto. Bywamy zabiegani, brakuje nam tchu, każdy z nas tego doświadcza. Nieustannie biegniemy, ale to się z reguły także kiedyś kończy i w pewnym momencie każdy musi wyhamować. Oczywiście jeden robi to wcześniej, drugi później. Filozofia wymaga wyhamowania i paradoksalnie pandemia jest pewną szansą na przebudzenie filozoficzne czy duchowe.

W tym miejscu powiedziałbym, że filozoficzna postawa jest blisko podejścia religijnego. Przypomnijmy słynne *memento mori*. Tak naprawdę jesteśmy śmiertelni, wrażliwi, jesteśmy istotami, które są kruche i dobrze, że czasem to sobie uświadamiamy, wbrew temu, co zdaje się sugerować współczesna cywilizacja. Tak więc z jednej strony w czasie pandemii dystansujemy się wobec ludzi, ale z drugiej strony dystans jest tym, czego ludziom we współczesnym świecie brakuje. Potrzeba im wobec nadmiernego pośpiechu i nieustannego działania po prostu spokoju. Pandemia zatem bardzo sprzyja filozofii. Filozof – powiedziałbym pandemii nie odrzuca – wręcz przeciwnie – widzi w niej swego rodzaju szansę na pogłębienie duchowe czy pobudzenie refleksji.

**Myślę, że wyciszenie związane z samotnością może być rzeczywiście pewnym pozytywnym skutkiem ubocznym, ale czy nie przeszkadza nam w rozmyślniach nadmiar często ogłupiających informacji?**

Tak to jest ogromny problem. My jesteśmy przesyleni informacją. W dzisiejszym świecie nie tyle brakuje nam informacji, ile jesteśmy zalewani jej nadmiarem. Natomiast nie posiadamy narzędzi, które pozwoliłyby nam na jej selekcionowanie, by oddzielać ziarna od plew. Generalnie to właśnie ten nadmiar informacji powoduje zwiększenie niepokoju, lęków, obaw, czyli wszystkich negatywnych zjawisk, o których wcześniej wspominaliśmy. I właśnie podejście filozoficzne ma dać człowiekowi narzędzia, dzięki którym uzyska umiejętność dokonywania tak potrzebnej selekcji.

Generalnie w tradycyjnej filozofii tę umiejętność nazywano mądrością. Obecnie zapomina się, że informacja to nie jest mądrość, bo można mieć bardzo wiele informacji i być całkowicie pozbawionym mądrości. W mądrości zawiera się zdolność dostrzegania priorytetów czy wartościowania i takiego wykorzystania informacji, który pozwala

człowiekowi uzyskać spokój wewnętrzny. Dzięki niej możemy tworzyć pewne bariery, filtry mentalne. Jest to swego rodzaju immunologia psychiczna pozwalająca kultywować wewnętrzne wyciszenie i dająca schronienie. Chcę podkreślić, że tym nie zajmuję się wyłącznie filozofia, a nade wszystko różne metody pracy z umysłem, które znajdziemy w tradycji chrześcijańskiej czy tradycji Wschodu. Dzięki nim możemy uzyskać zdolność obserwacji umysłu. Współczesny człowiek zawierzył głównie zawnoszonym technologiom, cywilizacji i nauce, ma trudności z opanowaniem swego życia wewnętrznego, nieraz czuje się zagubiony i napięty. Jednym słowem strona pandemia jest szansą swoistego „przystopowania”, ale związany z nią chaos informacyjny próbuje nas pochłoniąć. Potrzebna jest immunologia mentalna.

**Czy to nie jest tak, że trochę uciekamy od mądrości? Ona wymaga pracy, a my jesteśmy po prostu leniwi i najzwyczajniej w świecie nie chcemy się myśleć lub robimy to bardzo powierzchownie.**

Ten proces zaczyna się już w szkole. Jesteśmy zalewani materiałem do przerobienia, który trzeba wchłaniać i wchłaniać. Jeżeli przyjrzymy się jakimś wielkim myślicielom przeszłości, to poprzestali oni na pewnym kompendium wiedzy, mówiąc kolokwialnie: przeczytali jedną czy kilka książek, a później byli w stanie tą wiedzą swobodnie operować. Dziś informacja, która dociera do nas jest nam jakby obca, nie potrafimy jej właściwie zinternalizować, uczynić elementem doświadczenia życiowego i naszego myślenia. To dotyka nas wszystkich. Mówię o szkole, ale, jak wcześniej podkreślałem, wszyscy żyjemy w tym kieracie informacyjnym.

**Tym bardziej, że podawana nam informacja nie jest neutralna. Codziennie wydaje nam się, że świat jest zły i stanowi dla nas zagrożenie.**

To zjawisko można tłumaczyć poprzez odwołanie się do ewolucji naszego gatunku. Kiedy człowiek jako *Homo sapiens* kształtował się w trudnym środowisku okresu paleolitu, to musiał być bardziej wyczulony na negatywne informacje. Dlaczego? Jeżeli bowiem w porę nie zauważył zagrożenia, to został zjedzony lub w inny sposób zabity. Przegapienie zagrożenia ze strony jakiegoś drapieżnika kończyło się zwykle tragicznie. Zatem wyculenie na negatywne bodźce było adaptacyjne. Dziś jesteśmy wolni od bezpośrednich zagrożeń, ale niestety myśląc o tych różnych niebezpieczeństwach, które są przedstawiane są w Internecie i innych mediach, automatycznie jak człowiek pierwotny je wychwytyjemy,



a hormony stresu się wydzielają i nie idzie za tym natychmiastowa akcja rozładowująca stres. Chroniczny stres i choroby cywilizacyjne się plenią.

**Czyli to atawistyczny mechanizm podobny do tego ze słodyczami. Jeżeli są, to trzeba zjeść wszystkie, żeby mieć większy zapas tkanki tłuszczowej na okres głodu. No i mamy chorobliwą otyłość.**

Niestety tak, on teraz obraca się przeciwko nam, bo stajemy się ofiarą chronicznego stresu, który ciągle sami kreujemy w swoich myślach, w wirtualnym świecie mediów. Niestety wyobrażone zjawiska i zagrożenia mają taki sam efekt na naszą neurofizjologię, jak realne wydarzenia. Jest jedna istotna różnica, z rzeczywistymi procesami możemy się mierzyć tu i teraz, wyobrażone generują „przeżuwanie myśli”, bezsenność i napięcie. Uważam, że filozofia i tradycje religijne mają metody, żeby sobie z tym radzić.

**No właśnie, może filozof zna jakieś praktyczne rady?**

Jeżeli chodzi o naszą tradycję filozoficzną to najbardziej praktyczni pod tym względem są – i to się nic od starożytności nie zmieniło – stoicy. To jest droga, która mówi tak: choćbyś nawet pękł to i tak świata nie zmienisz. On się toczy swoimi torami i dzieje się to, co się dzieje. Jeżeli walczysz ze światem, to prędzej czy później nabijesz sobie guza i oby tylko guza. Stąd pierwszy krok polega na rozpoznaniu wewnętrznych mechanizmów – jak działa moja psychika. Jednym słowem sokratejskie „Poznaj samego siebie”. Drugi krok polega na rozpoznaniu „natury rzeczy”, czyli mechanizmów rządzących światem i sprawnym dostosowaniu się do nich. To jest swego rodzaju adaptacja do rzeczywistości. Nowożytne myślenie, dominujące w naszej cywilizacji jest oparte na przekonaniu, że my potrafimy świat przekształcać tak, aby nam przynosił pożytek i spełniał nasze oczekiwania. Oczywiście, dzięki temu mamy sukcesy cywilizacji – siedzimy sobie wygodnie, jesteśmy wolni od zagrożeń natury i tak dalej. To daje złudne przekonanie, że jesteśmy panami natury i niszczycielami, rodzi pychę i, jak Grecy mawiali, *hybris*. Jednak prędzej czy później człowiek uświadamia sobie swoją bezsilność.

Tradycyjna filozofia wskazuje, że są rzeczy, na które nie mamy wpływu i które są silniejsze od nas i trzeba się z tym pogodzić. Buduje zdolność akceptacji tego, że w życiu towarzyszy nam niepewność i zmienność, że nie ma nic trwałego i nie mamy na wiele rzeczy wpływu, jesteśmy słabi. Skłania nas ku akceptacji swojej słabości. Tradycje religijne podsuwają tutaj coś, co daje nam poczucie spokoju, ukojenia jakiegoś zaufania. Czy można zaufać temu, co się dzieje w świecie? Zadać się na proces życia, logos czy Boga? Kiedy człowiek rozwinię w sobie takie zaufanie, to wówczas może, że się tak kolokwialnie wyrażę, „wyluzować”. Człowiek cywilizacji współczesnej ma problemy z zaufaniem, z odpuszczeniem i pogodzeniem się z losem, jest zdany tylko na siebie.



dr hab. Grzegorz Francuz

Musi ciągle poprawiać świat, walczyć z nim. **Musi nad nim panować po prostu?**

Tak, musi nad nim panować, tylko, że ten świat pokazuje „różki” a raczej „rogi”! Stale dzieje się coś nie tak, pogoda szaleje, katastrofy, epidemie, ludzie chorują i umierają. A miało być tak pięknie... Koronawirus doskonale to pokazał i zdemaskował przekonanie, że możemy panować nad światem. Zrobił to już zresztą wcześniej kryzys ekologiczny, ale koronawirus to wprost, z całą mocą odślonił. Paradoksalnie naszą siłą jest pogodzenie się ze słabością i ograniczeniami, dostrzeżenie tego, że są wymiary życia, które nie zależą od nas.

Nie należy oczywiście walczyć z bezpośrednimi zagrożeniami. Korzystajmy z dobrodziejstw cywilizacji, by poprawić swój los i poziom życia. Jednak sukces cywilizacyjny bez pracy z własną psychiką, jest powierzchowny i nietrwały. Bez wewnętrznego pokoju na dłuższą metę nie będziemy się w stanie cieszyć swoim dobrobytem.

Może to zabrzmie dziwnie, ale lepiej będziemy pomagać innym, gdy zadamy o swój spokój wewnętrzny. Jednakże dziś walczymy zwykle o swoją pozycję, o bycie na topie. Rywalizujemy, chcemy być zawsze pierwsi. Dążymy do swojego powodzenia, do dobrobytu, zdrowia, sukcesu.

**Cywilizacja sukcesu. Już się na przykład uczniom nie mówi o rozwoju zawodowym, ale kreśli się wobec nich „ścieżki kariery”!**

Otóż to, wydaje nam się, że w każdej dziedzinie musimy odnieść sukces. Banalny przykład: mamy plany np. wakacyjne, wyjazdowe, to niby truizm, ale ludzie są przyzwyczajeni do tego, że wszystko się dzieje tak, jak powinno, szczególnie w naszej zachodniej cywilizacji. Po czym następuje zgrzyt, stop, zatrzymanie akcji. Porażka. Przeżywamy negatywne emocje, obarczamy winą siebie i świat. Filozof, dla którego wzorem jest stoicki mędrzec, po prostu konstatuje i nie ocenia zaistniałych wyda-



rzeń. Zdaje sobie sprawę, że rzeczywistość i zachodzące procesy w niej nijak się mają do naszych oczekiwań. To oczywiście może boleć, ale ten ból również jest częścią naturalnych zjawisk. Więc można się „wyluzować” i skupić się na konkretnych zdaniach tu i teraz. Bycie tu i teraz jest głównym antidotum na wszelkiego rodzaju lęki. Nie chodzi jedynie o hedonistyczne *carpe diem*, ale uważne skupianie się na konkretnej robocie, zadaniu, wtedy można osiągnąć stan nazywany dziś *flow*.

**Emocje są pewnym naturalnym mechanizmem obrony, a my zdaje się nie bardzo chcemy albo potrafimy je nazwać i uznać, że nam towarzyszą.**

Klasyczne stanowisko filozoficzne nie tyle wymaga walki z emocjami, ile samoświadomości. Uświadomiam sobie, że podlegam wszystkim procesom otaczającego świata, odczuwam emocje, jestem częścią tego biegu zdarzeń, cierpię, a emocje, które we mnie powstają są naturalne, ale nie muszę za nimi iść, utrzymuję dystans, nie reaguję automatycznie. To jest kluczowa sprawa. Jestem wówczas w stanie spojrzeć z pewnego oddalenia na siebie, na świat i na innych ludzi. Cierpię. Coś mnie boli. Coś przeżywam, zwłaszcza negatywnego, ale dzięki dystansowi mogę sobie powiedzieć: no i co z tego. Zawsze tak było i będzie. Taką perspektywę nazywam *perspektywą transcendentnego świadka* – jestem uwikłany w świat, mam swoje role, wykonuję zadania, przeżywam, biegam itp. i to jest normalne, ale jest we mnie część niewykłanana w świat, wyzwolona, fundament spokoju, czysty obserwator który pełni rolę stabilizującej kotwicy, schronienia. Prawdziwe filozofowanie polega na stałym nawiązywaniu kontaktu z tym transcendentnym pierwiastkiem w nas. To pozwala mu nie ulegać nadmiernemu lękowi czy też – jak w przypadku COVID-19 – katastrofizmowi czy panice, że świat się wali. Gdy przyglądamy się przekazom historyczne czy literaturze, świat ciągle się wali i jest na krańcu upadku.

**A może dojść do takiego punktu wymaga czasu? Przypomnę Kochanowskiego, zdeklarowanego stoika, który dopiero w Trenach, pisanych po śmierci córki pogodził się ze swoim losem.**

Kiedy mówię o stoikach, zwykle przywołuję Kochanowskiego, pokazując ów proces. Chyba w życiu nie chodzi o to, żeby być niewzruszonym stoikiem od zaraz, to byłoby zaprzeczaniem naszej kondycji ludzkiej, jesteśmy ludźmi. Myślę, że raczej chodzi przeżycie procesu żałoby, dojrzewania i o akceptację zmiennej natury rzeczywistości i nas samych. Pandemia może być taką szansą dla nas wszystkich na przyspieszoną edukacją filozoficzno-psychologiczną.

**To kiedy dojdziemy do fazy dystansu, bo na razie emocje są cały czas podsypane i to subiektywne zagrożenie różnie. Jakbyśmy się dowiedzieli, że mamy raka i nie wiemy, ile czasu nam zostało. To jest proces, jedni ludzie przychodzą go**

szybciej, inni wolniej. Nie jest to proces jednokierunkowy, pojawiają się okresy regresu. To normalnie. W wymiarze zbiorowym uzyskanie dystansu pewnie się nie uda, ale indywidualnie ma szanse powodzenia. Owo uzyskiwanie dystansu, godzenie się ze sobą i bytem uznać można za program dla jednostek, dla każdego z nas z osobna. Zastrzegam ponownie, że w takim podejściu nie ma niczego nowego i od starożytności mamy w tej kwestii gotowe narzędzia. Na przykład współczesna psychologia pozytywna, która bada źródła dobrostanu jednostek, potwierdza odkrycia poczynione przez antycznych filozofów.

Wydaje mi się, że całe oszustwo naszej współczesnej cywilizacji polega na złudzeniu, że technika, komputery itp., zapewnią nam szczęście i dobre życie. Ale to jest totalna – moim zdaniem – bzdura. Dowodem jest wzrastająca liczba ludzi, którzy mają problemy psychiczne. Zwiększa się liczba samobójstw wśród młodzieży. Również używanie środków psychoaktywnych. Mamy po prostu bardziej luksusowe życie, a jesteśmy mniej spokojni i szczęśliwi. **Á propos technologii. Jeszcze niedawno żyliśmy złudzeniem, że możemy uciec w świat wirtualny, a teraz kiedy nie możemy się spotykać, pracujemy i uczymy się zdalnie, to świat wirtualny zaczyna nas uwierać. Jest namiastką rzeczywistości.**

Czymże jest rzeczywistość? – zapytałby filozof. Kultura ludzka zawsze kreuje wirtualny świat, który jest swego rodzaju soczewką, przez którą obcujemy z rzeczywistością. Nigdy nie reagujemy wprost na to, co nas otacza, nasze postrzeganie rzeczywistości przepuszczane jest przez mentalne filtry dominujących światopoglądów, filozofii. Wspomniane filtry mogą być lepsze lub gorsze. Jak to oszacować? Proponuję tutaj tzw. weryfikację egzystencjalną, czyli ta filozofia jest życiowo prawdziwa i wartościowa, która przyczynia się do mojej większej harmonii wewnętrznej i harmonii z otoczeniem. W tym kontekście warto zapytać o pojmowanie sukcesu. W ujęciu filozoficznym sukces życiowy polegałby na osiągnięciu się spokoju ducha i niewzruszoność wobec zmienności i przemijalności świata.

**Czym jest spokój?**

Spokój jest wewnętrznym wyciszeniem, harmonią, pogodą ducha. Nam się wydaje, że kiedy wyjedziemy na kolejne wakacje, kupimy sobie kolejny samochód, czy jakiś inny gadżet i będziemy mieli więcej pieniędzy, staniemy się szczęśliwi, a to tylko kolejna współczesna mistyfikacja, która w konsumpcjonizmie upatruje szczęścia. **Zdecydowanie podważają ją samobójstwa ludzi bogatych, znanych i cenionych, o których myśleliśmy, że są na pewno szczęśliwi.**

Tradycyjne koncepcje filozoficzne podkreślają, że źródła szczęścia są przede wszystkim wewnętrzne. Nie tkwią w świecie, a w nas samych. To znowu jest bardzo stare podejście.

W kwestii pandemii oprócz tego jądra

filozoficznego, które daje nam narzędzia do tworzenia spokoju wewnętrznego, otrzymujemy również środki do analizy dyskusów, które są prowadzone w związku z koronawirusem. Zanurzeni w kulturze jesteśmy we władzy różnych narracji, które określają granicę naszego świata i myślenia. Dobrze uprawiana filozofia pozwala nam dostrzec mechanizmy kreowania tych narracji i schematów myślowych, umożliwia dystansowanie się wobec nich. Sprawia, że nie jesteśmy biernymi ofiarami propagandy, dominującego dyskursu czy reklamy, rozbrajamy narzucone dyskursy i uzyskujemy schronienie w swoim wnętrzu.

W materii pandemii spotykamy bardzo różne „głosy” wynikające np. z opcji politycznych, podejścia religijnego, ekonomicznego. Dominującą jest narracja cywilizacyjna, która polega na tym, że trzeba czekać na szepionkę, bo medycyna w końcu nas uratuje. Na marginesie wypada zauważyć, że dla wielu medycyna stała się współczesną religią. Ludzie wydają się przekonani, że wyzwoli ich ze wszystkich bolączek i niedogodności, da wieczne, komfortowe życie. Jednak, kiedy przyjrzeć się sposobom opisu pandemii, to mamy wiele sprzecznych informacji. Epidemia pokazuje, że naukowcy i lekarze sami są nią zaskoczeni, do końca nie wiedzą, co się dzieje. W pewnym sensie to jest dobre, bo przywraca im pokorę i otwiera na nową wiedzę. Jest to pewne antidotum na spotykaną od czasu do czasu arogancję świata nauki, która wynika z cywilizacyjnego złudzenia omnipotencji. Nauka z natury rzeczy jest ograniczona i omylna, z zasady nie jest dogmatyczna. I znów wzorem tutaj może być antyczny filozof, Sokrates, który mawiał, „wiem, że nic nie wiem” i zdawał sobie sprawę, że stale jesteśmy na drodze do prawdziwej wiedzy i mądrości.

**I jak ma się w tym wszystkim połapać zwykły człowiek?**

Filozof powiedziałby: zostaw to, na co nie masz wpływu. Rób swoje. Czytaj Marka Aureliusza czy innych klasyków. Wyjdź do ogrodu i popatrz jak dojrzewają pomidory.

**To mi przypomina Miłosza: „innego końca świata nie będzie”.**

Miłosz był zakorzeniony w filozofii, a ona jest szepionką na cały ten blichtr i szaleństwo wokół nas.

**Dziękuję bardzo za rozmowę.**

**Dr hab. Grzegorz Francuz** jest profesorem uczelni w Uniwersytecie Opolskim. Podejmuje badania z zakresu bioetyki, etyki środowiskowej, ekofilozofii, coachingu, mediacji, filozofii edukacji i filozofii polityki. Opublikował dwie monografie: *O nową integrację wychowania. Ekologicznie zorientowana antropologia filozoficzna a edukacja* (1999), *Strategie przypisywania statusu moralnego istotom żywym* (2011).



## Pamiętasz tamten sierpień 1980 r.?

Początki „Solidarności” zastały mnie w sielankowym klimacie, akurat byłem wtedy na wczasach w Jastarni. Na Pomorzu czuło się opór wobec władz. Śląsk na początku wyglądał na łami-strajków. Zdarzało się, że w stronę samochodu, w którym jechałem, leciały kamienie. To był taki rodzaj żalu, że Śląsk nie strajkuje. Wiadomo było, że jak Śląsk zastrajkuje, to zacznie się dziać. Gdy wróciłem do domu, nasz region już przyłączył się do reszty kraju.

### Ty również się przyłączyłeś?

Oczywiście. Chociaż byłem młody, to nienawidziłem tamtej władzy.

### Z czego to wynikało?

Jako wychowanek domu dziecka miałem kontakt z funkcjonariuszami państwa od najmłodszych lat. Nie zawsze było ciekawie. Już wtedy mogłem doświadczyć pewnych działań przedstawicieli władz, dlatego miałem sprecyzowane poglądy. Kiedy powstała „Solidarność”, wydało mi się naturalnym, że muszę do niej się przyłączyć. Później zapisałem się też do Konfederacji Polski Niepodległej.

### I stałeś się związkowcem.

Wady tamtego systemu szczególnie było widać w kopalni. Zdarzało się, że dwu – lub trzykrotnie wykonywało się to samo. W kopalni, nie były to lekkie prace. Takich absurdów w zarządzaniu kopalnią było więcej i my dostrzegaliśmy je. Większość ludzi nie myślała wtedy o jakiejś zmianie systemowej, tylko o naprawie sytuacji w kopalniach, dopiero później była nadzieja na więcej wolności.

### W grudniu 1981 r. wzięłeś udział w strajku w kopalni „Rozbark”.

Nikt nie wiedział, co oznacza stan wojenny, ale wyglądało to groźnie. W telewizji występowali wojskowi, po Bytomiu przemieszczały się czołgi. Pamiętam, że gdy przyjechałem do kopalni większość ludzi, którzy mieli zjechać rano, tłoczyła się w łaźni, bo przez głośniki były nadawane oficjalne informacje. Dało się wyczuć, że ludzie chcą coś zrobić. Jakoś się temu przeciwstawić.

### Dlatego wybuchł strajk.

Na jego czele stanęli Waldemar Żurawicki i Jan Rumpf. Mnie wyznaczono do zabezpieczenia kopalni czyli przede wszystkim do utrzymania ruchu. W kopalni są strategiczne miejsca, które trzeba zabezpieczyć: maszyna wyciągowa, przepływ wentylacji, pompowanie wody. Ponadto trzeba było utrzymać łączność z całą kopalnią, a wtedy już nie działały telefony, nawet zakładowe. Dlatego byli wysyłani ludzie, by dowiedzieć się, co się dzieje w innych miejscach kopalni. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że przewodniczący zakładowej „Solidarności” zniknął. Dodatkowo postanowiliśmy



Roman Kostrzewski, Katowice, „Spodek”, 1986 r.

# Buntownik od zawsze

Z **ROMANEM KOSTRZEWSKIM**, legendą polskiej muzyki metalowej, liderem zespołu Kat, dla którego stan wojenny był początkiem kariery; z ateistą urodzonym w Piekarach Śląskich, największym na Śląsku centrum pątniczym; w końcu z tym, który jako dwudziestojednolatek nie bał się wziąć odpowiedzialności za strajk okupacyjny w stanie wojennym – rozmawiają **KAROL CHWASTEK** i **MAREK LYSZCZYNA**.

wysłać gońców poza kopalnię, żeby zorientować się co dzieje się w Bytomiu i w ogóle w kraju.

### Jak doszło do zakończenia strajku?

Na teren kopalni wszedł wojskowy, bój dajże w randze pułkownika, w eskorcie dwóch milicjantów. Przyszli do łaź-

ni. Poinformowali nas, że jest stan wojenny i co to oznacza. Strajkujący górnicy jednak wtedy nie zrezygnowali. Delegacja wróciła po godzinie w liczonym towarzystwie zomowców. Wyglądało to groźnie. Dla mnie, młodego człowieka, a miałem wów-



czas 21 lat, było to oczywiście bardzo dramatyczne. Strajkujący nie chcieli się poddać, jednak szefowie strajku czyli Żurawicki i Rumpf, zdecydowali oddać się w ręce władz. Myślę, że czuli się w sytuacji bezwzględniegro zagrożenia. Nikt z nas tak naprawdę nie wiedział czy będą do nas strzelać. Naszych przewodniczących więc zabrano, a reszta ludzi zdecydowała, że zjeżdżamy na dół i tam zastanowimy się co dalej.

#### **Jednak strajk nie był kontynuowany?**

Były już pierwsze informacje o ofiarach, więc to była bardzo trudna decyzja. Więc tak, już nie zastrajkowaliśmy. Raczej myśleliśmy o tym, żeby ewentualnie próbować innego rodzaju sprzeciwu lub przeczekać do momentu, w którym wyłoniłyby się jakieś władze podziemia, które pociągną dalej opór względem władz.

#### **Czy później miałeś jakieś problemy z powodu swojego zaangażowania w strajk?**

Po czterech dniach, bodajże 19 grudnia zabrali mnie z hotelu robotniczego, w którym mieszkałem. Do rozprawy trzymali mnie w komendzie przy ul. Rostka, a później w więzieniu śledczym przy Mikołowskiej w Katowicach. Cele były strasznie przepełnione. Było mnóstwo ludzi „Solidarności”. Siedziałem m.in z chłopakiem, który organizował strajk w kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu-Zdroju.

#### **Kiedy odbyła się Twoja rozprawa?**

Dwadzieścia dni po moim zatrzymaniu. Sąd wojskowy skazał wtedy dwóch organizatorów strajku. Mnie nie zamknięto ponieważ byłem wychowankiem domu dziecka. Dla władzy było to paradoksalne, że sami mnie wychowali, a teraz co, będą mnie więzić?

#### **Wróciłeś do pracy w kopalni?**

Tak, ale dali mi „awans”. Miałem wykonywać czynności dla osób niewykwalifikowanych, co wiązało się z dużo mniejszym zarobkiem. Wcześniej pracowałem na dole jako elektryk. Władza w tamtym czasie była dość pamiętliwa.

#### **Nie myślałeś o emigracji?**

Nie chciałem wyjeżdżać, miałem dziewczynę, studia, dlatego podpisałem cyrograf... Tak zwaną lojalkę.

#### **W pewnym momencie skończyła się Twoja przygoda z „Solidarnością”.**

Po strajku zweryfikowałem mój stosunek do „Solidarności”. Nie czułem już solidarności międzyludzkiej. Związek rozpadł się. Po drugie, czułem, że „Solidarność” była od początku zawiązana przez osoby czasem niegodne tych ofiar i trudów czynionych przez innych. Pamiętam, jak zbierałem pieniądze dla żony Rumpfa, która była w ciąży. Okazało się, że w kopalni, w której dużo ludzi należało do „Solidarności” tylko szesnaście osób zdecydowało się przekazać jej swoje pieniądze. Niektórzy przypomnieli sobie o rodzinach internowanych dopiero po dwóch miesiącach. Żle to wyglądało. Być może ludzie się bali?

#### **Niezbyt przychylnie patrzyłeś też na coraz ciaśniejsze związki „Solidarności” z Kościołem.**

Mam krytyczny stosunek do Kościoła, który wynika choćby stąd, że sam doświadczyłem braku zainteresowania z jego strony. Myślę, że takich ludzi jak ja było więcej, a przecież należeliśmy do tego samego ruchu społecznego, związkowego. Wydawało mi się, że „Solidarność” jest ruchem, którego nazwa obliuguje do bycia razem, niezależnie od światopoglądu i wyznania.

#### **Na czym polegał ów „brak zainteresowania”?**

Siedząc w areszcie potwornie schudłem, bo jedzenie podawane osadzonym było niestrawne. Wiadomo, że Kościół otrzymywał paczki z Zachodu dla ludzi „Solidarności”, jednak nie dystrybuował jej wśród takich osób, jak ja. Powiem konkretnie – wiadomo, że wśród tych dóbr była chociażby żywność. Kiedyś, jeszcze przed rozprawą, inni osadzeni opychali się wiktuałami z paczek, a ja jadłem chleb ze smalcem. W pewnym momencie głupio im się zrobiło. Nie narzekam, bo lubię smalec, ale jak mówię, fakt, że pomoc tego typu do mnie nie dotarła, prowadzi do prostego wniosku: Kościół specjalnie nie docierał do tych, którzy nie byli z nim związani.

#### **W stanie wojennym rozpoczęła się Twoja historia z zespołem Kat.**

Nieco wcześniej, bo tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego spotkałem chłopaków z zespołu na festiwalu „Silesian Rock”. Wówczas na Śląsku mnóstwo młodych ludzi wspaniale grało, inspirował ich Black Sabbath czy Deep Purple, kochałem to.

#### **Jak wyglądało środowisko rodzące się heavymetalu?**

Ludzie grający muzykę metalową byli bardzo młodzi, jak ja, albo jeszcze młodszy, bo przecież koledzy z zespołu mieli po 18 lat, byli jeszcze w szkole. Interesowała ich wyłącznie muzyka i szczerze mówiąc, nawet ten stan wojenny nie za bardzo ich dotykał... Przede wszystkim kochaliśmy muzykę zachodnią i chłoniliśmy ją bardzo mocno.

#### **Funkcjonowanie heavymetalowego zespołu w PRL chyba nie było łatwe?**

Nie zablokowano nam drogi do wydawnictw płytowych na Zachodzie, ale już z koncertami było inaczej. Funkcjonowaliśmy więc na Zachodzie tylko w sposób wydawniczy. Byliśmy blokowani. Nikt z decydentów nie wspomógł nas, a przecież jak komuś się w miarę powodziło i były szanse na jego muzyczną ekspansję na Zachodzie, to był np. zwalniany ze służby wojskowej. W naszym przypadku tak się nie stało. Musieliśmy stosować różne triki, żeby nie pójść do wojska i dalej być muzykami.

#### **Choćby na festiwalu w Jarocinie gdzie władza mogła skanalizować też energię młodych ludzi.**

Oczywiście. Rozproszenie gniewu młodzieży, poprzez danie im pewnego rodzaju bezpiecznego ujścia emocji, tym był Jarocin, ale nie tylko. Tyle, ile wówczas koncertów było, tego nikt tego nie pamięta. Kapele grały po 400 koncertów w roku.

#### **I to nie były jakich. Graliście trasę chociażby z Hanoi Rocks.**

Dlatego myśmy pojechali na trasę







„Kat” w Jarocinie, 1985 r.

z Hanoi Rocks? Dlatego, że właśnie władza szukała takich reprezentantów, którymi mogła się pochwalić. Kat się do tego nadawał, jak każda inna kapela. Władza chciała pokazać, że jak do PRL przyjeżdża zachodni zespół i chce mieć koncerty wspólnie z polską kapelą, to ma, Polska jest jednak wolnym krajem... Wydaję mi się, że takie myślenie legło u podstaw takich decyzji reżimu.

**Spotkanie z muzykami z Zachodu, to było chyba coś ważnego dla was?**

To był powiew wolności. W Polsce nie mogliśmy osiągnąć tego poziomu „zachłyśnięcia się” wolnością jednostkową, związaną z przemianą kulturową lat 60. Ten duch był, ale w społeczeństwie, które cały czas było faszzerowane powinnością budowania nowych domów, mostów i cholera wie czego jeszcze, nie było miejsca na wolność osobistą. Więc moja twórczość się głównie skupiła na wolności jednostki...

**Subkultury były obserwowane i inwigilowane.**

Ponieważ były jednak groźne dla władzy i władza to dostrzeżała. Mało kto zdaje sobie z tego sprawę, że w komendzie głównej milicji były oddziały, które zajmowały się rozpracowywaniem środowisk artystycznych. Muzyka metalowa miała takich opiekunów. Do dzisiaj nie wiem, kto nim był, nie sprawdzałem. Ale wydaję mi się, że w IPN powinno być coś na ten temat.

**Jak zapamiętałeś waszą obecność w oficjalnych mediach PRL i na początku przemian po 1989 r.?**

Sądzę, że w pewnym momencie muzyka metalowa została spacyfikowana. Przestała się pojawiać w mediach, jeśli już to bardzo delikatne kawałki. Czasami, jeszcze powiedzmy w roku 1986, Kat jakoś funkcjonował w mediach, ale już dwa, trzy lata później w zasadzie nas nie było. Gdy nastąpiły przemiany polityczno-społeczne, to już w ogóle nie było dla nas miejsca, choć były wyjątki.

**Jakie?**

Jedyny występ Kata w Jarocinie został zarejestrowany przez telewizję. Drugi wyjątek, to *Łza dla cieniów minionych*, ale to jest utwór bezpretensjonalny, tkliwy, nienawijający do krytyki chrześcijaństwa, więc ten kawałek jeszcze jakoś mógł funkcjonować.

**Bunt to jedno ze źródeł inspiracji, a czy inspirowała Ciebie na przykład historia regionu, śląska mitologia?**

Oczywiście, ona jest do dzisiaj widoczna w tym co robię. Przy czym robię to już jako twórca, który występował, albo może wykrzyczał, główne żale i wrócił do świata, w którym rozważam już inne aspekty. Jeżeli piszę „Bieda chowała go / ulica Lewa / – Kartofle, szmaty! / Fura, bat / z hałdy na dupie śmig / guguły z drzewa / oma grób, opa grób / mama pit”, to jest nawiązanie do gwary śląskiej

i w ten sposób uczę Polaków trochę śląskiego. Więc tak, nawiązuje do problematyki śląskiej, także tej mojej, przeżytej, dostrzeżonej nawet dzisiaj. Przy czym dzisiaj już nikt nie krzyczy na ulicach „Szmaty, szmaty, szmaty!”, ale to mi w uszach zostało. Piszę ten tekst z atencją, chcąc zachować brzmienie ulicy tamtych czasów. Staram się nawiązywać do śląskości, ale w taki sposób, który jest do przyjęcia przez młodzież w całym kraju. Gdybym poleciał z grubej rury, nic by nie zrozumieli, to byłoby bez sensu.

**Grałeś też z Józkiem Skrzekiem, którego namawiałeś na różne projekty.**

Wy tłumaczyłem mu ideę moich projektów i muszę tu podzielić się pewną ciekawostką: Józef Skrzek miał mniejszy opór, żeby zagrać na płycie z tekstami z biblii satanistycznej, niż wziąć udział w nagraniu moich *Listów z Ziemi* na podstawie twórczości Marka Twaina. Teksty Twaina bardziej go zdegustowały. Biblia satanistyczna jest w zasadzie syntezą prac o charakterze humanistycznym, próbującą ujawnić ludziom w jakim świecie żyjemy.

**Czyli można powiedzieć, że muzyka najlepiej jednoczy ludzi.**

W ogóle kultura i sztuka jednoczy. Kultura ma niesamowite znaczenie. Pozwala ludziom zbliżyć się do siebie, bawić się, cieszyć się sobą.



# Świat pełen urody i spokoju

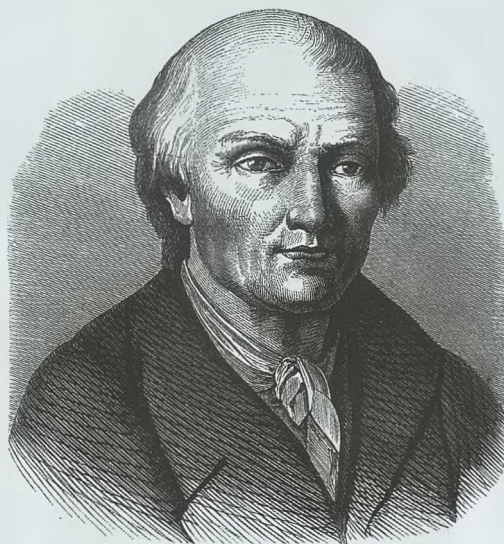
KS. HENRYK PYKA

**C**ale moje życie było jednym nieprzerwanym grzechem, Boże zlituj się nade mną – to ostatnie słowa Augusta II Wettyna wypowiedziane przed śmiercią w roku 1733 na Zamku Królewskim w Warszawie. Żebrząc o litość przeklinał Polskę i swoich doradców. W ten tragiczny obraz śmierci polskiego króla wpisuje się coraz trudniejsza sytuacja Rzeczypospolitej nad którą po podpisaniu w roku 1732 traktatu Loewenwolda zacinęto się przymierze trzech czarnych orłów celem pogwałcenia wolnej elekcji. Polska targana była interesami ościennych mocarstw, zaś w kraju cały czas trwał kryzys władzy, polegający na dążeniu rodów magnackich do rządzenia w swych posiadłościach i województwach z pominięciem dobra wspólnego. Szlachta pod sztandarem prawa do wolności wiodła zaciekle spory i walkę o władzę, wyżywała się w zajazdach, rokoszach i konfederacjach. Król w Birzach u Radziwiłłów przepił z Piotrem Romanowem, carem rosyjskim nie tylko sławiący potęgę Rzeczypospolitej obraz Dolabelli, ale i samą Rzeczpospolitą. W pijaństwie i hulaszczym życiu, które złamało mocarne króla wyrażała się beztroska polskich elit, której konsumpcyjny styl życia ujęto w znanym porzekadłe: za króla Sasa, łyżką kielbasa... jedz, pij i popuszczaj pasa.

Zastanawiam się jak w ten ponury obraz Rzeczypospolitej pierwszej połowy XVIII wieku wpisać działalność Szymona Czechowicza (1689–1775) jednego z najlepszych, najpłodniejszych i najbardziej „aksamitnych” polskich artystów – malarzy późnego baroku. Zmarł w trzy lata po pierwszym rozbiore Polski. W Gmachu Głównym Muzeum Narodowego w Krakowie 16 października otwarto wystawę jego obrazów. Monumentalny pokaz prezentujący około dwieście prac tego artysty urodzonego w Krakowie, sprowadzonych z wielu kolekcji w kraju i za granicą. Nie sposób w tym miejscu nie wyrazić uznania polskim muzealnikom. W czasie tak trudnym dla organizatorów jak i odbiorców działa sztuki: we Wrocławiu, Warszawie i Krakowie zorganizowano w ostatnim czasie monumentalne wystawy monograficzne wymagające wielkiego nakładu środków, ale i zarazem niosące ze sobą wielką siłę oddziaływania na odbiorcę, skłaniającą do refleksji. „Siła obrazu” – tytuł wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie stanowi kłamrę spinającą przesłanie sztuki prezentowane w odsłonach tych trzech wystaw w polskich muzeach narodowych – w służbie zrozumienia tego co uwalnia naród od zniewolenia i pogardy. *Cale moje życie było grzechem – czy można doświadczyć większego zniewolenia i życiowej klęski? Ojciec Biblii Tysiąclecia,*

tyniecki benedyktyn Augustyn Jankowski, którego piętnastą rocznicę śmierci w tym roku obchodzimy (zmarł 6 listopada) dochodząc źródła łacińskiego *peccatum* (grzech) tłumaczył je opisowo jako coś co warte jest kopniaka. Biblijny kontekst wspiera jego etymologiczno-filologiczną interpretację (por. Jud 1,17–23). W słowie tym kryje się pogarda dla czynu, nie dla człowieka, bo to człowiek ma „kopnąć”, by nie stać się obiektem pogardy... także we własnych oczach.

W roku 1731 po dwudziestu latach pobytu w Rzymie Szymon Czechowicz wrócił do Polski. Jego mecenas Franciszek Maksymilian Ossoliński, który zapewnił mu pobyt



SZYMON CZECHOWICZ.

i kształcenie w rzymskiej Akademii świętego Łukasza, po śmierci króla, którego był osobistym sekretarzem przeszedł do obozu Stanisława Leszczyńskiego. Zamek Królewski w Warszawie ostatnio zakupił obraz, który Czechowicz namalował po powrocie z Rzymu jako akt dziękczynny z przeznaczeniem do galerii rodowej pałacu Ossolińskich w Sterdyni na Podlasiu. Literatura wiąże ten obraz z postacią Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego. Artysta starał się zaprezentować fundatorowi swych włoskich studiów nabyte umiejętności. Niektórzy postrzegają ten portret przez pryzmat religijnych obrazów Czechowicza upatrując w monumentalnej pozie podskarbiego koronnego pewnej sakralizacji postaci. Faktycznie należał do osób, którym dla Rzeczypospolitej „nie żał było cierpieć”. Autor *Manifestu pocztowych i kochających ojczyznę synów* podpisując konfederację dzikowską dostał się do rosyjskiej niewoli, w której surowo był traktowany, ponieważ nie zdradził Rosjanom miejsca przechowywania klejnotów koronnych. Niestety mecenas Ossoliński-go ustał w stosunku do Czechowicza, kiedy

podskarbi wraz z Leszczyńskim opuścił Polskę udając się do Francji. Ostatecznie znalazł miejsce wiecznego spoczynku u boku króla wygnańca, w krypcie kościoła Notre-Dame de Bon Secours w Nancy.

Czechowicz, który na dworze Ossolińskiego jako dwudziestolatek muzykował w dworskiej kapeli i uczył się malarstwa u nieznanego dzisiaj mentora, w Rzymie tak bardzo rozwinął swój talent, że otrzymywał tam zlecenia na realizację do miejscowych kościołów. Nie był jedynym z Polaków, którzy studiowali malarstwo w Akademii Świętego Łukasza w Rzymie. W orbicie sztuki Carla Marraty i Poussina studiował w Rzymie malarz nadworny, protegowany króla Jana III Sobieskiego Jerzy Eleuter Szymonowicz-Siemiginowski, który w roku 1681 otrzymał nagrodę Akademii za zachowane do dzisiaj rysunki. Był pierwszym polskim artystą, który w tej akademii studiował. Znacznie młodszy od Czechowicza Tadeusz Kunze, Ślązak urodzony w Zielonej Górze, największa indywidualność w malarstwie polskim XVIII wieku, był protegowanym świętego biskupa krakowskiego, założyciela słynnej biblioteki, Andrzeja Załuskiego. Biskup ten szybko poznał się na zdolnościach młodzieńca, podkszałcił go i wysłał do Włoch. Na ręce rektora kościoła świętego Stanisława w Rzymie księdza Młodziejewskiego przez cztery lata posyłał pieniądze na życie i naukę utalentowanego Polaka. „Taddeo Polacco” zwany współcześnie Kończą lub Koniczem, nie tylko utrwalił swoje nazwisko grauerunkiem na tynku w rafałowskich stanzach Heliodora, ale przede wszystkim wpisał się w rzymski pejzaż wędrując po mieście z malarską kasetką, malując jego wedy i scenki rodzajowe. Podobnie jak Czechowicz, realizował się jako malarz w kościołach Rzymu i okolicy.

W Akademii świętego Łukasza ufundowanej w roku 1577 przez papieża Grzegorza XIII, tego samego, który zreformował kalendarz i erygował Uniwersytet Gregoriański, przyjmą się zwyczaj dorocznych konkursów. Od samego początku statutu Akademii nakaazywał, aby każdy kandydat-akademik pozostawiał ku wiecznej pamięci w zbiorach jedną ze swoich prac i autoportret. W ten sposób Akademia funkcjonująca do dzisiaj w Palazzo Carpegna w pobliżu Fontanny Trevi zgromadziła bogatą kolekcję obrazów, rysunków, grafik i rzeźb; w tym ponad pięćset portretów swoich studentów. Wśród nich znajdują się takie nazwiska jak Bernini, Pietro da Cortona, bracia Asamowie, Thorvaldsen, a także trzej wyżej wymienieni artyści polskiej proweniencji. Czechowicz pozostawił w zbiorach Akademii swoje pra-



ce nagrodzone w roku 1716 w „Konkursie Klementyńskim w Rzymie”. Od tego czasu stał się postacią znaną w Wiecznym Mieście. Dwa swoje obrazy „Ukrzyżowanie” i „święta Jadwiga” przeznaczył do kościoła świętego Stanisława na Botteghe Oscure w Rzymie. Ksiądz Wincenty Smoczyński, autor wydanego w roku 1902 przewodnika po Rzymie (tak wspomniał o przewodnikach dzisiaj nie znajdziesz) pisze, że obraz Czechowicza „Ukrzyżowanie” przewyższa poziomem artystycznym wszystkie inne obrazy w tym kościele, nawet te, które wyszły spod pędzla jego ucznia Franciszka Smuglewicza.

Papież Grzegorz XIII pozostając pod wpływem biskupa Mediolanu Karola Bormeusza konsekwentnie realizował postanowienia Soboru Trydenckiego, który wyznaczył drogi reformy Kościoła. Sobór Trydencki w swoich dekretach odniósł się także do sztuki w kościele. Wykreślił z obrazowania wszystkie te przedstawienia, które pozbawione były podstaw biblijnych i doktrynalnych. W wiele takich obrazów o charakterze apokryficznym obfitowała sztuka średniowiecza. W zapisach „Tridentinum” czytamy: *Gdyby w te święte i zbawienne praktyki (obrazowania Tajemnic Wiary) miały się dostać jakieś nadużycia, święty sobór wyraża żywe pragnienie, ażeby zostały one całkowicie usunięte, żeby więc nie bywały pokazywane przedstawienia fałszywych dogmatów, które mogłyby dla nieuczonych stanowić okazję do poważnych błędów.* W Akademii, której każdorazowy rektor zatwierdzany był przez Stolicę Apostolską przekładano w praktykę zamysł soborowy odnoszący się do wystroju świątyni katolickich. Program malarski miał zatem Czechowicz bardzo dokładne nakreślony. Artysta pracujący dla Kościoła miał go wspomagać w misji przepowiadania tajemnic wiary zawartych w Piśmie Świętym i Tradycji Kościoła.

Kiedy Czechowicz wrócił do Polski przez kolejne czterdzieści trzy lata pracował głównie dla Kościoła realizując zamówienia wielu zleceniodawców na rozległym obszarze Rzeczypospolitej. W roku 1749 zarzucany był zamówieniami Pijarów, którzy życzyli sobie by w roku beatyfikacji ich założyciela Józefa Kalasantego artysta dla każdego ich konwentu namalował obraz błogosławionego. Czechowicz jeździł po całym Królestwie. Między Krakowem, Warszawą i Wilnem znalazł się Poznań i opactwo cystersów w Obrze. Na wschodzie dotarł do Połocka. Dla Tartłów pracował w Lublinie i Opolu Lubelskim. Jego obrazy są we Lwowie, Tykocinie, Siemiatyczach, Olecku i Podhorcach. Po ustaniu mecenatu Ossolińskiego Czechowicz znalazł przystań u Branickich w Białymstoku. Posiadał też stałą galerię w zielonej komnacie zamku w Podhorcach, najpiękniejszej rezydencji kresowej Rzeczypospolitej. W zamku podhoreckim, który kolejny mecenas artysty Wacław Rzewuski uczynił przybytkiem sztuki, nauki i cennych pamiątek narodowych do roku 1939 znajdowało się ponad sto czterdzieści obrazów Czecho-

wicza. Działalność portretowa Czechowicza, choć perfekcyjna, stanowi ułamek jego twórczości. Malował nie tylko swoich mecenasów, lecz także możnych fundatorów kościołów. A tych w epoce saskiej było wielu. Pałace i kościoły budowali i modernizowali w duchu baroku wybitni architekci. Czechowicz nie mógł sprostać zamówieniom. Wyposażał całe wnętrza. Po pożarze kościoła świętej Katarzyny w Wilnie należącego do sióstr benedyktynek dla odbudowanej w duchu baroku wileńskiego świątyni wykonał piętnaście obrazów. Doskonale harmonizują one z rzeźbą ołtarzową. Kościół ten dzisiaj uchodzi za stałą galerię malarstwa Szymona Czechowicza.

Jakie było malarstwo artysty? Do Polski wrócił z obrazem, który namalował w roku 1730 w Rzymie dla kolegiaty kieleckiej, obecnie katedry. Obraz ten znajdujący się w nastawie ołtarza głównego przedstawia Wniebowzięcie Maryi Panny i uchodzi za najbardziej reprezentatywny dla jego twórczości. Artysta kształtujący swój talent w klasycyzującym nurcie późnego baroku wierny był XVII-wiecznej tradycji malarstwa włoskiego. Jej wyrazicielem był działający do 1713 roku Carlo Maratta, malarz skupiający w swojej twórczości wszystko, co dobre w malarstwie: pełną wdzięku linię Rafaela, gruntowną anatomię Michała Anioła, ujmujący klimat obrazów Correggia, koloryt Tycjana. Czechowicz był malarzem eklektycznym stosującym szczególną poprawność rysunku, wenecki koloryt, trafne kompozycje wypracowane przez Rafaela, Correggia, a na gruncie północnym przez Rubensa. Wszystko co najlepsze pojawiło się w malarstwie włoskim od czasów Rafaela, ujął w swoim malarstwie, nierzadko kopiując starych mistrzów, co było wówczas ogólnie przyjęte. Dlatego podobał się „Wniebowzięcie” Czechowicza w kieleckiej katedrze to bardzo dojrzałe i przemysłane dzieło o wielkiej dynamice ruchu i kompozycji w kształcie monstrancji ujmujące postać Assunty w tonacji przeciwstawnych barw ugrów i błękitów. Każdy, kto do połowy lutego 2021 odwiedzi Muzeum Narodowe w Krakowie, zanurzy się w atmosferę pokoju i równowagi, emanującej z nagromadzonych tu dwustu obrazów Cze-



Złożenie do grobu, Szymon Czechowicz, ok. 1731 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

chowicza. Łagodzący obyczaj klimat tych obrazów wypełniających niegdyś kościoły Rzeczypospolitej nie przyniósł ratunku owemu „calamitatis regnum”. Szczęk oręża, egoizm i ludzkie namiętności były głośniejsze od śpiewu muz i autentycznej pobożności. Artysta pod koniec swego życia związał się z Warszawą. Co jeszcze mógł zrobić dla Polski? Wyprowadzając malarnię dworską Bacciarelliego hodował we własnej pracowni szlachetny narybek ludzi służących pięknu. W jego pracowni kształtował się legion polskich artystów. Tu wzrastał talent Franciszka Smuglewicza, Jana Plerscha, Tadeusza Konicza. Artysta nigdy się nie ożenił. Samotny przez całe życie, odgradzony kalem od ludzi (miał głęboką wadę wymowy), jak pisze monografista Czechowicza Mariusz Karpowicz: „w swej twórczości wyładowywał tęsknotę za światem pełnym urody i spokoju”. Siłą jego obrazów jest siła wewnętrznego pokoju, spleciona z tematem obrazowania i jego perfekcyjną interpretacją. Ostatnie lata swego życia artysta związał z klasztorem warszawskich kapucynów. Jako tercjarz III zakonu świętego Feliksa malował dla kapucyńskich kościołów w Nowym Mieście nad Pilicą, w Łomży i Zakroczmie. Krypta kapucyńskie kościoła w Warszawie ufundowanego przez Jana III Sobieskiego po zwycięstwie Chocimskim kryje doczesne szczątki artysty, dobrodzieja zakonu. Nad jego wiecznym spoczynkiem w kapucyńskim kościele, podobnie jak nad śmiertelnym łóżem Rafaela czuwa jego własny obraz – obraz Przemienienia Pańskiego. Zapowiedź tego, co musi nadejść.



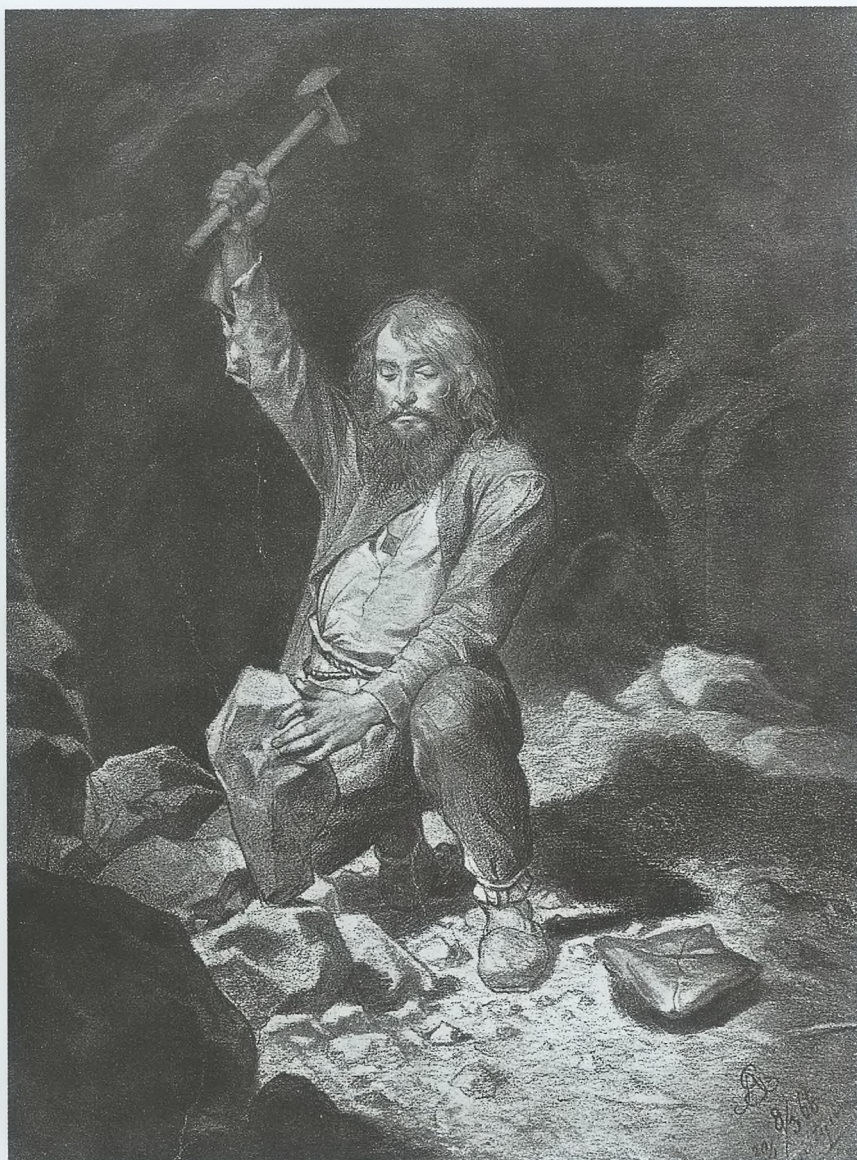
**N**a Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie na jednej z tablic widnieje napis o treści **SYBERIA od 1768**, upamiętniający zesłania Polaków. 1768 to rok, kiedy rozpoczęły się zsyłki Konfederatów Barskich. Ich śladem pędzono później żołnierzy, powstańców i cywilnych działaczy niepodległościowych, a w końcu – już w ZSRR – zwykłych obywateli tylko za to, że byli Polakami. Pamięć o polskiej historii Sybiru zachowują ostatni członkowie Gliwickiego Oddziału Związku Sybiraków.

Po roku 1918 do odrodzonego państwa polskiego zaczęli powracać zesłańcy oraz Polacy wcieleni do armii carskiej. W roku 1928 staraniem byłych żołnierzy Syberyjskiej Brygady Piechoty oraz byłych zesłańców powstał Związek Sybiraków, którego przewodniczącym został Antoni Anusz. Celem było niesienie pomocy i opieka nad członkami Związku, opieka nad grobami poległych Sybiraków oraz gromadzenie pamiątek i opracowywanie materiałów związanych z działalnością Polaków na Syberii. Jeszcze tego samego roku podczas zjazdu Sybiraków honorowymi członkami Związku zostali marszałek Józef Piłsudski, Benedykt Dybowski (1833–1930) – komisarz Rządu Narodowego w okresie Powstania Styczniowego, długoletni zesłaniec i badacz Syberii, a także Wacław Sieroszewski (1858–1945) – pisarz i działacz polityczny, zesłaniec, etnograf Syberii, legionista.

Niestety członkowie Związku Sybiraków II RP nie byli ostatnim pokoleniem zesłańców. W 1936 roku rozpoczęła się deportacja Polaków w głąb ZSRR z byłych obszarów dawnej Rzeczypospolitej, zajętych przez sowietów. Władze bolszewickiej Rosji zamierzały wywieźć z tych terenów 400 tys. Polaków. Akcję rozciągnięto w czasie, co sprawiło, że duża część ludności uniknęła wywózki. Zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemię polskie (17 września 1939) rozpoczęły się aresztowania Polaków. Według danych NKWD tylko w rejonie Lwowa i Drohobycza w latach 1939–41 czyli „za pierwszych rusków” aresztowano 5822 obywateli polskich.

Każde aresztowanie i dalsze losy uwięzionych, przesłuchiwanym i skazanych – to osobna historia. Dziadek mój, Władysław Wróbel, został aresztowany już 12 października 1939 roku. Aresztowało go kolejowe NKWD, a faktycznie jego dwóch pracowników z czerwonymi opaskami na rękawach i z karabinami. Ten „wróg ludu” był starszym majstrem w warsztatach Polskich Kolei Państwowych we Lwowie a do tego kapelmistrzem orkiestry kolejowej. Został osadzony w „Brygidkach”, a następnie wywieziony w niewiadomym kierunku w głąb ZSRR. Tyle wiedziała moja rodzina.

W roku 1991 rozpocząłem sądowe „uśmiercanie” dziadka, by uporządkować sprawę spadkową. Rozprawa odbywała się w Zawierciu. Sędzia po zapoznaniu się z wnioskiem wywołał mnie na środek sali i zapytał: „We wniosku pisze, że Władysław Wróbel został aresztowany przez NKWD, a nie załą-



Powstaniec, katorżnik rozbijający młotem bryłę syberyjskiej rudy. Rysunek Artura Grottgera „W minach”

## Gliwickie Dzieci Sybiru

TADEUSZ LOSTER

czył pan nakazu aresztowania”. Odpowiedziałem: „Proszę Wysokiego Sądu, NKWD nie dawało nakazów aresztowania”. Poirytowany sędzia, wstając, powiedział: „Proszę nie pouczać Wysokiego Sądu”. Matka moja i siostra, uczestniczące w rozprawie, ostentacyjnie opuściły salę sądową. Poza upomnieniem musiałem dodatkowo złożyć pismo do Polskiego Czerwonego Krzyża i zamówić ogłoszenie w prasie o poszukiwaniu dziadka, mimo że w tym czasie miałby już 105 lat.

W marcu 1993 otrzymałem list z Polskiego Czerwonego Krzyża, informujący – na podstawie pisma Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża Federacji Rosyjskiej z 3.12.1991 – że Władysław Wróbel, aresztowany 13.10.1939 przez ODTO NKWD Kolei Lwowskiej, umieszczony w więzieniu nr 1 we Lwowie, art. 54–13, wyrok OSO (*Oso-*

*boje sowieszczanije – Kolegium specjalne NKWD*) z 11.10.1940 r.: 8 lat ITŁ (isprawiтелно-трудовой лагерь – *poprawczy obóz pracy*), zmarł 2.09.1941 w Uchtiżemłag na terenie KOMI ASSR w miejscu odosobnienia. Miejsca pochowania nie ustalono.

Do pierwszej masowej deportacji, liczącej 220 tys. obywateli polskich, doszło 10 lutego 1940 roku (wg danych NKWD było to 140 tys.). Przygotowywana przez NKWD od grudnia 1939 wywózka objęła osadników wojskowych, średnich i niższych urzędników państwowych, pracowników służby leśnej oraz kolejarzy. Polacy stanowili 70% tej liczby; pozostałe 30% to ludność białoruska i ukraińska. Na spakowanie się wywozonym dawano kilkadziesiąt do kilku minut. Transport na miejsce zsyłki odbywał się w wagonach towarowych, do których wsadzano po 50 osób. Podróż trwała niekie-



dy kilka tygodni w nieludzkich warunkach w temperaturze dochodzącej do minus 40 stopni. Wiele osób zmarło podczas transportu, a przybyłych na miejsce zsyłki czekała niewolnicza praca, nędza, choroby i głód.

Kolejną deportację przeprowadzili bolszewicy 13 i 14 kwietnia 1940 roku. Wywózką zostały objęte rodziny poprzednio zesłanych wrogów ustroju, urzędnicy państwowi, wojskowi, policjanci, pracownicy służb więziennych, nauczyciele, działacze społeczni, kupcy, przemysłowcy i bankierzy. Zesłano 320 tys. osób (wg NKWD: 61 tys.) w tym kobiety i dzieci stanowiły 80%.

Trzecia deportacja miała miejsce w maju i lipcu 1940 roku. Objęła uchodźców, przybyłych w czasie działań wojennych na tereny zajęte przez Sowieców. Większość deportowanych (80%) stanowili Żydzi, Białorusini i Ukraińcy. Liczba zesłańców wyniosła 240 tys. (wg NKWD: ponad 80 tys.), zostali oni przesiedleni do autonomicznych republik radzieckich, gdzie umieszczono ich w specjalnych osadach pod kontrolą NKWD.

Ostatnią, czwartą deportację przeprowadzono pod koniec maja i w czerwcu 1941 roku, w przededniu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Objęła ona ludność ze środowisk inteligentkich, rodziny kolejarzy, rodziny osób aresztowanych przez NKWD w czasie drugiego roku okupacji, robotników oraz rzemieślników. Razem: 220 tys. osób (wg NKWD: ponad 85 tys.). Wywózka ta dotknęła szczególnie tereny Białostockiej, Grodzieńskiej i Wileńskiej. Według danych NKWD, ujawnionych przez Rosję w 1990 roku, w czterech deportacjach zesłano około 340 tys. obywateli polskich. Według niektórych polskich historyków była to liczba o wiele wyższa, bo przekraczająca milion zesłańców. Jedno jest pewne: w okresie od roku 1939 do 1941, czyli w czasie pierwszej okupacji sowieckiej, na Syberię zostało zesłanych kilkakrotnie więcej Polaków niż w okresie poprzednich 200 lat rosyjskiej dominacji na ziemiach polskich. Deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR z lat 1940–41 nie były ostatnimi. Po wkroczeniu

wojsk Armii Czerwonej na tereny polskie okupowane przez Niemców – do syberyjskich łagrów trafili żołnierze polskich formacji podziemnych oraz „wrogowie ludu” czyli ludność cywilna nieprzychylnie nastawiona do Sowietów.

Przykładem takich działań może być Lwów. Bezpośrednio po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną w lipcu 1944, czyli „za drugich rusków”, NKWD i Smiersz rozpoczęły aresztowania żołnierzy Armii Krajowej, polskich działaczy podziemia niepodległościowego oraz uczonych. 2 stycznia 1945 władze sowieckie przystąpiły do kolejnych masowych aresztowań Polaków zamieszkałych we Lwowie. Objęły one 17 tys. osób w tym 31 pracowników lwowskich uczelni. Część aresztowanych została zwolniona, jednak większość deportowano w głąb ZSRR. Skazani na 5 do 15 lat zsyłki, skierowani zostali do ciężkiej fizycznej pracy w kopalniach lub przy wyrębie lasów. Pół roku później zwolniono siedmiu wywiezionych profesorów; dwóch z nich nie przeżyło łagru.

Części wysiedlonych w głąb Rosji udało się opuścić łagry w roku 1942 dzięki formowanej na terenie ZSRR armii gen. Władysława Andersa. Nie wszyscy zgłaszający się ochotnicy dotarli w miejsca tworzących się jednostek Wojska Polskiego, gdyż podejmowane przez nich próby były blokowane. Kolejną szansą na wyrwanie się z sowieckiego piekła było wstąpienie do tworzonej (za zgodą Stalina) Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, będącej załącznikiem „Ludowego” Wojska Polskiego. Niestety, na terenie ówczesnej Rosji nadal pozostawało około 800 tys. obywateli polskich.

6 lipca 1945 została podpisana umowa pomiędzy Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej a rządem ZSRR w sprawie przesiedlenia obywateli polskich z terenów sowieckiej Rosji. Rząd ZSRR zgodził się na przesiedlenie tych osób narodowości polskiej i żydowskiej, które do dnia 17 września 1939 miały obywatelstwo polskie. Aby opuścić Związek sowiecki trzeba było udowodnić polskie pochodzenie. Spowodowało to, że wiele tysięcy osób, pozba-

wionych jakichkolwiek dokumentów, powróciło do kraju dopiero w latach 1957–59.

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej dążył do objęcia repatriacją wszystkich Polaków, znajdujących się na terenie ZSRR, czyli zesłańców z lat 1940–41, ludność uciekającą na wschód przed agresją niemiecką oraz żołnierzy internowanych w roku 1939, a także członków niepodległościowego podziemia z lat 1944–45. Powołany do tego celu Państwowy Urząd Repatriacyjny pod koniec roku 1945 podał, że weryfikację przeszło 248 tys. osób. (Termin „repatriacja” jest właściwy dla powrotów z zesłania w głąb Rosji; nie dotyczy powojennych wypędzeń z zabranych ziem polskich).

Przyczyną kolejnych szklan i trudności był brak informacji, która nie docierała do Polaków rozsianych na olbrzymich terenach ZSRR oraz polityka władz, odmawiająca wyjazdu niektórym grupom zawodowym, np. górnikom z Kazachstanu. W latach 1945–48 z głębi Rosji do Polski powróciło 260 tys. obywateli polskich. Powroty odbywały się w nie lepszych warunkach niż deportacje. Część powracających ciężko chorowała i zmarła na trasach tysięcy kilometrów. Pierwszą pomoc otrzymali dopiero na punktach granicznych.

Tę powracającą falę zesłańców kierowano na tzw. Ziemię Odzyskaną. Pierwsza repatriacja Polaków skończyła się w 1948 roku. Na byłych terenach polskich za Bugiem pozostało około 2,5 milionów obywateli polskich, a na terenach sprzed 17 września 1939 roku – 1,5 miliona. W okresie od 1948 do 1951 powróciło do kraju około 9 tys. osób. Po „odwilży” w ZSRR bardzo dużo ludzi opuściło więzienia i łagry, w tym również Polacy. Umowa pomiędzy władzami PRL a ZSRR z kwietnia 1955 umożliwiła kolejne powroty Polaków, które trwały do roku 1960.

Od maja 1945 Sowieci rozpoczęli wysiedlanie Polaków ze Lwowa. Do listopada 1946 wysiedlono blisko 99 tys. osób narodowości polskiej oraz ponad 3 tys. Żydów. Ludność przesiedlaną wraz z ich ściśle ograniczonym mieniem ładowano do wagonów i wywożono do „nowej” Polski. Ci wyrzuceni ze Lwowa i jego okolic trafiali przede wszystkim na Śląsk: do Gliwic, Bytomia, Opola czy Wrocławia. Do osiedlonych w nowych miejscach rodzin zaczęli powracać Sybiracy.

W grudniu 1988 w Warszawie został zarejestrowany Związek Sybiraków, nawiązujący do wolnościowych i patriotycznych tradycji Związku, założonego w 1928 roku w II RP. Reaktywowany Związek skupił ponad 400 tys. byłych zesłańców, którym udało się przeżyć „Golgotę Wschodu” i szczęśliwie powrócić do kraju. Jednym z dużych skupisk Sybiraków są Gliwice. 8 września 1989 odbyło się zebranie z udziałem 150 zainteresowanych, a już 15 września zostało powołane Koło w Gliwicach. 28.09.1989 odbyło się I Zebranie Założycielsko-Wyborcze, listę obecności podpisało 112 osób w tym już 20 posiadało legitymację Związku. W listopadzie 1990 Koło Gliwickie liczyło 435 członków.



„Niedziela w [syberyjskiej] kopalni” – obraz olejny Jacka Malczewskiego



W lutym 1996 powstał Oddział Rejonowy Związku Sybiraków w Gliwicach, skupiający 9 kół terenowych. Pod koniec roku 1998 oddział liczył 630 członków. Aby uzyskać uprawnienia kombatanckie, trzeba było zostać zatwierdzonym przez Komisję Weryfikacyjną. Niektóre sprawy ciągnęły się długo, ponieważ komisji należało przedstawić rzeczowe dowody, które trzeba było ściągnąć z byłych archiwów sowieckich. Analiza akt personalnych, zgromadzonych w Gliwickim Oddziale Związku Sybiraków, świadczy o różnorodności miejsc wysiedleń: z południowo-wschodnich rejonów II RP, z Litwy i Polesia, a także z centralnych rejonów Polski. Dotyczy to różnych miejsc zesłań: Republika Komi, obwód Archangielski, cały obszar Uralu, Syberia w całej rozciągłości aż po Morze Ochockie, Krasnojarsk i Ałtajski Kraj oraz Kazachstan – olbrzymie tereny dawnego ZSRR, największego obozu zagłady na świecie.

Niestety, czas nieubłagany płynie, odchodzą na wieczny odpoczynek najstarsi członkowie wspólnoty. W roku 2002, w książeczce „Sybiracy w Gliwicach” – spis członków Oddziału Gliwice obejmował 836 nazwisk. Ilu teraz żyje Sybiraków w Gliwicach? Obecny prezes Oddziału Eugeniusz Cymbor informuje mnie, że 21 listopada 2019 roku zliczono 219 członków. Dziś może to być 150 osób, choć odnotowano śmierć tylko tych, na których pogrzeb udała się delegacja Związku ze sztandarem.

Ile lat mają ci żyjący gliwiccy Sybiracy? Najstarsze są panie. Wanda Włodarczyk skończyła 93 lata, urodziła się 15.01.1927 w Dorosijówce w woj. tarnopolskim, a w maju 1941 roku, czyli w czwartej deportacji została wywieziona w rejon Omska. Miała wtedy 14 lat. Z zesłania powróciła w maju 1945. Pani Barbara Nocyszyn urodziła się 12.04.1928 w Buczaczu. Wywieziona została do rejonu Barbarowskiego ze Lwowa 13.04.1940 (okres drugiej deportacji). Miała wtedy 12 lat. Powróciła z zesłania w marcu 1945.



Odznaka Związku Sybiraków



Danuta Szarejko nad grobem matki w rejonie Aryk-Bałyk w stepach Kazachstanu (grób obłożony kamieniami przeciw wilkom)

Przeglądając akta osobowe żyjących Sybiraków, zauważam, że obecnie żyjący Sybiracy w czasie deportacji byli niemowlętami lub mieli po kilka lat. Prawdziwe Dzieci Sybiru. Deportowane były wraz z rodzicami; nie rozumiały przyczyn wywózki. Dla nich był to głód, mróz, udreka i cierpienie. Wielu ich rówieśników nie przeżyło deportacji (zamarznięte ciała wyrzucano z wagonów pociągu). Niektóre dzieci nie przeżyły ciężkich warunków na zesłaniu, inne zostały przymusowo oddzielone od rodziców, a niektórym rodzice zmarli. Zostały osadzone w domach dziecka i przytułkach. Te, które przeżyły i powróciły, miały szczęście, a w pamięci Dzieci Sybiru do końca życia pozostanie wspomnienie Sybiru jako Polskiej Golgoty Wschodu.

*A to czterastoletni Henio Burczak (fragment książki „Droga do Urzędowa” Melchiora Wańkowicza). Utrzymywał rodzinę z siedmiu osób, spekulując machorką, wyprawiając się po sól w step. Zapewnie dłużej, jak kilka dni nie pociągnie i mały mężczyzna to rozumie. Wezwał dwunastoletniego brata, wyjeżdżającego z dzieciniecem i przekazał mu nóż, koszulę, paczkę soli, dwie paczki machorki, fotografie, które zmarli rodzice wywieźli z Polski. Zabezpieczywszy dla ostatniego z rodziny posiadane dobra, mozolnie rekonstruował w pamięci wszystkich, których bratu kazał pozdrowić w Polsce, opuszczonej, gdy miał jedenaście lat. Nigdy ta Polska nie gorzała takim złościstym, takim wspaniałym blaskiem, jak w malignie umierających dzieci...*

Najmłodszy Sybiracy to ci, co zostali poczęci w miejscach zsyłek. Sybir i losy zesłania znają tylko z opowiadań rodziców. Pani Zofia Borówka z domu Biryńczyk urodziła się 12.08.1946 już w Gliwicach. Ojciec jej Janusz Biryńczyk, rocznik 1921, w momencie wybuchu wojny jako uczeń PST w Katowicach był na praktyce w Polskim Radiu Katowice. Uciekając przed Niemcami 3 czerwca 1940, został aresztowany przez Lwowski Graniczny oddział LKSW USRR. 4 października 1940 skazany na 5 lat łagru za nielegalne przekroczenie granicy i zesłany do Obwodu Archangielskiego, do miejscowości Kotłas. Zwolniony 5.10.1944 po czterech latach przebywania w łagrze. Na zesłaniu poznał swoją przyszłą żonę, Polkę, Katarzynę Sołodownik. Rodzice pani Zofii w marcu 1946 powrócili do Polski, a w sierpniu w Gliwicach

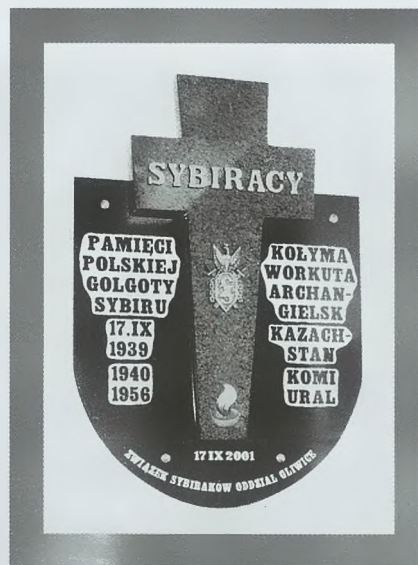
przyszła na świat mała Zosia.

15 sierpnia 2020 prezydent RP Andrzej Duda podpisał ustawę o świadczeniu pieniężnym, przysługującym osobom zesłanym lub deportowanym przez władze Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w latach 1936–1956. To szczególna data, 15 sierpnia oprócz święta kościelnego obchodzimy – my Polacy – Święto Wojska Polskiego na pamiątkę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej w 1920 roku podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Obecnie – po 30 latach wolnej Polski – osób, które obejmuje ta ustawa a zrzeszonych w Związku Sybiraków, żyje około 39 tysięcy. Wydaje się, że to duża liczba, ale faktycznie pozostała ich tylko garstka. Liczba Polaków zesłanych lub deportowanych w głąb Rosji w latach 1936–1956 to 1,35 miliona. Gdy w roku 1988 reaktywowano Związek Sybiraków, zarejestrowało się ponad 400 000 zesłańców. Jakże niewielu doczekało tej ustawy.

Na pewno nikt nie zaprzeczy, że Sybirakom świadczenia pieniężne się należą. Ale dlaczego płacić mamy my – obywatele Polski. Dlaczego mamy jeszcze dopłacać do zsyłek i deportacji, a przede wszystkim – do ciężkiej niewolniczej pracy tysięcy naszych rodaków, którzy budowali gospodarkę Rosji nie za pieniądze, lecz za marną miskę strawy. Czy nie powinien zapłacić za to rząd Rosji? A z drugiej strony, gdybyśmy teraz nie zrekomensowali tych krzywd Dzieciom Sybiru, które jeszcze żyją, choć w tak małym zakresie, czy doczekałyby się odszkodowań od Rosji? ■

*Autor pragnie podziękować Panu Eugeniuszowi Cymborowi – Prezesowi Oddziału Związku Sybiraków w Gliwicach za udostępnienie materiałów oraz pomoc w napisaniu niniejszego artykułu. Ilustracje zamieszczone na tej stronie pochodzą z książki „Sybiracy w Gliwicach” wydanej w 2002 r. przez Związek Sybiraków Oddział Gliwice.*



Epitafium „Pamięci Polskiej Golgoty Sybiru” umieszczone w kościele św. Barbary w Gliwicach



# Józef Para na Śląsku

ANDRZEJ LINERT

Zmarł wszechstronnie uzdolniony aktor teatralny i filmowy, reżyser, dyrektor teatrów i wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. W swoim dorobku artystycznym miał ponad 140 prac twórczych, zarówno jako aktor i reżyser na scenach około dwudziestu teatrów polskich, a także kilkanaście ról telewizyjnych, plus dwie reżyserie oraz około 30 ról radiowych. Wystąpił ponadto w 50 filmach i dodatkowo pełnił funkcje dyrektora teatrów w Bielsku-Białej, Wrocławiu, Katowicach i Warszawie. Z chwilą, gdy już stwierdził, że przyszedł czas, aby zwolnić narzucone sobie tempo, w latach 80. i 90. skoncentrował się na pracy wykładowcy na Wydziale Aktorskim PWSFTviT w Łodzi i przygotowaniu do druku wspomnień. W 1998 r. wydał w Wydawnictwie „Śląsk” tom zatytułowany *Salony i kulisy*.

Urodził się 1 lipca 1922 r. w Wojakowej, wsi położonej w województwie małopolskim w rodzinie miejscowego kierownika szkoły, jako piąte najmłodsze dziecko. Jego inteligencki rodowód zakorzeniony był w kulturze ludowej i patriotycznej Krakowa. Tam w wieku lat dwunastu przeniósł się wraz z rodzicami i ostatecznie w 1949 r. ukończył Państwową Wyższą Szkołę Aktorską. Kiedy więc przyszło mu po latach współtworzyć życie teatralne, w szczególności mocno upolitycznionym województwie katowickim, to buntował się, z uporem manifestując swoje narodowo-patriotyczne przekonania. Znajdowały one ujście w realizacji zarówno klasyki polskiej, dzieł Słowackiego, Fredry, Wyspiańskiego, Rittnera, Prusa, Witkacego i Żeromskiego, a z obcej m. in. Ajschylosa, Shakespeare’a, Moliера, Czechowa, Ibsena, Gorkiego i Millera.

Należał do powojennego pokolenia artystów, dla których sztuka teatru była synonimem świętości, narodowej misji, obiektem kultu i poświęcenia. Widziałem większość jego śląskich ról scenicznych, w tym te w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej niemal wszystkie. Zachwycałem się nim, chociaż od początku najlepiej było go słuchać. Jego niski, mocny głos w konfrontacji z niewielkim wzrostem dominował i zdawał się zadawać kłam jego fizyczności. W gronie jego scenicznych postaci byli zarówno bohaterowie władczy, jak i zagubieni, walczący dopiero o swoje miejsce na ziemi. Były to więc zarówno postaci koturnowi, jak i bohaterowie odwołujący się do realiów współczesności. Łączyła je wszystkie autentyczna aktorska żarliwość oby-

watelska, potrzeba propagowania postaw prospołecznych i propaństwowych, służebnych, obudowanych autentycznym uczuciem patriotycznym. Był w tym swoim zaangażowaniu bezkompromisowy. Nie liczył się z przykrymi konsekwencjami krytycznych sądów i opinii. Bez względu na osobę adwersarza, jak i niesprzyjających okoliczności towarzyskich, trwał przy swoim i to niezależnie od tego czy przyszło mu walczyć z dogmatycznym sekretarzem partii, kierownikiem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, niechętną grupą aktorów, czy też popełniającą błędy merytoryczne przedstawicielką miejscowych krytyków. Niezależny i nieprzejednany, z uporem bronił swoich artystycznych racji. Ponoślił zresztą z tego powodu przykre konsekwencje, zwłaszcza z chwilą, gdy w stanie uniesienia jako dyrektor teatru wydał zakaz wpuszczania na spektakl niezyczliwej mu recenzentki. Do końca pozostał jednak dzięki temu w trudnych latach realnego socjalizmu sobie wierny.

Od początku w pracy scenicznej na Śląsku, zarówno jako aktor, jak i reżyser preferował walory psychologiczne inscenizowanych tekstów i granych postaci. Już w pierwszych swoich rolach dał się poznać jako rzecznik w miarę wiernej rekonstrukcji historycznej tekstu i zgodnej z logiką konstrukcji fabuły widowiska. Z zainteresowaniem śledziłem jego cokolwiek tradycyjną charakteryzację postaci. Zdawał się wspierać nią swoje aktorstwo. Na Śląsku pojawił się w 1949 r. wraz z Władysławem Woźnikiem i jego krakowską grupą uzdolnionych koleżanek i kolegów, absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej, wśród których byli m. in. Zofia Barwińska, Danuta Bleicherówna, Liliana Czarska, Jolanta Haniszówna, Krystyna Iłkiewicz, Zofia Truszkowska, Mieczysław Daszewski, Gustaw Holoubek, Alojzy Nowak i Bolesław Smela. Czas formowania się jego warsztatu aktorskiego i zdobywania doświadczeń scenicznych przypadł zatem na lata nauki w PWSA w Krakowie i na pierwsze lata pracy w Teatrze Śląskim, czas dyrekcji Władysława Woźnika (1949–1951), Romana Zawistowskiego (1951–1954) i Gustawa Holoubka (1954–1955).

Po latach opisując powojenny zespół Teatru Śląskiego, w liście do mnie pisał, że była to *gromada starych i młodych aktorów, wychowanych i myślących tradycjami Polski przedwojennej, którzy w tragicznych okolicznościach powojennych znaleźli się w innej, zakłamanej i sprzedaj-*

*nej rzeczywistości komunistycznej. Cała ta gromada ludzi pragnęła realizować teatru sensu stricto z ducha polski, by choć cokolwiek uratować na przyszłość. A była to siła wyjątkowa, że wymienię ówczesne kierownictwo teatru, a także przybyły zespół teatru lwowskiego o tradycjach arcy-patriotycznych.*

Podkreśliłmy zatem, że warsztat artystyczny Pary wyrastał z ducha Reduty Juliusza Osterwy i jego uczniów, w tym m. in. Woźnika, Zawistowskiego i Holoubka. Dodatkowo na jego ostatecznym kształcie zaciążyły doświadczenia obowiązujące w latach realizmu socjalistycznego. Nie był jego wynawcą, wręcz przeciwnie, ale cenil sobie wielkich swoich nauczycieli i konsekwentnie podążał śladem ich wspólnotowych poszukiwań, domagając się od współpracujących z nim aktorów gotowości do poświęceń w pracy teatralnej i w pracy nad sobą. Stąd też bliskie mu ideały samokształcenia, rozwoju duchowego i oddanie służbie społecznej.

Z Teatrem Śląskim związany był początkowo w latach 1949–1955. W tym okresie dał się poznać jako jeden z najbardziej zdolniejszych w zespole aktorów młodego pokolenia. Zagrał w tym czasie m.in. w *Intratnej posiadzie* Ostrowskiego postać Jusowa w reż. Edwarda Żyteckiego, Zbigniewa w *Mazepie* Słowackiego w reż. Romana Zawistowskiego oraz w reż. Gustawa Holoubka postaci Jana Kochanowskiego w *Drodze do Czarnolasu* Maliszewskiego i Helmera w *No-rze* Ibsena. O tym ostatnim krytyka już wtedy pisała, że stworzył postać bardzo jednolitą i konsekwentną w swych psychologicznych motywacjach. Wszystkie zresztą były one już na tyle wtedy głośne, że nie tylko ogólnopolska krytyka zwróciła uwagę na młodego aktora, ale i sam Arnold Szyfman, zaproponował mu etat w Teatrze Polskim w Warszawie. Na własną więc prośbę opuścił Teatr Śląski i w listopadzie 1955 r. wystąpił w Teatrze Polskim w Warszawie w inscenizacji głośnych *Dziadów* Mickiewicza w reż. Aleksandra Bardiniego w roli m.in. Sobolewskiego.

Od tego czasu, zanim po dziesięciu latach ponownie zjawił się w Katowicach, z powodzeniem występował jako aktor nie tylko w Teatrze Polskim, ale i w Teatrze Dramatycznym (1958–1960), Teatrze Ateneum (1960–1961) i ponownie Teatr Dramatyczny (1961–1965), grając m. in. w listopadzie 1962 r. króla Klaudiusza w *Hamlecie* Shakespeare’a w reż. G. Holoubka. Kiedy więc nowy dyrektor Teatru Śląskiego Mieczysław Daszewski



w 1966 r. pozyskał go ponownie do Katowic, to tym razem przybył już opromieniony sławą głośnego aktora stołecz- nego dojrzały artysta, w dorobku którego były powszechnie aplaudowane role, w tym m. in. dra Ranka w *Norze* Henryka Ibsena w Teatrze Polskim w reż. Marii Wiercińskiej, następnie w Teatrze Dramatycznym Bohatera w prapremierze *Kartoteki* Tadeusza Różewicza w reż. Wandy Laskowskiej, Inspektora Finglasa w *Czerwonych różach dla mnie* Seana O'Caseya w reż. A. Bardiniego i Kreona w *Medei* Eurypidesa w reż. Jerzego Markuszwskiego.

W obserwowanych w połowie lat sześćdziesiątych trudnych warunkach powszechnej ingerencji w proces twórczy administracji politycznej i państwowej, Para w Katowicach na wstępie przygotował Stefana Żeromskiego *Sułkowskiego*. Kładąc nacisk na zawarte w tekście treści patriotyczno-społeczne i wspierając się konsultacjami Augusta Grodzickiego, akcentował przede wszystkim konflikt ideowy bohatera dramatu z racjami rojalisty D'Antraiquesa. Stąd widowisko przyjęte zostało jako głos na temat losu narodu i roli praworządności w życiu społecznym. Sułkowski grany przez reżysera na zmianę z Henrykiem Marusz- czykiem nie był na wzór postaci Juliusza Osterwy hamletyzującym idealistą czy jak chciał Leon Schiller osamotnionym bohaterem mistycznym, ale upominającym się o elementarną praworządność i uczciwość obywatelem. Z tego też punktu widzenia widowisku nie można było nic zarzucić chociaż jego aluzyjny charakter był w pełni czytelny.

Z uznaniem przyjęte również zostało przygotowane pod koniec sezonu przedstawienie *Trojanek* Eurypidesa w adaptacji Jeana Paula Sartre'a, w których zgodnie z duchem tragedii antycznej Para akcentował ślepą namiętność ludzką, będącą konsekwencją gry sprzecznych sił społecznych. Spektakl dotyczący złożonych uwarunkowań ludzkiego losu i towarzyszącej bohaterowi samotności, kończył sezon potwierdzając coraz powszechniej lansowaną opinię o udanym powrocie na Śląsk uzdolnionego aktora i dobrze zapowiadającego się reżysera. Nie dziwi zatem fakt, że w kilka miesięcy później on sam zdecydował się na przygotowanie dyplomu reżyserskiego, na podstawie niedokończonego dramatu Juliusza Słowackiego *Horsztyński*. Spektakl po nieznacznym przesunięciach w tekście i w opracowaniu Edwarda Csató, wystawiony został pod tytułem *Szczesny Kossakowski* w scenografii Andrzeja Cybulskiego i z muzyką Witolda Szalonka. Reżyser akcentując zaangażowaną postawę polityczną młodego pokolenia, odwoływał się do wartości patriotycznych i narodowych. Zamknięte w logiczną całość widowisko kończyło Hamletowskie pytanie: *Co robić... Po-*

*wiedz wahająca się myśli, co robić?* Postawione w 1835 r. przez Słowackiego pytanie, Para, wiedziony intuicją wrażliwego obywatela, po latach przypominał na scenie Teatru Śląskiego u progu wydarzeń marcowych 1968 r. jako Ksawery Horsztyński.

Jego widzenie sztuki teatralnej podkątowane było nie tyle podmiotową funkcją artysty teatru, ile precyzyjną rekonstrukcją intencji autora tekstu. W tym celu w swojej praktyce reżysera rzemieślnika, z upodobaniem na wstępie dokonywał analizy tekstu i występujących w nim postaci, następnie zarysowywał jeszcze przy stole kontury akcji, tłumacząc przy okazji motywację działań i ich uwarunkowania psychologiczne. I wreszcie domagał się od całego zespołu aktorskiego opanowania pamięciowego tekstu. Po tej serii prób przy stoliku decydował się zazwyczaj dopiero na próby sytuacyjne. Był reżyserem wymagającym, a równocześnie reżyserem skoncentrowanym na grze aktorskiej, na działaniach, intencjach, motywacjach, widocznych i skrywanych emocjach. Sam jako aktor całą swoją uwagę koncentrował na pogłębionej analizie psychologicznej granej postaci. Wspierał się zazwyczaj staranną charakterystyką. Konsekwentnie uprawiał szlachetny model psychologicznego aktorstwa iluzjonistycznego. Stąd zazwyczaj stosowane przez niego tworzywa teatralne pełniły funkcję służebną wobec nadrzędnej funkcji literatury. To samo można powiedzieć również o sposobie budowania jego scenicznych postaci, których pogłębiona analiza psychologiczna była m. in. wzmacniana zgodnym z duchem epoki strojem, gestem, charakterystyką i głosem, jego brzmieniem, modulacją i barwą. Wszystko to w harmonii z pozostałymi środkami wyrazu tworzyło w pełni prawdopodobne i wiarygodne postaci. Równocześnie było efektem poczucia rzetelności wobec sztuki teatru, którą traktował z pełnym oddaniem i nad wyraz serio.

Występującym w jego widowiskach elementom iluzji służyła zazwyczaj także realistyczna zabudowa sceny. Stąd też on sam, jak i jego aktorzy „wcielali się”, bądź też „wczuwali w psychikę bohaterów”, zgodnie z intencjami Osterwy dopowiadając niejednokrotnie poza tekstem dodatkowe sensory i znaczenia rozgrywanej akcji. Dlatego też jego widzenie i rozumienie teatru było konsekwencją nie tyle rozbudzonych emocji, ile efektem żmudnej i precyzyjnej analizy psychologicznej postaci. W jego założeniach w złożonym procesie komunikacji społecznej, służyć to miało próbie artykulacji postaw obywatelskich, zabarwionych tonacją narodową i elementami szlachetnej publicystyki. Wszystko to zjednywało mu w tym czasie początkowo wielu sympatyków,

w tym m. in. uznanie w kręgu ówczesnych wojewódzkich władz państwowych i politycznych. Kiedy więc w 1967 r. Mieczysław Górkiewicz opuszczał Teatr Polski w Bielsku-Białej i przechodził do Teatru Śląskiego, Parze niespodziewanie zaproponowano objęcie dyrekcji teatru bielskiego.

Sformułowany wtedy przez niego zarys repertuaru teatru terenowego, zmierział do zaspakajania potrzeb i zainteresowań jak najszerzych grup społecznych. W jednym z wywiadów stwierdził: *Interesuje mnie teatr powszechny, w którym zadowolenie znajdują Ci, którzy rzadko do niego chodzą, jak i Ci, którzy bez teatru obejść się nie mogą*. Tego zresztą od niego oczekiwano i takie postulaty pod adresem teatrów na prowincji w tym czasie formułowano. Szlachetne w swych zamierzeniach plany, Para zamierzał realizować poprzez repertuar przede wszystkim polski. I jakkolwiek w praktyce w Teatrze Polskim w latach 1967–1973 realizował eklektyczny model teatru, to jednak wystawiane w tym czasie na jego scenie sztuki wyróżniała stosunkowo wysoka temperatura zaangażowania społecznego. W większości przygotowywanych widowisk z upodobaniem akcentował problemy dotyczące egzystencji człowieka. Uwrażliwiony na dobre zespołowe tradycyjne aktorstwo psychologiczne, z sukcesem utrzymywał całkiem przyzwoity poziom przez cały okres swojego dyrektorowania. Widoczne to było zarówno na przykładzie *Fantazego* Słowackiego, *Bolesława Śmiałego* Wyspiańskiego, *Domu lalki* (*Norze*) Ibsena, *Głupim Jakubie* Rittnera, *Kupcu weneckim* Shakespeare'a, *Księcia Niezłomnego* Słowackiego, *Doktora Judy* Żeromskiego, a nawet w rzadko granych i piekielnie trudnych realizacji *Persów* Ajschylosa oraz *Szewców* Witkacego i *Kartoteki* Różewicza, tym razem przygotowanej już w jego reżyserii i z jego udziałem w roli Bohatera. Całości dopełniało zgodne z duchem epoki *Dożywocie* Fredry, z udziałem artysty w roli Łatki. W sumie ambitny i zróżnicowany repertuar. Jego realizacja przypadła na najciekawszy i bodaj najdojrzały okres w biografii artysty. Nigdy już potem jako dyrektorowi teatru nie było dane przez sześć sezonów w miarę spokojnie kierować wybraną sceną. Opuszczając Bielsko w 1973 r., z reguły już tylko przez dwa sezony zarządzał powierzonym mu teatrem. Początkowo w sezonie 1973/74 jako kierownik artystyczny, a w następnym również jako dyrektor kierował Teatrem Współczesnym we Wrocławiu, a następnie obejmując ponownie w 1975 r. Teatr w Katowicach również zaczynał jako kierownik artystyczny, aby po roku objąć także dyrekcję Teatru. Ale był to już schyłkowy okres jego kariery dyrektorskiej, jak-



kolwiek w repertuarze Teatru Śląskiego w latach jego dyrekcji nadal odnajdujemy idee zarówno społeczno-polityczne, jak i narodowe, czego przykładem byli m. in. zrealizowani na Małej Scenie *Emigranci* Sławomira Mrożka, jak i *Wyzwolenie* Wyspiańskiego.

W sztuce Mrożka Para eliminując elementy groteskowe i powszechnie w tym czasie skłonności sytuowania sztuki w kręgu teatru absurdu, rzecz potraktował zgodnie z jej charakterem w sposób realistyczny jako sztukę aktorską, opartą na psychologicznej motywacji konfliktu bohaterów. Była to więc historia losów przedstawicieli współczesnej emigracji zarówno politycznej, jak i ekonomicznej. Stawiane pytania dotyczyły przede wszystkim ich przyczyn. W efekcie było to gorzkie oskarżenie pod adresem współczesności, zwłaszcza że akcja widowiska zlokalizowana została w niemieckojęzycznym kręgu kulturowym. Waleory ideowe spektaklu i psychologiczne obu bohaterów sztuki, poza krytyką krajową docenił m. in. Związek Polaków „Strzecha” w Austrii, zapraszając w październiku Parę i Adama Kwiatkowskiego na występy do wiedeńskiej sali Polskiej Strzechy. Niechętny temu wyjazdowi Komitet Wojewódzki PZPR zabronił w prasie polskiej relacji z tych występów, a ówczesny dyrektor Wydziału Kultury UW nie wyraził zgody na sfinansowanie kosztów związanych z wyjazdem i prezentacją spektaklu za granicami kraju.

Również późniejsze *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego, zrealizowane w scenografii Jerzego Moskala we wrześniu 1976 r., Para przekształcił miejscami w krytyczną i bezkompromisową wypowiedź o wadach rodaków. Jako inscenizator, dokonując znacznych skrótów tekstu, swoją uwagę skoncentrował na cechach tzw. dobrego Polaka. Dlatego też jako Konrad wywołony był od ciężających na bohaterze idei, światopoglądów i przebrzmiałych dyskusji. Pozbawiony tragizmu i sprzeczności wynikających z niemożności działania, od początku do końca był, podobnie jak i cały spektakl, przykładem logiki, w której dominowała ponownie ostra, niemal publicystyczna ocena współczesności. Niemy mi jej świadkami były wiszące, na dominujących na scenie filarach, niejako zantagonizowane ambona i trybuna. To one były nie tylko świadkami toczącej się w ich tle dyskusji, ile jej źródłem. Miały więc swoją jasno zdefiniowaną wymowę społeczną. Obywatelski i patriotyczny charakter tego widowiska był w tym czasie zapowiedzią mających nastąpić zmian politycznych. Perypetie związane z realizacją ostatecznej wymowy ideowej spektaklu i panującej wokół Teatru Śląskiego atmosfery, najlepiej ilustruje historia okoliczności-

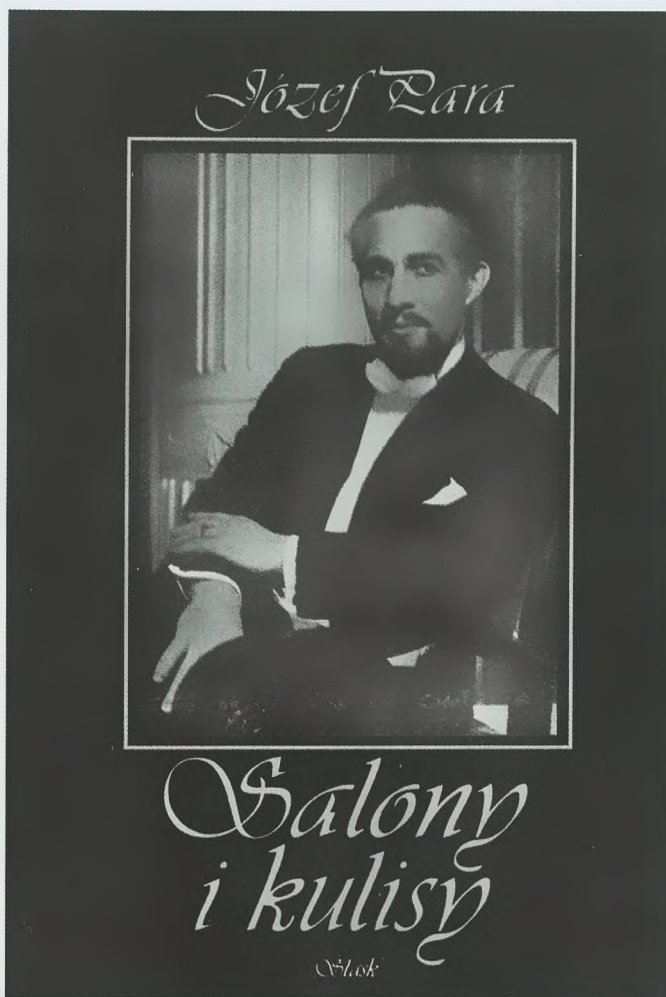
wego plakatu wg projektu Jerzego Moskala, prezentującego orła zakomponowanego z samych tylko łańcuchów. Nakład ograniczono do 50 sztuk, a jego eksponowanie ograniczono wyłącznie do holu teatru. Dowodzi to tego, że w trudnym okresie lat 1975–1977 Teatr Śląski w imieniu społecznym podejmował trud przemawiania pełnym głosem.

Pozbawiony umiejętności dyplomatycznych, a równocześnie bezkompromisowy i nieustępliwy w walce o racje artystyczne Para, po dwóch latach przegrał w walce ze szczególnie wpływowym i ustosunkowanym środowiskiem aktorskim, a także

z istniejącą w tym czasie w KW PZPR szczególnie doktrynalną ekipą partii. Opuszczał Śląsk rozgoryczony i w poczuciu osamotnienia. W książce po latach w związku z tym napisał: *Z perspektywy lat te bolesne wydarzenia wydają się dziś mało znaczące, a wtedy równały się mordowi artysty, niemal końcowi świata, utratą czegoś najcenniejszego, jakim jest zaufanie publiczności.*

Po wyjeździe z Katowic powrócił do Warszawy. Występował w Teatrze Ateum i Teatrze Dramatycznym. Na Śląsku gościnnie pojawił się jeszcze dwukrotnie tylko w Zabrze, kiedy to w listopadzie 1987 r. na zaproszenie Adama Kopciuszewskiego wystawił *Doktora Judy* Jerzego Mrożka i następnie na zaproszenie Jerzego Króla w październiku 1996 r. Wtedy to przygotował w tłumaczeniu i adaptacji Juliana Tuwima farzę Franza i Paula Schönthanów *Porwanie Sabinek*. Dodajmy, że w tym czasie od 1982 r. jako wykładowca uczył w PWSFTviT w Łodzi. W 1989 r. senat uczelni w wyniku poniesionych zasług przyznał mu stanowisko profesora nadzwyczajnego.

Na koniec przypomnijmy, że w pamięci publiczności ogólnopolskiej utrwalił się w roli Komisarza Przygody w filmie *Vabank* i *Vabank II* w reż.



Józef Para, *Salony i kulisy*. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 1998

Juliusza Machulskiego. Zagrał także m. in. w *Agencji nr 1* Zbigniewa Kuźmińskiego, *Człowieku na torze* Andrzeja Munka, *Trędowatej* Jerzego Hoffmana, *Królowej Bonie* Janusza Majewskiego, *Do krwi ostatniej* Jerzego Hoffmana, *Polonii Restitucie* Bohdana Poręby, *Najdłuższej wojnie nowoczesnej Europy* Jerzego Sztwiertni i w *Alchemiku Sendiviusie* Jacka Koprowicza. Wystąpił ponadto w kilkunastu widowiskach telewizyjnych, z czego kilka sam reżyserował. Był także chętnie angażowany do licznych słuchowisk radiowych, ponieważ posiadał wyróżniający, dobrze ustawiony niski głos.

Na koniec podkreślmy, że był laureatem wielu nagród i wyróżnień, w tym m. in. Nagrody Państwowej za kreacje aktorskie, Ministra Kultury i Sztuki za całokształt pracy artystycznej oraz Srebrnej i Złotej Maski Województwa Katowickiego. Został także odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz z okazji 60-lecia pracy aktorskiej, 40-lecia reżyserskiej i 25-lecia pedagogicznej odznaczony został Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Zmarł 9 listopada 2020 r. w Warszawie w wieku 98 lat.



## Dlaczego

co ja tu jeszcze robię?  
 jak to możliwe?  
 nie wiem jak się wyrzebać  
 ktoś wpuszcza mi truciznę w niezagojoną ranę  
 rana zostanie, trucizna zostanie  
 nawet wtedy kiedy mnie nie będzie  
 czy się doczekam czasu  
 kiedy mnie już naprawdę nie będzie?  
 czy nie będzie mnie nawet wtedy  
 kiedy przestanę być?  
 a może odejdę zanim przestanę być?  
 albo dotrąm sam ze sobą do naszego końca?  
 to się nazywa piekło  
 piekło nie jest swojskim piekiełkiem  
 z podań i bajek  
 nawet nie opisem Eco czy Joyce'a  
 „piekło to inni”?  
 piekło to ja  
 i oni  
 a może piekło to każdy kolejny dzień?  
 każde przebudzenie o poranku,  
 konieczność podejmowania decyzji,  
 dokonywania wyborów jedynie po to,  
 by udawać, że się jest,  
 by udawać, że wybory są ważne i potrzebne  
 warto walczyć o prawo do dokonywania wyborów?  
 po co skoro nawet wiosna przestaje mieć sens?  
 nie ma wyborów  
 nie ma wyjść  
 nie ma słusznych decyzji  
 jest mgła

## Odyseusz

Jak wygląda tve szczęście, Odyseuszu?  
 już wiem –  
 napięty żagiel  
 amfora wina z Epiru  
 obłoki odbite w wodach Mesogaios  
 odcienie morskich fal –  
 lazur, szmaragd, granat  
 krople słonej wody na twarzy  
 zapach ryb,  
 pojawiający się we wspomnieniach  
 aromat piersi Penelopy  
 i jej zapał  
 w ofiarowaniu ci rozkoszy  
 uroczu sepleniąca prośba malutkiego Telemacha  
 o wystruganie małej triery  
 o których jeszcze nikt nie słyszał  
 (ożeni się potem z twoją kochanką)  
 a może?  
 to podziw, szacunek i uznanie w oczach twoich towarzyszy  
 to zgiełk bitewnego szturm  
 to piękno i pożądanie trojańskich kobiet  
 albo  
 słońce zachodzące za horyzont  
 ciepłe promienie na poranionych dłoniach  
 tęsknota za domem  
 za Itaką  
 za spokojem  
 dopóki są wspomnienia, marzenia i tęsknoty  
 warto żyć...  
 dopóki masz pewność, że jesteś  
 wszystkim dla niektórych ludzi  
 ich marzeniem, sensem i radością  
 nie musisz zaklejać uszu woskiem.  
 Bądź wierny swym wspomnieniom  
 kochaj  
 a nade wszystko  
 bądź kochany...  
 tylko to ma sens

rys. Bogna Skwara





## Ulubieniec bogów

Gdzieś  
fale przyboju wyrzuciły  
na piaszczysty brzeg  
ciało mężczyzny...  
Mocno ścisnął w martwej garści  
oko cyklopa  
wyglądało na to, że nie próbował  
walczyć  
Świadomie poddał się swemu  
największemu wrogowi...  
Pod martwą powieką  
Majaczył obraz niemłodej już kobiety,  
zarys sylwetki konia  
W niesłyszanych uszach ślady wosku.  
Dlaczego nie walczył? dlaczego  
zwątpił? Nie wierzył?  
Czy nie było nikogo  
kto tęsknił za nim, czekał  
rozpaczał?  
Czy on sam nie mógł już  
wierzyć w to dość mocno?  
Czy po prostu  
pokonały go zmęczenie, zwątpienie  
i rozpacz...  
a przecież wyglądał na ulubieńca bogów...  
Przychodzi taka chwila w życiu  
każdego mężczyzny,  
kiedy nie można wierzyć już w nic...  
nawet w powrót czy podróż w nieznanne  
kiedy przyjaźnie zawodzą,  
a miłość kobiet zawsze w końcu  
okazuje się ułudą  
i morze nie snuje już swych opowieści  
bohaterom  
Ślepiec nie miał racji,  
to musiało wyglądać  
właśnie tak...  
Wszystko zawsze wygląda  
właśnie tak...

## Wieczór

oplata mnie pajęcza nieć  
zapachów, ciemności, chłodu i ciszy  
padał deszcz – krople wilgoci czuję na policzkach  
rzęsach włosach palcach stopach  
intensywnie pachną kwiaty wiciokrzewu i lawenda  
palą się światełka mojego ogrodu  
w powietrzu wyczuwam obecność  
słodczy wiatru  
i minionego słonecznego ciepła  
milczą ptaki – prawdopodobnie poszły spać  
albo są zmęczone upałem dnia  
który zgasł  
nic nie przybliżył mnie do Ciebie,  
bo wiem, że nie ma mnie  
w Twoich myślach  
o tym, że Ty jesteś we mnie  
w mojej skołatanej głowie  
że Cię ciągle kocham  
świadczą iskiereki  
tłącego się głęboko pożądania,  
utrwalone na zawsze w pamięci  
dźwięki muzyki,  
melancholia tego wieczoru  
i mój smutek...  
z wszystkich sił staram się nie nazwać go rozpaczą...



rys. Bogna Skwara

## Hidalgo don Quijote de la Mancha

Świat nie lubi takich jak my  
musimy być bardzo ostrożni  
omijać główne drogi  
nie zawierać pochopnych przyjaźni  
nie zdradzać celów i intencji  
ani przeżyć serdecznych  
ani strapień bolesnych  
Zwolnij trochę, mój Rosynancie...  
Rosynant śpi  
Tym razem się położył  
i boki poruszają się  
z rytmem oddechu  
Znużyła go droga, słońce i wiatraki  
Zmęczył zbyt gadatliwy jeździec  
Kocha go i wiele mu zawdzięcza  
jest lekki i dba o swego konia...  
Ale parzące południowym słońcem  
drogi Kastylii  
ciągną się w nieskończoność  
i nawet ich wędrówka zdaje się  
nie mieć końca  
Koł nie rozumie  
Widocznie tak musi być  
Widocznie wszystko jest wędrówką  
i nie czekają przy drodze  
Dulcynee z bukietami kwiatów  
i obiecującymi wiele uśmiechami  
i trzepotem rzęs  
nawet nie z koszykami owsa  
Dopóki wędrujemy świt nas budzi nadzieją  
a zmrok otula zmęczeniem  
to wędrówka bez końca i bez  
sprecyzowanego celu  
Bo życie jest drogą donikąd  
ale wędrujemy pełni nadziei  
że tak wcale nie musi być



19 października 2020 roku zmarł Wojciech Pszoniak, wielki aktor, wspaniały człowiek i fantastyczny przyjaciel. Poznaliśmy się w Gliwicach, a potem na naszej wspólnej drodze znalazły się takie miasta jak Paryż, Warszawa i Łódź. Wieża gliwickiej radiostacji przypominała mu wieżę Eiffla. 10 lat temu wyreżyserowałem fabularyzowany film *Z Gliwic do Paryża – Wojtek Pszoniak...*

Kiedy pracowałem jako szef artystyczny Gliwickiego Teatru Muzycznego (2001–2016), często zapraszałem Wojtka na Śląsk i zawsze, gdy tylko mógł, chętnie przyjeżdżał do Gliwic. Miał do tego miasta i ludzi ogromny sentyment. Początkowo nocował w eleganckim apartamencie w hotelu Royal. Polubił tamtejszą restaurację oraz wspaniałego kelnera z poczuciem humoru i znakomitą pamięcią. Nawet gdy pojawialiśmy się po wielomiesięcznej przerwie, wiedział, co najbardziej lubimy zjeść i jakie wybieramy napoje. Jedzenie było tam znakomite. Wojtek lubił zamawiać śledzie i tataro jako przystawki, nie gardził też czystą wódką, ale musiała być dobrej jakości i odpowiednio zmrożona.

Podczas kolejnych przyjazdów do Gliwic nocował w Hotelu Diament Plaza przy ulicy Zwycięstwa. Pamiętam, kiedy pojawił się tam kilkanaście lat temu ze swoją piękną żoną Basią i uroczym pieskiem Leo. Przyjechał wspaniałym białym kabrioletem Alfa Romeo. Auto było fantastyczne, ale miało niewielki bagażnik, w którym musiał zmieścić się też otwierany dach. Pszoniakowie mieli tam popychane w każdy zakamarek różne torby zamiast jednej dużej walizki. Wojtek zapytał mnie: „A gdzie boy hotelowy?”. Okazało się, że nie było boya i sami musieliśmy wszystko wnieść do apartamentu. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że Pszoniak ma przewrócone w głowie, ale przecież zasłużył sobie na luksus, stał się jednym z najszlachetniejszych polskich aktorów, znanych na świecie. Zdobył sobie też pozycję dzięki wielkiemu talentowi i ciężkiej pracy.

Mówił mi, że marzy o tym, aby kupić sobie apartament na południu Francji, w Marsylii albo Nicei, z widokiem na Morze Śródziemne. Chciał tam patrzeć na piękne zachody słońca. Uwielbiał Francję, ale coraz bardziej niepokoiło go to, co dzieje się w tym kraju z powodu terroryzmu i wewnętrznych konfliktów. Cierpiał też z tego powodu, że w Polsce wzrasta w ludziach agresja i nienawiść. Wojtek nie lubił tłumów, natomiast uwielbiał spotkania w gronie przyjaciół. Pamiętam te wielogodzinne kolacje w Gliwicach i Łodzi. Szukaliśmy miejsc, w których kucharz nie idzie do domu o 22.00. W Gliwicach była to wspomniana restauracja w hotelu Royal, a w Łodzi – Anatewka, zarówno ta stara, z mnóstwem obrazków na ścianach, znajdująca się w po-



Wojtek Pszoniak i Krzysztof Korwin-Piotrowski

# Wojtek Pszoniak – z Gliwic do Paryża

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

blizu hotelu Grand, jak i nowa, na terenie Manufaktury.

Wojtek był sam wspaniałym kucharzem. Robił na przykład znakomitą zupę rybną. Najpierw trzeba podsmażyć w garnku na oliwie pokrojoną w kostkę marchewkę i cebulę, z dodatkiem czosnku i zielonej pietruszki. Potem zalewa się to wodą i wkłada rybie głowy oraz przyprawy (sól, pieprz, odrobinę szafranu i startej skórki pomarańczowej, liście laurowe, zioła prowansalskie i papryczkę chilli). Po 3 godzinach trzeba przecedzić wywar, dolać białego wina, włożyć filety kilku rodzajów ryb, a na koniec – owoce morza.

Poznałem go bliżej kilkanaście lat temu, gdy Paweł Gabara był dyrektorem Gliwickiego Teatru Muzycznego, a ja – szefem artystycznym. Zapraszaliśmy Wojtka między innymi na Gliwickie Spotkania Teatralne i na Krakowski Salon Poezji Anny Dymnej w Gliwicach. Szczególnie wzruszające było spotkanie artystyczne „Gliwice Różewicza”, które poprowadziłem po śmierci Tadeusza Różewicza w 2014 roku. Kiedy Wojtek miał 13 lat, zmarł jego tata i w pewnym sensie Różewicz zastąpił mu ojca. Spotykał się z nim, dawał mu do czytania swoje wiersze, prosił o wsparcie pomysłów artystycznych Studenckiego Teatru Poezji, działającego przy Politechnice Śląskiej.

W STEP-ie zostały zrealizowane pra-

miery sztuk Różewicza: *Świadkowie albo Nasza mała stabilizacja* oraz *Spaghetti i miecz*. Wojtek aktywnie działał w tym teatrze jako aktor i reżyser, zanim poszedł na studia do krakowskiej PWST. Różewicz, który stał się kierownikiem literackim STEP-u, mieszkał z żoną Wiesławą, synami Kamilem i Jankiem oraz teściową w kamienicy bardzo blisko Operetki Śląskiej, przy ulicy Zygmunta Staro 28, a Wojtek mieszkał z rodzicami i dwoma braćmi przy Arkońskiej 7, koło Placu Krakowskiego. W gliwickiej szkole muzycznej uczył się gry na skrzypcach, a potem grał też na oboju i klawnie, dojeżdżając do średniej szkoły muzycznej. Grywał na saksofonie w gliwickim klubie jazzowym. Występował w „Gwarku” na rynku i w „Spirali” należącej do Politechniki Śląskiej.

Przyjaźnił się między innymi z Wiesławem Gawrysiem, filmowcem i bardzo dobrym fotografikiem. Zrealizowali zabawny film w formie slapstickowej: *Wakacyjne przygody Wojciecha Pszoniaka*. Spotykał się też z Tadeuszem Wojarskim, prezesem Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych, u którego oglądaliśmy w odlewni pomniki Jana Pawła II i innych świętych. Podziwiał Ruiny Teatru Miejskiego w Gliwicach, ale też podobała mu się atmosfera Muzeum w Gliwicach – Willi Caro. Razem zwiedziliśmy tam znakomitą wystawę, po-



święconą ludziom przybyłym ze Lwowa i okolic, po której oprowadzał nas dyrektor Grzegorz Krawczyk.

W 2009 roku odbyła się w gliwickim kinie Amok premiera mojego filmu dokumentalnego *Gliwickie lata Tadeusza Różewicza*, w którym wypowiedział się Wojtek Pszoniak i przeczytał jeden wiersz. Pokazywałem ten dokument między innymi w Berlinie, Warszawie, Wiedniu, Edmonton i Nowym Jorku. Udało się również przekonać ówczesnego prezydenta Zygmunta Frankiewicza i Radę Miasta do sfinansowania produkcji filmu o Wojciechu Pszoniaku. Dużą w tym była również zasługa Pawła Gabary, Piotra Popiela i Moniki Grzechyńskiej. W realizacji pomogło mi wiele osób z Gliwickiego Teatru Muzycznego, ponieważ film był fabularyzowany. Ogłosiłem casting do ról epizodycznych. Wymyśliłem tytuł *Z Gliwic do Paryża – Wojtek Pszoniak*. Zdjęcia realizowałem razem z Mieczysławem Chudzikiem w Gliwicach, Warszawie, Tarnowie, Krakowie, Paryżu i Lozannie.

Mama Wojtka była elegancka, nosiła kapelusze i rękawiczki o każdej porze roku, ale czasami traciła cierpliwość. Zamykała go w pokoju, a on wtedy wystawiał nogi, siadając na parapecie okna i grywał na kilku instrumentach, wzbudzając sensację przechodniów. Obserwował z zaciekawieniem słynną kostiumograf Barbarę Ptak, która mieszkała na Arkońskiej po drugiej stronie ulicy i zawsze wyglądała niezwykle elegancko. Wspominał też panią „śledzikową”, która miała stragan z rybami i pamiętał, jak w piwnicy na Arkońskiej były hodowane gęsi na foie gras z wątróbek. Bywał w Operetce Śląskiej, gdzie oglądał spektakle operowe i operetkowe, ale również gościnne przedstawienia Teatru Śląskiego. Szczególnie zapamiętał Gustawa Holoubka.

Premiera filmu w listopadzie 2010 roku w gliwickim Kinie Amok odbyła się w ramach Międzynarodowego Festiwalu Filmowego „Camera Silesia”. Później mieliśmy też pokazy na festiwalach filmowych i warszawską premierę w Kinie Kultura, po której podczas bankietu Wojtek stuknął się ze mną kieliszkiem czerwonego wina i zaproponował przejście na „ty”. Od tego czasu staliśmy się przyjaciółmi. Film był emitowany ponad 20 razy na ogólnopolskiej antenie TVP. Jest też dostępny na YouTube. Wystąpiło w nim wiele sławnych osób, m.in.: Andrzej Wajda, Daniel Olbrychski, Andrzej Seweryn, Olgierd Łukaszewicz, Anna Polony, Elżbieta Penderecka, Małgorzata Braunek, Barbara Ptak, Krystyna Zachwatowicz, Jerzy Trela, Jerzy Hoffman...

W 2012 roku z inicjatywy „Dziennika Zachodniego” (szczególnie Marleny Polok-Kin) i Gliwickiego Teatru Muzycznego Wojtkowi został przyznany tytuł

Honorowego Obywatela Gliwic. Zorganizowałem mu benefis na scenie teatru dokładnie w jego 70. urodziny. Pamiętam, jak przewieźliśmy Wojtka, Basię i pieska Leo po Gliwicach pięknym starym samochodem, który na rynku uderzył w studnię, ale na szczęście nic nie odpadło. Wieczorem 2 maja Grażyna Torbicka poprowadziła galę, w której wystąpiło wielu artystów GTM, orkiestra, chór, balet i soliści: Wioletta Białk, Małgorzata Długosz, Maria Meyer, Lothar Dziwoki, Krystian Krzeszowiak, Marcin Wyrostek i wspaniały dyrygent Maciej Niesiołowski. Na kanapie na scenie zasiadli: Olgierd Łukaszewicz, Jerzy Fedorowicz i piszący te słowa. Wojtek bardzo się wzruszył, kiedy z rąk prezydenta Zygmunta Frankiewicza odbierał tytuł Honorowego Obywatela.

Przez wiele lat znałem go głównie z wielkich kreacji w filmach Andrzeja Wajdy: *Ziemi obiecanej* (1974), *Dantonie* (1982) i *Korczaku* (1990). Tylko z opowieści słyszałem, jakim genialnym w swoich emocjach i szaleństwie Wierchowieńskim był w *Biesach* Dostojewskiego-Wajdy i jakim nieokiełznanym, latającym nad sceną Pukiem był w *Śnie nocy letniej* Szekspira-Swinarskiego w krakowskim Starym Teatrze. Potem w Teatrze Powszechnym w War-

szawie kreował jakby wyzutego z emocji polityka Robespierre’a w *Sprawie Dantona* Przybyszewskiej-Wajdy czy McMurphy’ego w *Locie nad kukulczym gniazdem* Wassermana-Hübnera. Tu miał niesamowite pole do popisu, kreując przestępcę, udającego chorobę psychiczną i walczącego z dyktaturą pielęgniarki Ratched.

Gdyby Pszoniak nie trafił jako dziecko do Gliwic, pewnie nie poznałby Tadeusza Różewicza, który stał się dla niego ojcem duchowym, może nie poznałby też Adama Zagajewskiego, który mieszkał w tym samym bloku i w tej samej klatce schodowej, przy ulicy Arkońskiej 7, chociaż rodzice Adasia przestrzegali go przed Wojtkiem jako urwisem (zaprzyjaźnili się dopiero wiele lat później w Paryżu).

Z pewnością żał mu było opuszczenia pod koniec wojny mitycznej krainy, o której często wspominali rodzice, czyli Lwowa. Jego ojciec nigdy nie pogodził się z tą stratą. A Gliwice Wojtek zawsze wspominał z wielkim sentymentem, mimo iż wiele tragicznych i trudnych sytuacji się tam wydarzyło: śmierć ojca, próby samobójcze, traumatyczne przeżycia z wojska (gdzie był kadetem i grał na werblu, ale za niesubordynację trafił do karceru), strzyżenie psów, rozładowywanie wagonów towarowych, pra-



Barbara Kaczmarkiewicz, Wojtek Pszoniak, Barbara Pszoniak, Krzysztof Korwin-Piotrowski, Anatewka w Łodzi, 2019

fol. arch. aut.



ca laboranta na Politechnice Śląskiej...

Podczas naszych kolacji w łódzkiej restauracji Anatewka prosił o wódkę Baczewski. Ojciec matki Wojtka – Władysław Babisz był dyrektorem Fabryki Baczewskiego we Lwowie. Wojtek z dumą powtarzał, że to właśnie jego dziadek tworzył receptury likierów, które były produkowane w tej fabryce, a także miał zamiłowanie do sztuki i grał na skrzypcach. Miał swoją lożę w Operze Lwowskiej.

Był maj 2019 roku. Przywiozłem Wojtka i Basię z Warszawy do Łodzi na konferencję prasową w Pałacu Poznańskiego (gdzie kręcone były sceny do filmu *Ziemia obiecana*) i na premierę plenerową opery Rafała Janiaka *Człowiek z Manufaktury* z librettem Małgorzaty Sikorskiej-Miszczyk, w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego. Opiekowałem się tą operą, poczynawszy od pomysłu na spektakl o Poznańskim i włókniańkach, poprzez międzynarodowy konkurs z Krzysztofem Pendereckim jako przewodniczącym jury, aż po prapremierę w Teatrze Wielkim w Łodzi. A teraz przyszedł czas dla mnie najtrudniejszy i najważniejszy: pokazanie w plenerze tego spektaklu (wspólnie z TWŁ i firmą Apsys – łódzką Manufakturą) na Rynku Włókniańek Łódzkich. To przedstawienie jest o Łodzi, o Izraelu Poznańskim, który budował manufakturę, famuły dla robotników, szpitale, szkoły i świątynie, ale także pałace dla siebie i rodziny. Jest w tym spektaklu postać szatana – oprawcy czyli Przybysza / Prokuratora. Wojtek dzielił tę rolę z Michałem Barczakiem. Wystąpił w drugim akcie, wcielając się w oskarżyciela rodem z PRL-u. Miał tu coś z Robespierre'a z *Dantona* Wajdy, ale także rys szaleństwa Wierchowienińskiego z *Biesów*. Próby do spektaklu mieliśmy z udziałem Rafała Janiaka w pięknym, przestronnym mieszkaniu Wojtka w pobliżu Ambasady Francji, w kawiarni na ulicy Nowy Świat i na Uniwersytecie Fryderyka Chopina. A potem przyjechał do Łodzi. Firma Apsys opłaciła mu pobyt w luksusowym hotelu Andel's, gdzie otrzymał wspaniałą 80-metrową apartament. Gdy odwiedziłem jego i Basię, pijąc u nich kawę Nespresso, patrzyliśmy przez okno na Rynek Manufaktury i Wojtek powiedział mi: – „Krzysiu, ja mógłbym tu zamieszkać! Zobacz, jaki wspaniały widok: ta cegła, przestrzeń, tradycja i nowoczesność. Nawet Paryż nie ma tak pięknego miejsca”. A codziennie wieczorem chodziliśmy do szafy, którą mieliśmy zarezerwowaną do pierwszej w nocy. Tak nazywał się wydzielony pokój (jak kiedyś w ekskluzywnych restauracjach *chambre separée*) w restauracji Anatewka w Manufakturze, gdzie na kolacje zapraszała nas wspaniała impresario Barbara Kaczmarkiewicz, właścicielka łódzkiej firmy Promoton, osoba potrafiąca niesamowicie dbać o artystów i znakomicie organizująca wyda-



Wojciech Pszoniak na ślubie Autora



zenia kulturalne. Wojtek lubił kuchnię żydowską. Sam miał częściowo pochodzenie ormiańskie, ale w jego domu mama gotowała również różne żydowskie potrawy.

Stół uginał się od przysmaków. Mieliśmy wiejską wędlinę, tatar z polędwicy wołowej, pasztet z gęsi z żurawiną, karpia po żydowsku, gefilte fish z pieczywem (które Wojtek uwielbiał) i oczywiście śledzie w oleju, w śmietanie oraz po królewsku z cynamonem. Pamiętam jeszcze pyszny gęsi pipek i wątróbkę gęsią w malinach, pierś z perliczki w morelach, kaczkę Karola Borowieckiego, łosia po żydowsku i czulent jagnięcy. Wymienialiśmy się potrawami, aby spróbować jak najwięcej. Te kolacje, zakrapiane winem i wódką, były nieodłącznym elementem dnia. Wojtek uwielbiał celebrować posiłki. Nie znosił fast foodów. Jadał śniadanie dość późno, między dziesiątą a jedenastą, a potem dopiero kolację. W ciągu dnia pił wodę i espresso, ale właściwie nic nie jadł. Zawsze mnie to dziwiło. Taki miał swój rytm. Obiad o 14.00 – to w jego przypadku było wykluczone.

Mieliśmy też wspólne, rodzinne świętowania. 30 czerwca 2013 roku Wojtek czytał słowo z Ewangelii na moim ślubie z Joanną z domu Szastok w Kościele św. Wojciecha w Radzionkowie. Recytował słynny Hymn o miłości z Listu do Koryntian: „Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brząmiący...”. A potem tańczył z Basią na naszym weselu w pięknym hotelu Rezydencja. Był duszą towarzystwa: dowcipny, z ciekawym poczuciem humoru. Gdy ktoś nie znał go dobrze, mógł być zaskoczony, ponieważ prowadził z żoną często taki dialog, że wydawało się, iż się kłócą, ale to była ich małżeńska gra pełna dowcipu i zaskoczeń, wprawiająca jednych w zakłopotanie, a innych bawiąca do łez.

Jesienią 2013 roku polecałem do Paryża z moją siostrą Dorotą. Zostaliśmy zaproszeni do pięknego mieszkania Wojtka w eleganckiej dzielnicy, w luksusowej kamienicy. Śmiał się, że jest bardzo cenny dla Paryża i tajniacy strzegą go w dzień i w nocy. Faktycznie, gdy spojrzałem za okno, średnio co 2 godziny zmieniali się przedstawiciele tajnych służb, którzy strzegli dostępu do posiadłości prezydenta Sarkozy'ego, ponieważ mieszkał naprzeciwko. Wojtek najpierw zaproponował aperitif na kanapie, po godzinie była przystawka już przy stole w salonie, po następnej godzinie – pierwsze danie, po kolejnej – drugie, a po pięciu godzinach – deser. Przy tym delikatnie sączyła się muzyka, rozmawialiśmy o sztuce, życiu, obyczajach i potrawach. Było przemiło, a jedzenie – lepsze niż w najdroższej restauracji.

W marcu 2019 roku byłem z moją żoną oraz Elżbietą i Krzysztofem Pendereckimi na benefisie z okazji 50-lecia pracy artystycznej Wojtka w Mazowieckim Instytucie Kultury, zorganizowanym przez Elżbietę Szymańską i Justynę Niegierysz (menedżerkę Wojtka). Kiedy Pszoniak zapraszał mnie na to spotkanie, mówił, żebyśmy przyjechał taksówką, ponieważ będzie dużo dobrego wina i wspaniała kolacja... Pojawiły się tam między innymi „skrzydełka diabła” według przepisu Wojtka (pikantne skrzydełka z kurczaka) i wspaniała ryba w sosie, którego nie opiszę, ale był przepyszny.

6 listopada 2019 roku Basia Kaczmariewicz zorganizowała Wojtkowi benefis, połączony ze spektaklem *Nasze żony* w jego reżyserii, w Teatrze Muzycznym w Łodzi. Miałem wielką przyjemność poprowadzenia na scenie spotkania z Wojtkiem bezpośrednio po spektaklu. Było miło, zaskakująco i wspaniale, a potem siedzieliśmy do drugiej w nocy w szafie w Anatewce, ale te czasy już niestety nie wrócą.

3 listopada 2020 roku w Alei Zasłużonych, na Powązkach Wojskowych w War-

szawie, z powodu pandemii koronawirusa była nas garstka. W normalnych warunkach pogrzeb Wojtka Pszoniaka stałby się pewnie wielotysięczną manifestacją ludzi kochających Go nie tylko za wybitne aktorstwo, ale także za to, jakim był Człowiekiem. Stałem obok jego wieloletnich przyjaciół – Olgierda Łukaszczyka i Andrzeja Seweryna.

Wcześniej odbyła się msza św. w Kościele Środowisk Twórczych, podczas której piękne kazanie miał ks. Andrzej Luter, słowo z Ewangelii czytał Daniel Olbrychski, a poruszające do łez wystąpienie miał Olgierd Łukaszczyk. Wśród zgromadzonych w kościele osób było wielu wspaniałych artystów, między innymi: Maja Komorowska, Ewa Wiśniewska, Anda Rottenberg, Michał Kwieciński, Jerzy Radziwiłowicz, Rafał Olbiński, Wadim Brodski. Był też wieloletni dyrektor TVP i prezes Edipresse Polska – Zbigniew Napierała.

Kiedy tydzień przed jego śmiercią rozmawiałem z Basią, Wojtek siedział przy stole i wiedział, że telefonuję, ale był tak słaby, że nie mógł już mówić... A gdy kilka miesięcy temu zadzwonił do mnie z informacją, że ma raka, długo nie mogłem się otrząsnąć. Powiedział, że traktuje tę sytuację jak swoje kolejne zadanie aktorskie, że rak jest jak reżyser, który ma jakiś plan, a on musi swoją rolę zagrać najlepiej, jak umie. Medytował, słuchał muzyki, układał pasjansa... Prawie do ostatnich dni życia umiał być baczny obserwatorem własnych poczynań, równocześnie dokonując niesamowitej transformacji. Za to był ogromnie ceniony już jako młody człowiek przez takich reżyserów jak Konrad Swinarski, Andrzej Wajda czy Zygmunt Hübner. Zachwycali się nim także zagraniczni twórcy: Richard Dembo – twórca Oscarowego filmu szwajcarskiego *La Diagonale du fou* (Przekątna gońca), gdzie Pszoniak zagrał jedną z głównych ról (obok Liv Ullmann, Michela Piccoli i Daniela Olbrychskiego), Karel Reisz – reżyser brytyjskiego obrazu *The Deep Blue Sea* (Głębokie błękitne morze) czy Volker Schlöndorff – twórca Oscarowego *Blażanego bębenka* według powieści Güntera Grassa. Zagrał w ponad 100 filmach, dzięki którym pozostanie na wiele lat w pamięci ludzi kultury na całym świecie, a w mojej pamięci będą zawsze serdeczne wspomnienia. Takiego przyjaciela nikt mi już nie zastąpi. ■

**Krzysztof Korwin-Piotrowski** – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego w Warszawie, redaktor naczelny portalu muzycznego [www.orfeo.com.pl](http://www.orfeo.com.pl), wykładowca na Wydziale „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego, reżyser telewizyjny i komentator muzyczny.



Pogrzeb Wojciecha Pszoniaka



# „Niezmierzona przestrzeń życia” Zbyszko Bednorz (1913–2010)

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ



Jaki jest ślad człowieka na pielgrzymich drogach,  
Które co dnia przemierzasz od wiosny po jesień?

Jak znaleźć ten ślad w prawdzie, jak go ująć w słowa?  
Jak wejść w życia ludzkiego niezmierną przestrzeń?  
(z wierszy do Róży)

**D**wudziestego siódmego listopada 2010 roku ukończył wędrówkę ziemską Zbyszko Bednorz, autor *Śląska wiernego Ojczyźnie, Do wyjaśnienia, Lat krecich i orłowych, Uroku mowy wyzwolonej, Gniazda wędrującego* i wielu innych ważnych książek i artykułów pisanych w konwencji eseju, nacechowanego emocjonalnie a zarazem naukowo rzetelnego, bogatego faktograficznie i odkrywczego oraz wspomnień w których życie własne i cudze opisywał z wielką refleksyjnością. Był poetą, prozaikiem, publicystą, naukowcem, a przede wszystkim wysokim autorytetem moralnym, całe życie nawet w wieku bardzo zaawansowanym, powagę łączył z młodzieńczym entuzjazmem. Co pozostało więc po dziesięciu latach z jego pisarstwa, jaki przetrwał w pamięci przyjaciół i znajomych, jaki przeszedł do legendy?

Profesor Zbigniew Zielenka przed laty zauważył *Będąc z pochodzenia człowiekiem klasy co najwyżej średniej, o plebejskich korzeniach, które zdradza nawet nazwisko, przestrzega zawsze form towarzyskich „klas wysokich” i do tego form, które prędzej niż owe klasy umarły. [...] Ubiera się po swojemu [...], mieszka po swojemu (nawet w blokowym M-4 ogromne, ubiegłowieczne meble i dekoracje, spiętrzone według zasad artystycznego nieładu – wychodzą z pokoiów ciasnymi drzwiami), urzędu spotkania towarzyskie po swojemu, lubi wówczas nie tyle sarmackie, co artystyczne gesty, solenne mowy i długie toasty (im „krótsze” napitki). W długich latach szarzyzny, sztampy i zgłajszachtowania potrafił zawsze i wszędzie zaprezentować się barwnie, oryginalnie, samodzielnie, patetycznie i przekornie. Zawsze pozostaje sobą.*

Taki chyba właśnie przetrwał w naszej pamięci, osobny, jedyne, w swoim gorącym słowie, wysokiej kulturze wypowiedzi i zupełnie wyjątkowym kapeluszu, po którym rozpoznawali go przede wszystkim Polanie (nie tylko!).

W swoim długim życiu (żył 97 lat) dotknął różnych odmian czasu, spotkał wielu wybitnych ludzi, poczuł smak wolności i więzienia, warszawskiej konspiracji i pełnego rozmachu życia literackiego, skupienia pracy badawczej i radości wygłaszania staropolskiego toastu!

W licznych książkach prowadził nas w głąb historii, do ważnych kulturowo i historycznie miejsc, a przede

wszystkim do drugiego człowieka, zawsze poszukując uniwersalnej prawdy o ludzkich losach. Tworzył prozę wspomnieniową (znakomitą!), opowiadania, reportaże, powieści, prowadził dziennik, układał wiersze religijne i miłosne, zawsze adresowane do żony – Róży. Jego książki naukowe wciąż mają fundamentalne znaczenie dla badań śląskoznawczych (*Nad rocznikami dawnych gazet śląskich, Ludowe żniwo Opolszczyzny, Dyśzłem i parą. Z dziejów polskiej literatury podróźniczej na Śląsku*), a wspomnieniowe (*Do wyjaśnienia, Gniazdo wędrujące*) są źródłem nie do przecenienia wiedzy o ludziach i sprawach. Nikt jak on nie utrwalił w słowie Józefa Ryszkę „Szczepona”, chorzowskiego poety, który z gwary śląskiej potrafił uczynić tworzywo artystyczne, czy Alojzego Targa „Marcina”, historyka i konspiratora, członka Delegatury Rządu na Kraj, jak i Alfreda Jesionowskiego, publicysty i krytyka literackiego.

Ukształtował go patriotyczny dom rodzinny w Skalmierzycach pod Ostrowem Wielkopolskim, gdzie przyszedł na świat 11 października w roku 1913 w jako trzecie dziecko redaktora Józefa Bednorza pochodzącego z Rudy Śląskiej i Marianny z Woźniaków rodem z Kępna. Imię dostał po Sienkiewiczowskim Zbyszku z Bogdańca. Śląska uczył się w Chorzowie, gdzie rodzina zamieszkała po powrocie tej ziemi w granice państwowości polskiej, tam też wrócił po studiach polonistycznych w Poznaniu i zaraz podjął się pracy dziennikarskiej jako redaktor czasopisma „Powstaniec”, w którym prowadził w latach 1938–1939 dział literacki. Pracę magisterską pisał na temat Jana Nikodema Jaronia pod kierunkiem prof. Romana Pollaka. Zbierając materiały trafił do bł. ks. Emila Szramka, wówczas proboszcza kościoła Najświętszej Marii Panny w Katowicach, o którym po latach wywiadzie dla miesięcznika „Śląsk” napisał:

*Poszedłem do ks. Szramka bez rekomendacji, ale bałem się, to była bardzo wielka postać. Na parafii, był proboszczem kościoła Najśw. Marii Panny: „Chciałbym rozmawiać z ks. Emilem Szramkiem”. Zapytano: „w jakiej sprawie?”; „w takich sprawach literacko-naukowych”. W przedpokoju chwilę musiałem czekać, schodzi Szramek: „Pan do mnie?” Prosi mnie, usiadł za biurkiem; zacząłem mówić, taki wystraszony, jakieś materiały, problemy; początkowo słuchał jakby obojętnie, ale w miarę rozmowy zaczął się żywiej tym interesować. Dlaczego o Janie Nikodemie Jaroniu – bo to mało znany dramaturg, poeta. Była długa rozmowa i dał materiały. On był bardzo kochany! Mądre myśli, mądre informacje i to spotkanie bar-*



do głęboko przeżyłem. Ogromna biblioteka, tam byłem przyjęty, zapamiętałem półki, ściany zavalone książkami. Szalenie ułożony człowiek, zasadniczy, uporządkowany, merytoryczny, bez pogaduszek na nieważne tematy, chciał dokładnie wiedzieć, kim jestem, co i dlaczego robię, a ja go już wcześniej uwielbiałem, bo czytywałem „Roczniki TPN na Śląsku” i one mi imponowały, tam były znakomite prace, także Szramka i wchodziłem w tę tematykę poprzez jego artykuły. I było to doskonale wejście, świadczące o rzetelnym podejściu do sprawy młodego, wówczas, człowieka.

We wrześniu 1939 roku poszukiwany przez Gestapo za teksty w „Powstańcu” schronił się w Warszawie i szybko trafił do konspiracji, do śląskiej organizacji patriotycznej „Ojczyzna” i Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj. Jednocześnie redagował konspiracyjne pismo dla Śląska „Zachodnia Straż Rzeczypospolitej” i świetny dodatek satyryczny „Luźna kartka”; potrafił trafnie dobrać współpracowników. Współpracowali z nim wtedy tacy autorzy, jak: Alojzy Targ, Józef Lięża, Stefania Mazurkówna, wspomniany już Józef Ryszka, Franciszek Pilarek i wielu innych. W roku 1943 na polecenie władz podziemnych przygotował niewielką książkę *Śląsk wierny Ojczyźnie*, zawierającą ujęte w zarysie podstawowe wiadomości o dziejach Śląska, napisane bardzo żarliwie, w niepowtarzalnej Bednorzowej stylistyce. Po niej rozpoznał autora „Śląska” natychmiast Zdzisław Hierowski, przebywający podczas okupacji w Miechowie, który wtedy powiedział: „Tak napisać mógł tylko Bednorz!” Podczas Powstania Warszawskiego zaangażował się w Polskim Radiu, w wyborzym towarzystwie Stefana Kisielewskiego i Edmunda Osmańczyka, Jerzego Waldorffa i Zenona Skierskiego. 24 sierpnia 1944 wygłosił płomienny apel do wszystkich Polaków Ziemi Zachodnich wzywając Ślązaków i Poznanianów do walki „o swoje”.

W tym środowisku poznał właśnie swoją przyszłą żonę, śliczną, czarnowłosą łączniczkę „Izę”, Różę Wróblównę, pochodzącą z Katowic. Do Róży, pięknej i mądrej, wiersze pisał przez całe życie.

Po wielu latach, gdy już trochę zelżała PRL-owska cenzura, opisał ten czas w bardzo cennej książce *Lata krecie i orłowe* (1987), która stała się rzetelnym kompendium wiedzy nie tylko o warszawskiej, ale także krakowskiej i poznańskiej konspiracji z okresu II wojny światowej, o „Ojczyźnie” i Delegaturze Rządu. Książka powstała nie tylko na podstawie własnych wspomnień, ale również dziesiątków mikrofilmów i ulotek, które zadecydowały o jej źródłowym charakterze, bo choć przenika ją charakterystyczna dla wspomnień aura emocjonalna, to posiada tak znakomity warsztat naukowy, że cytowana jest w najpoważniejszych opracowaniach historycznych.

Lata powojenne państwo Bednorzowie spędzili początkowo w Chorzowie, potem w Katowicach. Najpierw była katowicka „Odra”, w Polsce lat tuż powojennych jedno z najważniejszych pism, obok „Tygodnika Powszechnego” i „Tygodnika Warszawskiego”. Bednorz wspominał: *To była wielka zasługa Szewczyka, umiał się koło tego krzątać i to prowadzić, i atmosfera była bardzo dobra. Przecież u nas pisywali: Antoni Gołubiew i Hanna Malewska! Wielcy pisarze polscy, publicyści! Tadeusz Mikulski, Stanisław Wasylewski, Kazimierz Wyka, Edmund Osmańczyk i in. Ja w tym piśmie napisałem wiele ważnych rzeczy. Z tym, że nas atakowali komuniści, lewica, „Kuźnica” Jana Kotta i wielu innych komunistów, za nasz katolicyzm, myśmy się bronili i też atakowali”. Była też owocna współpraca z „Gościem Niedzielnym”, wówczas redagowanym przez ks. Klemensa Kosyrzyka.*

Katowicka „Trybuna Robotnicza” nazwała w tym czasie autora *Śląska wiernego Ojczyźnie* poetą „gnijącego

świata kapitalizmu”, a jego pisanie w „Gościu” – „wyciem hieny”. „Jak oni ohydnie o mnie pisali!”, komentował po latach. 1 marca 1949 roku w Katowicach, na rogu ul. Dąbrowskiego podeszło do Bednorza trzech mężczyzn i wepchnęło go do samochodu, ostatecznie znalazł się w Warszawie, w więzieniu na Mokotowie. O aresztowaniu zadecydował właśnie związek z „Gościem Niedzielnym” i wierszem napisanym na prośbę wtedy jeszcze księdza Herberta Bednorza, na pielgrzymkę mężczyzn do Piekar, choć działalność okupacyjna „na szkodę Polski Ludowej” stanowiła sprawę podstawową. Warto fragment tego żarliwego, podniosłego tekstu z „Gościa” przytoczyć we fragmencie, by zrozumieć, ile trzeba było złej woli, by dostrzec w nim owo „wycie hieny”:

Zdrowaś Mario!

Po niespokojnych nocach, w których śniły się wojny,  
Zamknęliśmy drzwi domów słowem pochwalonym  
Zdrowaś Maryjo, Panno.

I w rano dzisiejsze w jasne rano

Wyszło nas mężczyzn sto tysięcy

Zdrowaś Maryjo, Panno Przenajświętsza!

Wyszło nas mężczyzn sto tysięcy

Z dróg szarych, zamkniętych dniówkami,

Z dróg stalowych, które maszyny bliyszczą.

Z szyn kolejami biegnących ku stacjom mglistym,

Z kopalnianych żył węglonej ziemi

I z dróg najpospolitszych,

Gdzie się o chlebie i o słońcu marzy,

Zdrowaś Maryjo, Robociarzy!

W więzieniu na Rakowieckiej przesłuchiwał go sam pułkownik Józef Różański; Bednorz dziwił się, że wtedy nie oszalał. Jednak, gdy usłyszał od Różańskiego: „Nu, ty niewinny, tak, tak, kościół i ciemnogród wychował na faszystę. Ty, mały polski katolik, mały ale bardzo wredny i bardzo paskudny. Komuniści się nie podobają, a Maryja? Podoba się? A Bóg i Ojczyzna? Nu, rzymski pachofku... Rządy klechów dobre, a rządy proletariatu złe? Nie chce mówić? To my poradzimy sobie, słyszy, ty faszysta, ty nacjonalistyczny klerykał” – puściły mu nerwy i krzyknął na Różańskiego: „Proszę natychmiast przestać. Pańskie słowa mnie obrażają. Pan nie ma prawa, już dość tego!” – po czym wszyscy w celi byli pewni, że będzie „ka-es” (kara śmierci), ale nie było, były w 1951 roku Wronki, ciężkie więzienie polityczne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Potem wywalczony i wymodlony przez Różę uwolnienie i powrót, już nie do Katowic, gdzie dawni koledzy spoglądali na niego z lękiem, ale w 1954 roku przeprowadził się państwo Bednorzowie do miasta nad Odrą – Opola, gdzie przed laty w Półwsi urodziła się babcia Zbyszka, Józefa z domu Sznapka. A tam już całą resztę życia była piarska służba słowem i piórem.

Opole, a przede wszystkim Arka Bożek, przyciągnęło wówczas także wygnańca z Kresów, Stanisława Wasylewskiego już wcześniej zaprzyjaźnionego z Bednorzami, było tam ambitne środowisko naukowe i literackie, w którym Róża i Zbyszko, już z dwojgiem dzieci Włodzimierzem i Marią, od razu poczuli się dobrze. Autor *Dzieci i bagaży* podjął pracę w „Słowie Powszechnym” i „Katoliku”, ale gdy linia ideowo-polityczna PAX-u przestała mu się podobać, a Bolesław Piasecki ogłosił *Sprawy istotne*, które znalazły się na indeksie kościelnym, natychmiast podał się do dymisji. Znów był bezrobotny, na szczęście poznańskie Pallotinum, gdzie wcześniej, w 1949 r. wydał powieść biograficzną o ks. Alojzym Majewskim, założycielu polskiej prowincji księży pallotynów, zatrudniło go jako kierownika literackiego. Wreszcie w roku 1960 otrzymał etat bibliotekarza-archi-



wisty w Instytucie Śląskim w Opolu, gdzie dyrektorem był znakomity historyk, Roman Lutman. Róża, wówczas już znana dziennikarka, po kilku latach otrzymała pracę w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu-Łambinowicach, rodzina osiągnęła więc stabilizację. Pięć lat później obronił Zbyszko doktorat w Uniwersytecie Wrocławskim, a po dziesięciu latach za dorobek otrzymał stanowisko docenta i kierownictwo Pracowni Historii Kultury Polskiej na Śląsku. Tworzył teraz dużo, z rozmachem łącząc pracę pisarską z naukową. Znakomitą erudycję spletał z intuicją badawczą, z pasją odkrywania, pisząc zawsze pięknym, bogatym, pełnym ekspresji językiem, nierzadko zabarwionym patosem. Długi szereg napisanych wówczas książek i rozpraw otwiera esej *Szczepon, czyli rzecz o Józefie Ryszce* (1960), następnie było odkrywcze opracowanie o pisarzach ludowych ziemi opolskiej zatytułowane *Urok mowy wywołanej. Esej o współczesnym piarstwie ludowym na Opolszczyźnie* (1962) oraz *Słowo w stronę Rzeki. Szkic o Odrze w literaturze polskiej* (1968) przypominający nieco Wacława Borowego rozprawę o Wiśle. Potem „posypały się” kolejne książki: *Dyszlem i parą. Z dziejów polskiej literatury podróżniczej na Śląsku* (1978); *Nad rocznikami dawnych gazet Śląskich. Studium z polskiego życia literacko-kulturalnego przełomu XIX i XX wieku* (1971) i inne – zawsze mające przełomowe znaczenie dla badań śląskoznawczych. Odczytywał w nich autor najgłębszą symbolikę faktów opisując śląskie życie codzienne we wszystkich przemianach czasu na bogatym tle historyczno-społecznym. Wielką wagę zawsze przykładał do konkretów, szczegółów uważając, że chronią one opis przed banalnością. Było to widoczne zwłaszcza w książkach wspomnieniowych, napisanych zawsze z bardzo rzetelną faktografią, a najbardziej w *Do wyjaśnienia* (1993) i w *Gnieździe wędrującym* (2000).

Odra płynęła teraz wartkim nurtem przez życie i piarstwo Zbyszka Bednorza. Lubił rozpoczynać list zwrotem „Siedzę przy biurku w swoim domu nad Odrą...”. A dom z Różą stworzyli świetny, pełen życia i ludzi. Bywały u nich pierwsze pióra tamtych lat: Kazimiera Hłakowiczówna, Gustaw Morcinek, Jan Władysław Grabski, Antoni Gołubiew, który bardzo pragnął zwiedzić kościół oo. Franciszkanów, gdzie znajdują się groby Piastów Śląskich. Zaprowadził go wtedy Bednorz do kaplicy Piastowskiej i widział, jak autor *Bolesława Chrobrego* z wielkim wzruszeniem modlił się u grobowców bohaterów swojej sagi powieściowej. Z pobytom Zofii Kossak (oczywiście z mężem, Zygmuntem Szatkowskim) wiązała się zabawna anegdota. W mieszkaniu państwa Bednorzów, jeszcze przy ulicy Grunwaldzkiej, stały dwa eleganckie, wytworne fotele z pięknymi, rzeźbionymi poręczami, na jednym siedział biskup Bolesław Kominek, na drugim Zofia Kossak; przeprowadzając się do mniejszego lokum przy ulicy Chabrów, jeden z mebli odstąpili Czesławie i Joachimowi Glenskom. Potem trwał spór, czyj fotel pozostał u Bednorzów, Joachim Glensk do dnia dzisiejszego twierdzi, że, ten na którym siedziała autorka *Nieznanego kraju* trafił do niego.

W czasie jednej z wizyt w Opolu pisarka z wielkim zdziwieniem dowiedziała się, że czytana przez nią tak chętnie w „Słowie Powszechnym”: „Ciotka Katarzyna” – to właśnie organizatorka wytwornej kolacji – Róża Bednorz.

Bywały też w ich domu huczne imieniny Róży, a w okresie karnawału opolska profesura i literaci zjawiali się na Grunwaldzkiej lub „na Chabrach” w przemysłnych kreacjach, zjawiali się tłumnie, by świętować wszystko, co tylko się dało. W przemyślności stroju celowała prof. Dorota Simonides.

Jednak w ogólnopolskim środowisku literackim Zbyszko Bednorz nie był zbyt dobrze widziany, natomiast bywał czasem w Katowicach, ale i tu narobił kłopotów swym konfratom po piórze. W cytowanym już wywia-

dzie z miesięcznika „Śląsk” czytamy: *Szewczykowi kiedyś narobiłem kłopotów i chyba miał do mnie pretensje. Zaprosił mnie na jakieś spotkanie z władzami województwa; był Ziętek, Gierek i bardzo bogato zastawione stoły. Uginały się; krupnioki i koniak. Dałem znać, że chcę zabrać głos i powiedziałem, że to pięknie, gdy jest takie bogactwo jadła, ale w narodzie trzeba obudzić inny głód, głód słowa polskiego... Zobaczyłem jakieś zamieszanie, Wilek dawał mi znaki, żebym przestał. Potem przybiegł i mówi „aleś narozrabiał, oni się bali, że zaczniesz mówić, że ludzie są głodni!”. Potem już mnie nie zapraszano! Zawsze mówił, co myśli, nieraz sprawiając spory kłopot organizatorom różnych spotkań. Przywołałmy ponownie prof. Zbigniewa Zielonkę Zbyszko Bednorz był rzeczywiście nienormalny w systemie totalitaryzmu myślowego i powszechnej społecznej schizofrenii: Nie tylko myślał, ale i mówił swoje! „My wszyscy, panie, to samo myślimy” – mówił przeciętny, uczciwy człowiek – ale, żeby mówić to samo, co się myśli?... Czegoż to zresztą o Bednorzu nie szeptano! Powstałaby z tej „infrastruktury” informacji, ocen, plotek, insynuacji, podejrzeń cała powieść o życiu peerelowskich Capowic.*

Bardzo istotne były w jego życiu sacrosongi, które powstały w latach siedemdziesiątych z inicjatywy ks. Jana Palusińskiego. Ogromne młodzieżowe imprezy, swoje festiwale muzyczne i śpiewacze gromadzące tysiące studentów w Krakowie, Warszawie, Chorzowie, Łodzi, Kaliszu, Toruniu. To była sensacja w skali europejskiej, gdyż występowały chóry, soliści, solistki, a nie jedna ze znanych później osób tam zaczynała karierę wokalną (np. Izabela Trojanowska, czy Mieczysław Ścieszniak). A teksty śpiewano znakomite: Romana Brandstaettera, Bogdana Ostromięckiego, Marka Skwarnickiego, Mieczysława Stanlika, Juliana Tuwima, Leopolda Staffa, czasem wiersz nadsyłał „Andrzej Jawień”, czyli Karol Wojtyła. Angażowali się w sacrosongi ksiądz prymas Stefan Wyszyński i kardynał Wojtyła, a Zbyszko Bednorz napisał wówczas wiele tekstów religijnych, które cieszyły się wielkim powodzeniem. Wspominał Bednorz takie spotkanie organizacyjne 11 stycznia 1976 roku w Krakowie, na Kanoniczej, gdy przyszedł papież Jan Paweł II powiedział: „zanim zaczniemy obrady na temat sakrosongu i pieśni – kawa”. Nam podawali klerycy, a Gołubiewowi zawsze żona nosiła termos, bo on pił tylko przez nią parzoną kawę w termosie. I kardynał Wojtyła podchodzi do Gołubiewa i jego żony i mówi: „Nalej!” To była świetna kawa”. Kawę Zbyszko lubił nadzwyczajnie, najlepiej w eleganckiej filiżance, po „staropolsku”, rozgrzewała i przyspieszała obieg krwi.

W tym miejscu trzeba dodać, że wielki sukces poetycki odniósł, gdy 28 maja 1972 roku w Niepokalanowie wykonano jego tryptyk o św. Maksymilianie Kolbem *Ofiara i chwała*, w którym partie solowe do melodii Edwarda Burego odśpiewał sam Bernard Ładysz. W jakimś momencie wezwał go dyrektor Instytutu Śląskiego i „pouczył”, że jest pracownikiem naukowym i powinien uważać w co się angażuje. Zbyszko z całą powagą zapewnił wówczas przełożonego, że w Instytucie nie zorganizuje Sacrosongu (sic!).

Za Sacrosongi otrzymał dwie „ciężkie nagrody”: w 1971 roku od bpa Herberta Bednorza potężną odlaną w brązie rzeźbę hutnika z kielnią w ręku, a w roku 1985 w Krakowie Mistrzejowicach wręczono mu duży mosiężny dzwon, na którego podstawie wyryto łaćniński napis o podniosłej treści sławiającej „Święto ekumeniczne utworów religijnych”.

Był też bardzo aktywny w opolskim środowisku literackim, nawet dwie kadencje pełnił obowiązki prezesa Oddziału Związku Literatów Polskich, wszak był autorem kilku powieści: *Dzieci i bagaże* (1953), *Będzie bratem* (1955), *Ręce wzniesione* (1958) *Z Janem* (1971), *Na Zapiecku trzy okna* (1978), w których przejmująco opisywał ludzkie losy



wpisane w tryby historii. Po rozwiązaniu ZLP w stanie wojennym pozostał już poza organizacją.

W roku 1988 ukończył siedemdziesiąt pięć lat, a Instytut uczcił tę rocznicę okolicznościową konferencją i znakomitym wydawnictwem *Sercem i piórem, czyli rzecz o życiu i twórczości Zbyszka Bednorza*; dokonano wtedy podsumowania jego pisarstwa i działalności i wypadło to imponująco, jego bibliografia liczyła kilkaset pozycji. Opole było dumne z takiego obywatela i nie raz dawało tego dowody. W roku 2004 nadano autorowi *Do wyjaśnienia* tytuł Honorowego Profesora Uniwersytetu Opolskiego, a Zbyszko w todze i birecie prezentował się bardzo godnie. W wydanej wówczas monograficznej książce *Zbyszko Bednorz na drogach pisarskiego powołania* nazwano go „pisarzem wiecznej gotowości”.

W roku 2008 autor *Słowa w stronę rzeki* skończył 95. lat. Dla uczczenia tego niecodziennego wydarzenia prezes katowickiego Wydawnictwa „Śląsk”, Tadeusz Sierny, zdecydował się wydać książkę *Pielgrzymowanie nasze niepojęte* będącą bardzo udanym wyborem z bogatego gatunkowo i tematycznie pisarstwa Zbyszka Bednorza.

W tomie znalazła się proza wspomnieniowa, opowiadania, reportaż, fragmenty dziennika, wiersze religijne i miłosne, te najpiękniejsze, do *Róży*. Całość układa się w pewien ciąg chronologiczny: od czasu okupacji niemieckiej i warszawskiej konspiracji, przez Powstanie Warszawskie, początki PRL-u, potem więzienie ubeckie, lata opolskie aż po współczesność. Jest to wędrówka przez wydarzenia, spotkania, prace, co sam pisarz wyjaśnia w *Słowie od autora* następująco: *Tytuł mojej książki ma charakter tajemnicy ludzkiego życia, ludzkiego wędrowania. Ukazują w niej niektóre swoje ścieżki i drogi na niziny i wyżyny, na swój los złożony z różnych przygód w dniach ciemnych, ale i różowych.*

Fragmenty już znane, ale też i nieznanne, układają się w książkę w barwną i spójną całość, uzupełniając się wzajemnie, a zarazem tworząc wielobarwną mozaikę, ukazującą przedziwną logikę dziejów i meandrów człowieczego żywota. To właśnie ta książka odpowiada w sposób głęboki, piękny mądry zarazem na pytanie postawione w wierszu zacytowanym na początku niniejszego tekstu: jaki jest ślad człowieka na pielgrzymich drogach? Ano taki, jak w *Pielgrzymowaniu naszym niepojętym*.

Pożegnaliśmy Zbyszka Bednorza, dwa lata później, 4 grudnia 2010 r. na opolskim cmentarzu w Opolu Półwsi w Alei Zasłużonych, gdzie spoczywają już Stanisław Wasylewski, Józef Kokot, Stefania Mazurek i wielu innych wybitnych Polan. W pięknym wspomnieniu o Stefanii Mazurek „Annie”, będącej filarem konspiracyjnej „Ojczyzny”, w zakończeniu Bednorz napisał: *jak dobrze, że jest taka wspólnota, która nie kończy się nawet po śmierci*. Teraz sam dołączył do tej „wspólnoty”.

\* \* \*

Autorka niniejszego szkicu poznała osobiście Zbyszka Bednorza, a następnie jego żonę Różę, podczas wielkiej konferencji śląskoznawczej w Opolu, w 1980 roku. Znajomość dość szybko przerodziła się w przyjaźń, prawdziwą, choć niepozbawioną różnicy zdań i bolesnych dyskusji, z których razem szukaliśmy mądrego wyjścia. Małopolanka z dziada pradziada

i jej mąż Wiesław pochodzący z Kresów oraz zakorzenieni od pokoleń w tradycjach śląskich Róża i Zbyszko Bednorzowie wiele spraw musieli sobie wyjaśniać. Dla Zbyszka najważniejszą rzeką była Odra, dla mnie kapryśny i meandryczny Dunajec. Bywało, że usłyszałam kategorię „tak nie można pisać” lub zgryźliwe „widać, że cię w szkole nie uczono kaligrafii”, ale wszystko zawsze było rzetelnie wyjaśniane w dążeniu do zrozumienia racji drugiej osoby, w gruncie rzeczy pogłębiało to przyjaźń. W roku 1988 Zbyszko został recenzentem wydawniczym mojej książki *Pisarski zakon. Biografia literacka Gustawa Morcinka*, którego to pisarza znał i cenił, także jako człowieka.

Barwa naszych spotkań opolskich, czy katowickich, była wyjątkowa i niepowtarzalna. Zbyszko i Róża posiadali dar narracji, Zbyszko miał piękny, silny głos, któremu czas nie odbierał mocy i ekspresji. Lubił wstać przy stole i wygłosić „orędzie”, pochwałę lub patetyczne wspomnienie, np. o Kazimierzu Gołbie. A pamięć miał świetną, ożywiał czas i ludzi, nie kryjąc swego wzruszenia, czasem nawet cierpienia. Były więc liczne odwiedziny w Opolu i Katowicach, kursowały dziesiątki listów, jego pisanych pięknym, wyraźnym duktem pisma i moich, osoby, która „nie uczyła się kaligrafii”; znaliśmy swoje rodziny i przyjaciół.

Na zaproszenie Tadeusza Kijonki przyjechali oboje z Różą do Katowic i dziewięćdziesięciolatek żwawo wspiął się na piąte piętro przy ulicy Dworcowej, gdzie mieściła się redakcja „Śląska”. Spotkanie, na które przybyło dużo osób, znacznie się przeciągnęło i zaistniała obawa, że państwo Bednorzowie nie zdążą na ostatni pociąg do Opoła. Pobiegłam więc na stosowny peron i poprosiłam konduktora, by trochę „poczekano” z odprawą pociągu, bo zmierza w kierunku dworca „najstarszy polski pisarz” (co było prawdą) – odniesiono się do prośby ze zrozumieniem i gdy Zbyszko z Różą licznie odprowadzani przez uczestników spotkania, pojawili się na peronie, w oknach stali ciekawscy, bo chyra poszedł po pociągu, że pojedzie nim Czesław Miłosz. Dojechali do Opoła spokojnie, traktowani przez obsługę pociągu z wielką atencją.

Teraz czasem wracam do listów Zbyszka i wtedy znowu toczy się między nami niedokończony dialog o tym wszystkim, co w życiu najważniejsze. ■



foto. arch.



# Na Alejach niech się dzieje

JAROSŁAW KAPSA

Jeśli chodzi o kulturę częstochowską, to jej nie ma; to znaczy jest, taka jak wszędzie polsko-amerykańsko-europejska; ale nie ma w rozumieniu odrębności, pretendującej do regionalności. Nie ma, bo nie ma i nie jest to specjalny wyróżnik, bo w Elku i Sosnowcu też nie ma i ludzie się z tym czują dobrze.

Owszem, są lokalizmy, określenia tak zrozumiałe dla swoich, że nie ma sensu tłumaczyć je obcym. Częstochowianka przynosi z marketu kapustę kiszoną w zrywce... To oczywiste, bo w czym ma przynosić... W ręce? Wygodniej w torebce foliowej, którą się zrywa z beli, a więc w zrywce. Częstochowiak jedzie do miasta tramwajką. Jest to oczywiste i przyjemne, że pewne nazwy, a nawet imiona, się oswiają przez zmięczenie. Do sympatycznej koleżanki też się nie mówi „pani Mario”, ani – broń Boże – pani Maryjo; ale milusio: Maryjko, Maryjeczko. Tramwajka też brzmi milej i bardziej pożądanie, niż anglojęzyczny tramwaj. A dlaczego częstochowiak jedzie do miasta, skoro administracyjnie mieszka w mieście...? To poważniejszy problem, wynikający z federacyjno-ekspansjonistycznego tworzenia Częstochowy. Częstochowiak z Rakowa, Kiedrzyń, Tysiąclecia, Zawodzia itd. jedzie do miasta; a ja – tubylec ze Śródmieścia – idę na miasto. Miasto to właściwie Aleje z przyległościami, więc bez różnicy, czy jadę do miasta, czy idę na miasto; wychodzi się na Aleje.

W tym określeniu – Aleje – ukryta jest odrębność kulturowa Częstochowy. Każde miasto, a także wiele wsi i miasteczek, ma ulice nazywane alejami. W Częstochowie też takowych nie brakuje: aleja Pokoju, aleja AK, aleja Kościuszki, aleja (alejka) Brzozowa... Wśród nich jest, mierząca 1800 m długości, ulica nazywana od 1826 r. Aleją Najświętszej Maryi Panny. Nazwę tą zachowała w niezmiennym kształcie przez prawie 200 lat (z wyjątkiem smutnego czasu 1942–1945, gdy nazwano ją Adolf-Hitler-Allee). W dobie „walczącego socjalizmu” tylko część Alei (plac Biegańskiego) nazwano placem Stalina, reszty nie wypadło, bo by wyszło, że na Jasną Górę idą pielgrzymi ulicą Stalina, Lenina, czy innego Marksa. Ideologiczne odczarowanie dokonano metodą skrótów; w PRL za błędną pisownię uznawano używanie pełnej nazwy; stosowano powszechnie w szkole, urzędach, w prasie, określenie: Aleja NMP.

Przy wielości różnych ulic nazywanych alejami, siła tradycji powoduje, że częstochowiak identyfikuje jedną Aleję (pisaną dużą literą) bez potrzeby określenia. Dziwić może bardziej, że używa tej nazwy w formie mnogiej: nie Aleja, ale Aleje. Z formalnej nazwy i numeracji nic takiego nie wynika, ale w świadomości mieszkańców istnieje podział na I, II i III Aleję. I choć nie ma takiej informacji w terenie, na planach, nie uczą o tym w szkołach ani na kursach tak-

sówkarzy; wszyscy wiedzą, gdzie ów podział przebiega. Zaczyna się on od wschodu: od placu Daszyńskiego do wiaduktu nad torami kolejowymi jest I Aleja, od wiaduktu do placu Biegańskiego II Aleja, od placu do Parków Podjasnogórskich – III Aleja.

Bez historii nie da się zrozumieć duszy Polaka, tym bardziej częstochowiaka. Było więc kiedyś miasto Częstochowa nad Wartą, w miejscu zwanym obecnie Starym Miastem, zdominowanym sąsiedztwem z Galerią Jurajską. Ok 2 km na zachód od Częstochowy był Klasztor Jasnogórski otoczony wsią (od 1717 r. miastem) Częstochówką. Droga z Częstochowy do klasztoru prowadziła pokrętną i błotnistą ścieżką, zwaną ulicą Jasnogórską; biegła ona po południowej stronie rozlewisk tworzonych przez strugę rzeczną płynącą z Jasnej Góry do Warty (dziś to DK-46, czyli aleja Jana Pawła II). Teraz od faktów historyczno-geograficznych muszę przejść do miejskich legend, w dodatku takich wypieranych ze świadomości ludowej.

W sierpniu 1822 r. osobiście Car Rosji i Król Polski Aleksander I raczył przybyć do Częstochowy by zwizytować położone na zachodnich rubieżach swojego imperium miasto. Car zdecydował zatrzymać się w mieście, chcąc uniknąć gościny w katolickim klasztorze Jasnogórskim. Częstochowa nie dysponowała wówczas odpowiednimi hotelami, dla zapewnienia wygod Imperatora wynajęto mieszkanie dwupokojowe w domu przy Starym Rynku, narożnym z ul. Targową, należącym do kupca żydowskiego Kalmy Bermiana. Car Aleksander I zbyt zadowolony nie był; po spędzonej w domu nocy z 22 na 23 sierpnia, zrobił awanturę, że go mieszczanie ulokowali na samym końcu Częstochowy, daleko od Jasnej Góry. Car, jak przystało na euro-

pejskiego arystokratę, awanturował się po francusku; w naszym zaś mieście znajomość tego języka była dość rzadka. Szczęściem po sąsiedzku, u swojego dziadka Landaua gościła młoda Żydówka Roza Ginzburg, władająca francuskim jak rodzima paryżanka. Piękna częstochowianka stała się przewodniczką Cara w zwiedzaniu naszego miasta. Ona też poprowadziła gościa na Jasną Górę zamiast tradycyjnym szlakiem (ulicą Jasnogórską) ścieżką, przez cmentarz, potem po grzebiecie wzgórz, wśród zielonych łąk. Droga (lub przewodniczka) przypadła Aleksandrowi I do gustu. Natychmiast zlecił wójtowi Wytteckowi wykonanie pomiarów, a na tej podstawie geometrom wojewódzkim wytyczenie nowej drogi. Tak właśnie miały powstać nasze Aleje Najświętszej Maryi Panny. Wdzięczny przewodnicze Car przyznał jej w drodze nadzwyczajnej łaski prawo zamieszkania i posiadania domu w Częstochówce, w sąsiedztwie klasztoru. Roza i jej mąż Landowski stali się pierwszą żydowską rodziną zamieszkałą w Częstochówce, wcześniej zamkniętej dla Żydów. Wnukiem carskiej przewodniczki Rozy Ginzburg miał być znakomity architekt łódzki Gustaw Landau-Gutenteger (1862–1924). Jeśli tak, to w dorobek tej zacnej, żydowskiej rodziny wpisać powinniśmy jeszcze jedną piękną arterię: łódzką ulicę Piotrkowską; najpiękniejszą przy niej budynki były autorstwa Landaua...

Opowieść powtarzam za Stanisławem Rumśzewiczem, adwokatem, krajoznawcą, gawędziarzem, publikującym podobne opowieści na łamach „Gońca Częstochowskiego” w latach I wojny światowej. Później powielanie takiej historii było trudniejszym zadaniem. Car rosyjski nie mógł być ukazywany, jako ktoś, kto zrobił coś dobrego dla polskiego miasta. A wplecenie wątku żydowskiego to już prawie prowokacja wobec wizerun-





ku „stolicy chrześcijańskiej Polski” i tradycyjnej nazwy jej głównej ulicy. W dodatku, odwołując się do faktów, też można wątpić w prawdziwość gawędy Rumszewicza. Prace nad wytyczeniem Alei na polecenia władz województwa kaliskiego prowadził inżynier Jan Bernhard od 1818 r. W 1822 r. trasa była już wytyczona, dokonywano pomiarów pod działki budowlane. Ostatecznie 19 sierpnia 1826 r. Aleja Najświętszej Maryi Panny połączyła zjednoczone z dwóch części miasto, co potwierdziła swoją decyzją Rada Administracyjna Królestwa Polskiego.

Projekt nowej ulicy był nowatorski, wyznaczono pas szerokości 44 m., z dwoma jezdniami oddzielnymi deptakiem. Wzorem dla częstochowskich Alei była berlińska Unter der Linden; w podobny sposób deptak środkowy i chodniki oddzielono od jezdni szpalerami drzew; otwierając tym samym 200-letnie dyskusję nad rodzajem zadrzewienia. W nowym ciągu komunikacyjnym wyznaczono trzy place (rynki): w miejscu starego cmentarza Nowy Rynek (dziś plac Daszyńskiego), następnie rynek św. Jakuba (plac Biegańskiego) i rynek Jasnogórski (plac pod Jasną Górą, nazywany dzięki kultowi Papieża z Krakowa: błoniami). Droga szła przez pola, stąd w wieku XIX Aleje były wąską linią łączącą dwa miejskie organizmy; proces miastotwórczego poszerzania zabudowy rozwijał się stopniowo. Pierwsza „zgrubła” I Aleja, powstawały tu wielkomiejskie kamienice należące w większości do bogatszych częstochowskich Żydów. Kamienice, jak to bywało w wieku pary i żelaza, rosły w górę i – jeszcze bardziej – w głąb, tworząc ciągi: pierwsze podwórko zamknięte oficyną, drugie otoczone drewnianymi komórkami, wychodkami, stajnikami, oborami; trzecie będące ogródkami warzywnymi i łączkami pod wypas koni i bydła. Zielone ogródki oddzielały parcele przy Alei, od ciągnących się z drugiej strony, mniej prestiżowych kamienic ul. Katedralnej (z południa) i ul. Garibaldiego (z północy).

II Aleja powstawała od placu Biegańskiego (ryнку św. Jakuba), gdzie naprzeciw starego kościoła wystawiono nowy Ratusz Miejski. W miejscu kościoła zbudowano w 1875 r. cerkiew; w początkach XX w. wyznaczono od placu ulicę prostopadłą do Alei (obecne ulice Dąbrowskiego i Kilińskiego w stronę północną, ul. Śląską – w stronę południową). Wcześniej II Aleja miała tylko jedną przecznicę; al. Kościuszki – prowadzącą ok. 300 m na północ do ul. Jasnogórskiej, oraz al. Wolności – na południe do drogi łączącej Stare Miasto ze Stradoniem (ul. 1 Maja). III Aleja, aż do Parków nie miała ulic poprzecznych; zachowała do czasów PRL charakter małowielkomiasteczkowy, z niską zabudową otoczoną od tyłu rozległymi ogrodami. Podział Alei utrwaliło przecięcie ich linią kolei warszawsko-wiedeńskiej w 1846 r.

Każda część Alei była inna i to utrwaliło się jako stan trwający „od zawsze”. Inna w zabudowie, inna w społeczności, inna w obyczajowości. I Aleja była żydowska, tu była siedziba zarządu Gminy wyznaniowej, tu były kamienice i sklepy żydowskie, tędy szło się do Nowej Synagogi. III Aleja była małowielkomiasteczkowo-pątnicza-polsko-katolicka; a II – jak to w środku – kupieccko-mieszana. Świat żydowski był światem ob-



cym, dla ludności polskiej II Aleja stała się ekskluzywnym salonem handlowym, a III Aleja miejscem parad.

*Naprawdę życie zbiorowe wszystkich warstw tutejszych ukazuje się w pełni tylko na odkrytym powietrzu, to jest: w alejach ciągnących się przez całe miasto, długości przeszło wiorstę mających. Można tu spotkać osoby w nastrojonymi w domu minami przed lustrem, stosownie do zasobów finansowych i zewnętrznych strojów. Jest to, tak zwany, zbiornik popisów toalet, przede wszystkim z ostatniej mody, które wzajemnie ocierają się o siebie. Defilada ta, nie mająca innego deptaku, odbywa się rano od 10 godziny i przeciąga prawie do północy, nieraz wśród duszącego pyłu. Można tu spotkać tozsame osoby o każdej dnia porze; zdaje się jakby one nie miały mieszkania. – pisał autor przewodnika po Częstochowie opisując obyczajność lat 90. XIX w. Oprócz tego przebiega miasto długa i wspaniała aleja, kasztanami wysadzona, idealne miejsce spaceru, gdyby mieszkańcy pragnęli swobodnej przechadzki w czystym powietrzu. Cóż, kiedy dziwni tubylcy posiadają dziwne płuca, którym dla zdrowia kurz jest potrzebny. W tym celu wybrali kawałek alei, po którym drepcą nieustannie, następując sobie co chwila na pięty i nagniotki i, jak ognia, bojąc się przekroczenia linii demarkacyjnej. Są złośliwi, którzy twierdzą, że tu nie płuca odgrywają rolę, lecz „dziwna” ambicja, która każe prezentować swoje wartości... materialne. Więc ten jest zwolennikiem deptaka, gdyż pragnie imponować swą parą złotych kamaszy, ów – świeżo odprasowaną marynarką, ta ażurowymi pończoszkami, owa przedłużonym o pół łokcia bajecznym dekolcikiem. – tak złośliwie opisywał latem 1919 r. Częstochowę K. Bogowski. „Bęc-Bęcwałski” z „kurierka” częstochowskiego rozszyfrowywał podziały w Alejach: **Aleja 3-cia i park: od samego zmroku na wszystkich ławkach czule pary, parki i pareczki. Stłumione szepty, czasem wybuchy wesołości, od czasu do cza-***

**su wykrzykniki. Zanotuję tylko jeden: – A powiedz pan to komu, to panu tak parasolką! Więc i ja będę dyskretny, no nie powiem. bo... nużbym i ja za to oberwał parasolką? Tylko proponuję zmienić nazwy rynków Starego i Nowego, oraz Alej w sposób następujący: Rynki niech się nazywają Starą i Nową „Dolinami Syonu”. 1-a Aleja winna nosić nazwę „Alei Giełdy”, 2-ga „Aleją Wielkiego Świata”, a 3-cia, no oczywiście tylko „Aleją Miłości”/s 31”**

Żydowskiej Częstochowy nie ma, zaginęła w tragiczny sposób. Ale promedowanie Alejami przetrwało, tak jak i ten podział na Aleję Wielkiego Świata i Aleję Miłości. II Aleję przebiega się w szybkim tempie, od sklepu do sklepu, od knajpki do knajpki; III Aleję się spaceruje i się wysiaduje. „Od zawsze” (w tym wypadku od 30 lat), socjeta podjeżdża nowymi „wózkami” do „Włocha” (choć w tym miejscu już dawno nie ma włoskiej kawiarenki), siedząc od południa przy kawie, uzgadnia interesy, zerkając jednocześnie kogo i w jakim towarzystwie widać na Alejach. Szczyt promedowania przypada w niedzielę, należy się wówczas pokazać w świątecznym ubraniu, w towarzystwie połowicy i „ułożonych” dzieci, z miną obwieszczającą, „u nas wszystko OK”. Wiadomo bowiem, że jak kogoś nie widać na Alejach, to znaczy: umarł, zbankrutował, stoczył się na margines.

Zwyczaj wysiadywania i spacerowania po Alejach ma swoją wielką zaletę, zwłaszcza dla dziennikarzy. Wystarczy jedno popołudnie i wie się wszystko: kto z kim, za ile, gdzie i po co... Częstochowa w swych aspiracjach jest wielkomiejska, ale w zwyczajach swojska. Nie trzeba chodzić do „magli”, tu się wie i zna wszystkich, trzeba tylko „tramwajką” skoczyć do miasta i wyjść na Aleje. ■

*Podtówka ze zbiorów pana Zbigniewa Biernackiego, Antykwarnia „Niezależna” w Częstochowie. Ilustracje opublikowane na str. 40 i 42 w numerze 10/301/2020 miesięcznika „Śląsk” wraz z tekstem artykułu Pana Jarosława Kapsy „Ziemia przemysłowa” pochodzą z Ośrodka Dokumentacji Dziejów Częstochowy przy Muzeum Miejskim.*



# Epidemia trwa

Coraz mniej kontaktów, spotkań, listy już prawie nie przychodzą. Pozostają jeszcze maile, też coraz rzadsze, bo w ostatnim czasie odeszło tak wielu przyjaciół, znajomych, kontakty się urwały. Następuje powolne wchodzenie w próżnię, celebrowanie samotności, wspomnianie, zastanawianie się, czy z braku odpowiedzi należy nadal czekać, czy odezwać się po wtórnie. A może trzeba już adres z listy na zawsze skreślić? Trudne decyzje, bo to jak skreślenie kogoś z listy żywych.

W ostatnich dniach otrzymałem maila od nieznanej mi osoby z Niemiec. Oczywiście po niemiecku, podpisała go Winfriede Rattenow. Był krótki, ale zawierał dłuższy załącznik. W treści maila było:

„Szanowny Panie, załączam część mojego opowiadania, które właściwie jest notką biograficzną. Co Pan sądzi, czy warto to kontynuować? Jak Pan pewno wie z medialnych doniesień, w ośrodku gdzie przebywam już od kilku lat, zadamował się wirus Covid 19. Obawiam się, że też będę miała dodatni wynik badania, a mam i tak dosyć problemów zdrowotnych. Zbliżam się przecież do dziewięćdziesiątki. Nie wiem, czy skończę to moje już chyba ostatnie pisanie, bo opadłam z sił. Zobaczmy jak się to skończy. Tymczasem z przyjaznymi pozdrowieniami

W.R.”

Wiedziałem, że ten mail nie do mnie, to jakaś pomyłka, bo takie się już zdarzały. Zwyciężyła ciekawość i przeczytałem ów załącznik. Był to opis wydarzeń z dwu ostatnich lat wojny zanotowany przez młodzieńką niemiecką dziewczynę. Zapis mnie zainteresował i wciągnęło mnie to szybko do tego stopnia, że nawet nie pomyślałem, że nie było to do mnie skierowane. Po przeczytaniu wiedziałem, że to notatki osoby w moim wieku. Na pewno dotarł ten mail do mnie przez dziwną pomyłkę. Zdecydowałem się, by wysłać mail zwrotny do pani W.R. Nie było w nim o tym, że przeczytałem ów tekst, a tylko tyle, że to pomyłka, bo jej przesyłka dotarła do Katowic, na Górny Śląsk, do Polski. Nadeszła lakoniczna odpowiedź, że faktycznie był to błąd, po prostu, niezręcznie nacisnęła na klawisze. Nie zapytała, czy przeczytałem ów tekst i co o nim sądzę.

Po kilku dniach wróciłem do owego pamiętnikowego opowiadania, przeczytałem je jeszcze raz i doszedłem do wniosku, że osoba ta opisywała górnośląskie realia z tamtego czasu. Czytało się to jak dobrą literaturę wspomnieniową, język był prosty, a zarazem bardzo barwnie opisowy. Wiedziałem, że pisze to osoba z branży literackiej, czy dziennikarskiej. Zaraz poszukałem tego nazwiska w wyszukiwarce GOOGLE. Było: urodzona w 1932, w Ratibor (Racibórz), dziennikarka telewizji ARD, a przedtem pracowała do swej ucieczki z NRD przez krótki czas w tamtejszej telewizji. Była autorką licznych reportaży ze specjalnością Ameryki Południowej. Poza reportażami filmowymi wydała też kilka książek podróżniczych. Z powodu wypadku nie była już od wielu lat czynna zawodowo, ale na rynku wydawniczym ukazało się kilka jej książek.

Do tych książek nie miałem dostępu, ale na YouTube znalazłem jeden z jej południowoamerykańskich reportaży z Ziemi Ognistej. Wróciłem jeszcze raz do jej opowiadania biograficznego załączonego w tym pomyłkowym mailu. Zacząłem to teraz bardziej analitycznie czytać, porównywałem z moimi wspomnieniami.

Jedenastoletnia Winfriede uczyła w 1943 roku, podobnie jak ja do pierwszej klasy Oberschule, z tym że ona w Raciborzu, a ja w Rybniku. Łączyło nas tyle, że ona jako jedenastolatka, a ja już o rok starszy w ramach lekcji gimnastyki, odbywaliśmy naukę pływania na otwartym basenie

w miejscowości Szymocice, wówczas Simsdorf, jak wspominała, między Rybnikiem a Raciborzem. Wtedy, w określonych godzinach był ten basen czynny wyłącznie dla młodzieży szkół średnich obu powiatowych miast. Musiała tam przebywać i Winfriede, jedna z dziewcząt, którym się przyglądałem nie wiedząc kim jest. W następnym roku nie mieliśmy już wyjazdów na basen, bo w okresie letnim powtarzały się bardzo często alarmy lotnicze, a że lato 1944 roku było ładne, słoneczne, nieba prawie bezchmurne, to prawie codziennie odbywały się naloty amerykańskich bombowców na zakłady benzyny syntetycznej w Kędzierzynie i mieliśmy wtedy odwołane lekcje. O tych alarmach wspominała i ona w swym opracowaniu. Na szczęście Racibórz, jak i Rybnik nie były bombardowane. Dla mnie było to wtedy wspaniałe widowisko, obserwowałem wysoko na niebie kilka set Douglasów lecących jak na paradzie lotniczej. Za każdym z samolotów ciągnęły się cztery długie linie białych wyziewów kondensacyjnych. Do tego dochodziło to silne dudnienie i odczuwanie jakby jakiegoś drżenia z głębi ziemi. Wojna i u nas zaczęła nabierać na intensywności, a my czuliśmy, że niedługo się skończy. Winfriede wspominała, że była w tych latach kilka razy w Rybniku u jej cioci. Raz przebywała tam podczas wakacji prawie przez tydzień. Nawet sobie przypominała, w którym budynku jej ciocia mieszkała, że był to nowoczesny, wysoki wielopiętrowy budynek narożny, w którym na parterze mieścił się bank. Ciocia mieszkała na trzecim piętrze i miała z okna widok na dużą część miasta. Winfriede ćwiczyła tam pilnie na fortepianie. W domu w Raciborzu mieli tylko pianino Bechstein, a tu był duży koncertowy Steinway i zachwycała się jego brzmieniem. Możliwe, że było to jedno z tych mieszkań na trzecim piętrze, gdzie w maju 1945 po tak zwanym wyzwoleniu zostałem jako czternastolatek przymusowo zatrudniony przy opróżnianiu mieszkań z mebli, łącznie z dużym koncertowym fortepianem. Rosjanie organizowali w tym budynku szpital wojskowy. Nam chłopcom i kilku starszym mężczyznom kazano cały bogaty dobytek ruchomy wyrzucać z mieszkań przez okno balkonowe na podwórze. Były tam ciężkie gdańskie meble, których nie byłibyśmy w stanie znieść. Taki ponad trzymetrowej długości koncertowy fortepian nazywa się po niemiecku „skrzydło”. Po wysunięciu go przez balkon na zewnątrz i wypchnięty wcale nie poleciał w dal uniesiony na muzycznych skrzydłach, a spadł pionowo w dół uderzając z pełnią dysonansów dźwiękowych o ziemię. Może to na tym fortepianie grała Winfriede? Było jeszcze i trzecie miejsce o którym wspominała, gdzie ona i ja też byliśmy, tyle że niezależnie. To budynek starego ratusza przy rynku. W czasie wojny mieściła się tam wspaniale wyposażona biblioteka. Gdy tam po raz pierwszy wszedłem z ojcem, bo zapisał mnie do biblioteki, bo nauczyłem się na tyle niemieckiego, by już samodzielnie czytać w tym języku. Poczuliśmy się oszołomieni widząc w jednym miejscu, w tych stylowych wnętrzach rybnickiego ratusza tyle zgromadzonych książek. Winfriede zauważyła, że regały pachniały jeszcze świeżością i odnajdywała w nich z pomocą cioci książki z bajkami dla siebie. Jej się tam też podobało. Zapamiętała jeszcze wysokie wieże rybnickiego kościoła, bo najwyższe na Śląsku i w czasie jazdy z Raciborza do Rybnika były już z daleka widoczne. Jako luteranka do wnętrza kościoła nie wchodziła. Ja też byłem w czasie wojny w Raciborzu. Jeździłem z ciocią na zakupy większej ilości warzyw i owoców, których tam był większy wybór niż w Rybniku. Możliwe że się gdzieś mijaliśmy. Niczego wtedy o sobie nie wiedzieliśmy, nie wiele wiemy i dziś. Tak już zostanie. Może ja wiem nieco więcej o niej



z jej opowiadania, które przypadkowo dotarło do mnie. Ona moich nigdy nie przeczyta.

Dopiero jakiś czas po otrzymaniu tego maila byłem po długiej przerwie z powodu epidemii znowu na kolejnej sesji zdjęciowej. Po spacerze na moich ulubionych fotogenicznych terenach za Siemianowicami, wstąpiłem jeszcze na niemiecki cmentarz wojskowy. Są tam niezliczone groby poległych podczas drugiej wojny światowej ekshumowanych żołnierzy niemieckich z terenu Górnego Śląska. Już kilka lat temu zwracałem uwagę na wyryte w granicie daty przy nazwiskach poległych w pierwszych dniach września 1939 roku, na samym początku wojny.

Z pamiętnika Winfriede dowiedziałem się, że w wieku siedmiu lat utracił ojca, który był w Raciborzu lekarzem chirurgiem, a tuż przed wybuchem wojny został powołany do służby wojskowej. Zginął zaraz na początku wojny, matka później opowiadała, że nie było to w czasie walk na froncie, a w ka-

tastrofie lotniczej podczas transportu rannych. Oficjalnie został uznany za poległego w trakcie walk w Polsce. Gdy tym razem spoglądałem jeszcze raz na te pierwsze wyryte nazwiska, zobaczyłem że jedno z nich, z datą śmierci z 3 września jest identyczne z jej nazwiskiem. Jak przeczytałem, Winfriede pozostała mimo różnych wydarzeń w jej życiu przy swoim nazwisku panińskim. W kamieniu było wyryte: Hauptmann Siegfried Rattenow + 3.09.1939.

Zrobiłem zdjęcie na zbliżenie i plan ogólny, by przesłać to na znany mi adres mailowy Winfriede Rattenow. Nastąpił zwrot maila z adnotacją o braku takiego adresu. To taki czas, że coraz częściej maile nie dochodzą do adresatów. Wypisałem jej imię i nazwisko w GOOGLE i znalazłem notatkę klepsydrę. Dowiedziałem się, że znana dziennikarka i podróżniczka wyjechała podczas korona-epidemii w swoją ostatnią podróż bez powrotu.

Katowice, w czasie epidemii, 2020

## Mój telewizyjny grób

Było to chyba na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy przygotowałem scenografię do teatru TV, według opowiadania J. Steinbecka pt. *Dym*. Reżyser Zbigniew Zbrojewski chciał, aby ze sceną na cmentarzu wyjść poza studio, w autentyczny plener. Tuż obok ośrodka telewizyjnego, na miejscu dzisiejszych ogródków były ugory, a za nimi dziki park leśny. Tam przygotowałem fragment zaniedbanego cmentarza, jakby z amerykańskiej prowincji. Były to beładnie wkopane w ziemię proste płyty nagrobne. Zostały one spreparowane ze styropianu i wyglądały jak kamienne. Jak zwykle przy okazji kręcenia dodatkowych scen filmowych w plenerze, było mnóstwo czekania. W takich chwilach rodzą się na tak zwanym „planiu” różne pomysły u nudzących się pracowników. Na niektórych nagrobkach zostały spreparowane nieco zatarte napisy. Na jednym z nich zobaczyłem także swoje nazwisko i datę śmierci z tylko dwiema wyraźnymi ostatnimi cyframi. Według nich moja śmierć nastąpi do-

piero za dwadzieścia lat, w roku 1981. Było to dziwne uczucie widzieć swój nagrobek i obserwować szadenfreude sprawców. Nie wypadało się obrażać i obróciłem wszystko w żart. Powiedziałem coś w tym sensie, że do emerytury już z wami nie doczekam. Nie dochodziłem też tego, kto był tym dowcipnisem. Cóż, przed sobą miałem zaledwie dwadzieścia lat życia. Mało jak na trzydziestolatka. Potem program gonił program i szybko o incydencie zapomniałem. W 1981 nadszedł jednak koniec. Moja śmierć telewizyjna. 13 grudnia generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny i nagle przestałem być pracownikiem Telewizji Katowice. Nie zweryfikowano mnie. Nie nadawałem się do pracy w jednostce zmilitaryzowanej. Tak mi napisano w oficjalnym dokumencie zwolnienia.

Żyję i wspominam o tym teraz po 25 latach od tej przepowiedni, która się na szczęście spełniła tylko częściowo.

2006

## Nowy York

W czasie studiów na ASP w Krakowie poznałem Andrzeja Samulowskiego. Był nieco starszy ode mnie i studiował już od dwóch lat na wydziale malarstwa. Należał do tych, którym wojna zabrała parę lat życia, choć nie samo życie jak wielu jego rówieśnikom.

Andrzej zachodził od czasu do czasu do naszego pokoju w domu akademickim. Kiedyś zauważył, że czytałem się historii sztuki z niemieckiego podręcznika i z doskonałym niemieckim akcentem przeczytał tytuł rozdziału. Zapytał mnie skąd pochodzi, skoro znam dobrze język niemiecki. Powie-

działem, że z Górnego Śląska, na co on, że pochodzi z Warmii. Tak jak ja w czasie wojny, musiał uczęszczać do niemieckiej szkoły, tyle że znacznie dłużej niż ja, bo już przed wojną. Polskich szkół u nich w ogóle nie było, bo ziemie te należały do Niemiec. Andrzej powiedział mi bardzo zdawkowo, że Niemcy pod koniec wojny powołali go do marynarki, ale wyczułem że nie chce się o tym rozwdzić. W tamtych czasach, krótko po wojnie wolało się takie sprawy przemilczeć. Andrzej pochodził z polskiej rodziny, jego dziadek był jednym z najwybitniejszych działaczy polskich przed i w czasie plebiscytu na Warmii. Kiedyś, gdy byliśmy sami, przyznał mi się, że odbywał służbę w niemieckich łodziach podwodnych (U-Boot), a po zakończeniu wojny spędził trochę czasu w niewoli angielskiej. Zetknął się tam z żołnierzami polskimi od Andersa i szybko się z nimi dogadał. Uznali go za Polaka przymusowo wcielonego do niemieckiego wojska. Nawet przyjeźli go do polskiej armii, ale Andrzej starał się po krótkim czasie wrócić do kraju. Na należących teraz do Polski Mazurach szybko uzupełniał wykształcenie szkolne, a równocześnie dużo rysował i malował, bo postanowił studiować malarstwo. Podobnie jak kiedyś mnie, podczas wycieczki szkolnej do Krakowa, urzekło to miasto także jego. Postanowił studiować na tamtejszej ASP. Zetknęliśmy się więc na tej samej uczelni. Andrzej skończył studia dwa lata wcześniej niż ja i po-

phot. Józef Krupa







fot. Józef Krupa

tem się nasze drogi rozeszły już na zawsze. Coś o nim od kolegów słyszałem, że udziela się w Związku Plastyków w Olsztynie, że sporo wystawia. Czasem wpadł mi w ręce jakiś katalog. Uderzyło mnie, że w jego malarstwie powtarza się jakby ten sam temat. Wodne pejzaże z żaglami, Warmia i Mazury.

Niedawno odezwał się do mnie kolega aktor z Teatru Śląskiego, Tadeusz M., który sporo lat spędził w teatrze w Olsztynie. Zapytałem go, czy nie poznał tam przypadkiem Andrzeja S. Opowiedział mi, że się dobrze znali, nawet przez jakiś czas leżeli razem w szpitalu. Często spotykali się w pracowni Andrzeja, gdzie mógł podziwiać jego pejzaże z nad jezior. Kiedyś pokazał mu Andrzej zupełnie inne obrazy, których nigdy nie wystawiał. Zobaczył na nich jakby różne wersje panoramy Nowego Yorku widziane z morza o różnych porach dnia i nocy, także we mgle, ledwo rozpoznawalne. Andrzej traktował temat bardzo impresyjnie i z dużą dozą ekspresji. Niektóre obrazy robiły na moim koledze aktorze wrażenie jakby były projektami do dekoracji teatralnych. Gdy pytał Andrzeja, czy był kiedyś w Nowym Yorku, ten mu odpowiedział że nigdy. Oglądał to miasto dawno temu, ale tylko z morza. Od tego czasu minęło już ponad 50 lat. Maluje te obrazy, bo chciałby wyrzucić z pamięci swe dawne traumatyczne przeżycia osiemnastolatka, najmłodszego członka załogi niemieckiej łodzi podwodnej. Wojna zbliżała się ku końcowi, ale ich okręt pod dowództwem młodego fanatycznego kapitana zapuszczał się daleko na zachodni Atlantyk aż na wody przybrzeżne USA, pod Nowy York. Kilka razy kapitan polecił mu obserwować przez peryskop amerykański brzeg. Z takiej dziwnej perspektywy oglądał właśnie to miasto. Zwłaszcza nocą robiło ono ogromne wrażenie na przyszłym malarzu. Drapacze chmur były rozświetlone, jakby wojna się już skończyła. Amerykanie nie czuli się zagrożeni wiedząc, że są zbyt daleko oddaleni od frontów wojny. To, że niemieckie łodzie

podwodne zatapiały czasem tuż pod Nowym Yorkiem jakiś statek transportowy nie wywierało u nich większego wrażenia. Pewnego razu, jego kapitan spoglądając przez peryskop w kierunku Nowego Jorku powiedział: „Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak się te dumne drapacze palą i rozpadają, gdy je naszymi V-rakietami zaatakujemy”.

Po wielu latach, całkiem przypadkowo spotkał Andrzej w Niemczech jednego z ówczesnych kolegów, marynarza z jego U-Boota. Dowiedział się, że ich dawny kapitan zrobił po wojnie wielką karierę w bankowości w Niemczech, a później w międzynarodowych finansach i mieszka w Nowym Yorku. Niedługo po 11 września 2001 roku otrzymał od owego kolegi kartkę z wiadomością, że ich kapitan zginął w drugim z wieżowców zaatakowanym samobójczo przez terrorystów, którzy porwali samolot.

Czy ów dowódca łodzi podwodnej zdołał jeszcze przed śmiercią zobaczyć to, o czym marzył wtedy podczas swego wojennego wypadu pod Nowy York? Przeżył wojnę, nie zginął w głębinach oceanu. Zginął wysoko, na 70. piętrze walącego się drapacza. Stał się świadkiem tej tragedii, a zarazem jedną z ofiar.

Andrzej oglądał to wydarzenie w bezpośredniej transmisji w telewizji, tak jak ja i miliony ludzi na całym świecie. Początkowo nosił się z zamiarem zakończenia tego cyklu obrazem przedstawiającym tę katastrofę. Miał pomysł przeniesienia jej na porę nocną. Byłby to pożar Nowego Yorku. Taki katastroficzny malarski nokturn. Pozostał tylko zamysł, bo Andrzej został od tego tematu na zawsze wyzwolony. Zmarł nagle na serce przed domem rodzinnym swego dziadka na Warmii, gdy przyjechał odwiedzić tak dobrze znane mu miejsce z dzieciństwa. Często tam wracał, tym razem po raz ostatni.

Wrzesień, 2009

**Józef Krupa** Urodzony w 1931 roku w Radlinie – Biertułtowach. Ukończył studia na wydziale malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie uzyskując dyplom w 1957 roku. Od powstania w grudniu 1957 Telewizji Katowice był jej pracownikiem etatowym początkowo z funkcją operatora kamery, scenografa, a od 1960 roku głównego scenografa. Po wprowadzeniu stanu wojennego roku zwolniony, jako niezwyfikowany do pracy w jednostce zmilitaryzowanej.

Jako scenograf był autorem niezliczonej ilości projektów scenograficznych do teatrów telewizji, jak i programów rozrywkowych i innych. W czasie pracy w TV sporadycznie brał udział w wystawach malarskich. Od odejścia z TV jego głównym zajęciem twórczym było malarstwo, które stało się także źródłem utrzymania rodziny. Ma na koncie udział w wystawach i targach plastycznych. Uprawiane przez niego malarstwo ma charakter metaforyczny, są to Pejzaże Sceniczne będące jakby kontynuacją projektów scenograficznych. Zajmował się także malarstwem abstrakcyjnym, grafiką komputerową i fotografią. Jest autorem krótkich form literackich, głównie opowiadań, bajek i powiastek.





fol. Jozef Krupa



fol. Jozef Krupa



fol. Julia Montewska



fol. Julia Montewska





# Śląskie tajemnice cz. 32

## Pałac w Mrowinach

JULIA MONTEWSKA

Pałac w Mrowinach, to jeden z tych napotkanych przejazdem, niejako przez przypadek. To też jeden z tych, które pozostają w rękach prywatnych i mało, albo w ogóle nic się w nich dzieje. To też jeden z tych, które wzniesiono z wielkim rozmachem, a w powojennej Polsce nie bardzo wiedziano jak ten potencjał wykorzystać. To w końcu jeden z tych, których piękno można podziwiać, jednak tylko z daleka.

Co ciekawe, obiekt ten w powojennych wykazach figuruje jako niezniszczony, zatem mamy tu do czynienia z jednym z pałaców, którym się udało wyjść obronną ręką z wojennej zawieruchy i chaosu pierwszych lat powojennych, które przyniosły zagładę wielu dolnośląskim rezydencjom. Pomiędzy tego szczęśliwego zrzędzenia losu na zagospodarowanie tak wielkiej budowli brakowało pomysłu. W zracjonalizowanej Polsce pierwszym właścicielem dóbr w Mrowinach stał się miejscowy PGR, który pałacowe wnętrza przeznaczył na biura. Kolejnym dysponentem było Kuratorium Oświaty i Wychowania w Wałbrzychu, które utworzyło w pałacu zakład poprawczy. Od roku 1984 obiektem zarządzały Żarowskie Zakłady Materiałów Ogniotrwałych w Żarowie, były też plany sprzedaży zabytkowej nieruchomości osobom prywatnym na początku lat 90., jednak pojawiły się pewne lokalne zgrzyty i protesty mieszkańców. Mieszkańcy protestowali, ale nie z powodu potencjalnego przekazania pałacu jakiemuś milionerowi, a dlatego, że ich domostwa zostałyby odcięte od możliwości odprowadzania ścieków, które trafiały do pałacowego stawu czyniąc z niego śmierdzące na całą okolicę bajoro. Najwyraźniej poradzono sobie z tym problemem, ponieważ po roku 2000 pałac jednak zyskał nowego właściciela.

Historia tego obiektu zaczyna się w drugiej połowie XVI wieku, gdzie wzmiankowany jest jako siedziba rycerska „Rittersitz”. Opisy wskazują, że był to zamek nawodny (cokolwiek to oznacza), a więc musiała to być budowla obronna otoczona fosą lub z kilku stron oblana wodą, by utrudnić w ten sposób zdobycie obiektu przez potencjalnych najeźdźców. W XVIII wieku ta znajdująca się we wschodniej części Mrowin re-



fol. Julia Montewska

zydencja była już okazałym barokowym pałacem, którego fundatorem była rodzina von Adelsbach. Za datę ukończenia tego złożonego na planie prostokąta, trzykondygnacyjnego obiektu uważa się 1871 rok. Wraz z siedmiohektarowym parkiem prowadzonym w stylu naturalistycznym na przestrzeni wieków był kilka razy przebudowywany, z rezydencji barokowej nadano mu charakter klasycystyczny, by ostatecznie otrzymał wygląd neorenesansowy. W zasadzie nie powinno to dziwić, ponieważ zamieszkiwany był przez spore ilości wpływowych śląskich rodów takich jak: von Tschirn, von Predel, von Wallenberg, von Schellendorf, jednak największy rozkwit Mrowiny zawdzięczają rodzinie von Kulmitz.

Carl von Kulmitz, który w roku 1868 nabył obiekt, najwyraźniej na przebudowę pałacu miał własną wizję, którą powierzył znanemu berlińskiemu architektowi Hermanowi Fryderykowi Waesemann, który był m.in. projektantem czerwonego ratusza w Berlinie. Carl Kulmitz był człowiekiem szanowanym i zamożnym; właścicielem huty szkła i żelaza, inicjatorem powstania, na bazie nowo odkrytych

pokładów kaolinu, cegielni i fabryki pieców kaflowych. W 1858 roku Kulmitz założył Fabrykę Chemiczną „Silesia”, znany był również z działalności charytatywnej, jego potomkowie zostali właścicielami pałacu do 1945 roku. W tym miejscu rozpoczyna się najtragiczniejsza część dziejów tego obiektu. Zaniedbany, na całe dziesięciolecie pozostawiony w zasadzie bez pomysłu, bez koncepcji na zagospodarowanie, przechodził jedynie z rąk do rąk kolejnych administratorów. Miał szczęście, że przetrwał kolejne 75 lat – ale jaka będzie przyszłość wymagającego troski i sporych nakładów finansowych obiektu? Ciężko wyrokować stojąc za wysokim ogrodzeniem, a okna zaklejone folią i odpadająca wraz z tynkiem zabytkowa sztukateria może pozbawić złudzeń nawet największego optymistę.

Julia Montewska – inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

**Julia Montewska** — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.





ŚLĄSKA  
OJCZYZNA  
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

## Wiesiołe wiesiele

Brzmienie tytułu dzisiejszego odcinka – z miękkimi spółgłoskami *w'* oraz *ś* – to prymarny, staropolski wariant dzisiejszego *wesołego wesela* – z twardymi *w* i *s*. Te pierwotne postacie fonetyczne znajdujemy w dawnych tekstach: „Głos jej milutki, głośny, słodki, wesoły” (Jana z Szamotuł Paterka kazania z pocz. XVI w.), „Wiesoł jest był” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Pić dobrze, a wiesołu być” (Kazanie na dzień Wszystkich Świętych z poł. XV w.), „Więc wiesoł był, iż ji tym Bóg nawiedził” (Legenda o świętym Aleksym z r. 1454), „Uczynisz wielkie wiesiele” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Napełniesz mię wiesiela” (Psałterz floriański z XIV/XV w.), „Rzadko albo nigdy w wiesielu” (Listy miłosne z poł. XV w.), „Obrócić mój płacz w wiesiele” (Rozmyślanie przemyskie o żywocie Pana Jezusa z XV w.).

Zarejestrowane są także formy pokrewne z *w'*, *ś*: „Sierce wiesieli” (Psałterz floriański z XIV/XV w.), „Będziecie się wiesielić” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Iż jedno w tego świata zbożu wiesieli się”, „Na wiesielenie w radości luda twego” (Psałterz puławski z końca XV lub pocz. XVI w.), „Oni wiesołkowie, co skalkali z nimi” (Mikołaj Rej 1505–1569). Ostatnia postać zachowała się w nazwie *wiesiołek* – „dwuletniej rośliny o żółtych kwiatach i lancetowatych liściach na wysokiej łodydze; z jej nasion otrzymuje się olej o właściwościach leczniczych”. Można też w Polsce spotkać nazwisko *Wiesiołek*.

Poza *wiesiołkiem* (*Wiesiołkiem*) mamy dziś w polszczyźnie tylko brzmienia z twardymi *w*, *s* – *wesoły*, *wesele*, *weselić się*, *wesotek*, a dokonało się to pod wpływem języka czeskiego (tak jak pod wpływem czeszczyzny prymarne *srdce*, potem *sirdce*, *sirce* i *sierce* – obecne w cytacie z Psałterza floriańskiego – ostatecznie zmieniło się w *serce*; znajdujące się kiedyś w tym słowie *d* zachowało się w należących do tej samej rodziny wyrazowej formach *serdeczny* i *osierdzie*).

Jest jednak taki region w Polsce, w którym brzmienia z miękkimi spółgłoskami *w'*, *ś* moż-

na usłyszeć. To południowy Śląsk, czego trudno nie uznać za historycznojęzykową niespodziankę, skoro stamtąd przecież najbliżej do Czech, a pod wpływem języka naszych sąsiadów z południa – powtórzyń – postacie *wiesioły*, *wiesiele*, *wiesiołek* zmieniły się na *wesoły*, *wesele*, *wesotek*. Tymczasem w ustach ludzi pochodzących z tamtych stron pojawiają się konstrukcje typu „Byliście to na Hanczynym wiesieli?” czy „Było szumne wiesieli u naszych sąsiadów” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 282).

A dlaczego z jednej strony mamy szereg *wesele*, *weseln*, *weselić się* – z samogłoską *e*, a z drugiej *wesoły*, *wesotek* – z samogłoską *o*? Na początku we wszystkich tych formach było *e*, utrzymujące się w innych językach słowiańskich. Tylko w polszczyźnie doszło do procesu – nazywanego dlatego przegłosem polskim – polegającego na przejściu samogłoski *e* następującej po spółgłosce miękkiej bądź *w*, bądź *a* przed którąś ze spółgłosek *t*, *d*, *s*, *z*, *n*, *r*, *ł*. Przed pierwotnie miękkim *l* dawne *e* pozostało: *wesele*, *weseln*, *weselić się*; przed *ł* musiało przejść w *o*: *wesoły*, *wesotek*.

Skoro wiemy już wszystko o *weselu* i o przegłosie polskim, możemy przejść do niezwykłego materiału językowego, który przesłała mi Pani Doktor Maria Lipok-Bierwaczonok, założycielka i długoletnia dyrektorka Muzeum Miejskiego w Tychach, wybitna etnografka, wielce zasłużona dla naszego regionu autorka książek i artykułów poświęconych dziedzictwu kulturowemu Górnego Śląska. Oto w przeglądanych rocznikach „Katolika” z roku 1896 znalazła ona następujące teksty reklamujących się restauracji Bytomia, Zabrze, Katowic i Królewskiej Huty: „Ofujemy sale na takie uroczystości, jak chrzciny i wesoła”, „Na żniwa, wesoła, chrzciny i pogrzeby najtańsze źródło sprowadzania win, likierów, rumu żytniówki i spirytusu”, „Szanownym towarzystwom miasta Król. Huty i okolicy polecam świeżo odnowioną salę wraz z sceną teatralną do wesoł i innych oko-

liczności”, „Na wesoła polecam moję salę oraz wszelkie trunki po najtańszej cenie”. – Widzimy aż nadto wyraźnie, że od rzeczownika rodzaju nijakiego (*to*) *wesele* utworzono w nich niespodziewaną z punktu widzenia współczesnej gramatyki formę liczby mnogiej (*te*) *wesela*, ale niezwykłą (*te*) *wesoła* z dopełniaczem (*do*) *wesoł*, a nie (*do*) *wesel*.

To wyjątkowo archaiczne zachowanie gramatyczne, respektujące ponadto zasadę przegłosu polskiego: *e* przed miękkim *l*, ale *o* przed *ł* pluralnej postaci *wesoła*.

Na koniec zwracam uwagę Czytelników na zwrot „polecam moję salę” – z czwartym przypadkiem (biernikiem) zaimka *moja* z pierwotną końcówką –*ę*. Miały ją jeszcze 150–200 lat temu wszystkie zaimki rodzaju żeńskiego: *polecam moję salę* – tak jak *widzę tę książkę*, *twoję siostrę*, *naszę matkę*, *tamtę stronę*. Ponieważ przymiotniki miały zawsze w tym przypadku gramatycznym końcówkę –*a*, mieliśmy do czynienia z nieekonomiczną sytuacją gramatyczną: oto dwie formy pełniące taką samą funkcję określały rzeczownika zachowywały się odmiennie pod względem fleksyjnym: *polecam moję dużą salę*, *czytam tę starą książkę*, *zapraszam twoję młodszą siostrę*, *odwiedziłem naszą dobrą matkę*, *popatrzyłem na tamtą daleką stronę łądu*. Racjonalne więc było przyjęcie również przez zaimki końcówki –*a*, by jednakowości funkcji składniowej towarzyszyła jednakowość fleksyjna: *polecam moją dużą salę*, *zapraszam twoją młodszą siostrę*, *odwiedziłem naszą dobrą matkę*, *popatrzyłem na tamtą daleką stronę łądu*.

Dlaczego tej naturalnej ewolucji stawia do dziś opór zaimek wskazujący *ta*? – Bo jest on o wiele częściej używany od innych zaimków, a we wszystkich językach świata formy najczęściej używane zmieniają się najwolniej. To dlatego w tekstach pisanych i w mówionych oficjalnych ciągle nas obowiązuje wariant z końcówką –*ę*: *czytam tę książkę*, *kończymy tę rozmowę*, *popatrzcie na tę kobietę*, *widzę tę dziewczynę* itp. ■





# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM



MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## Przemijanie i pamięć...

**P**rzemijanie dotyczy nie tylko nas, ale i całej przyrody. Także świata ducha, a zatem wytworów naszego intelektu, naszej wyobraźni; w tym usankcjonowanych tradycją wartości i wzorów zachowań. Cały ten proces zawsze postrzegamy w perspektywie czasu.

Tak więc przeszłość to po prostu to, co istniało, istniało lecz już nie istnieje, a terażniejszość, to co teraz istnieje, a w konsekwencji przyszłość, to co nadejdzie. W tych różnych kategoriach interesuje nas tu terażniejszość.

Zauważmy zatem, że etnologowie, antropologowie kultury często nie koncentrują się w procesie badawczym na interesującym nas przemijaniu, ale przeciwnie – na trwaniu kultury. Zwłaszcza konkretnych jej elementów, które z różnych powodów narażone są na zmianę, czy wręcz zanik. A niegdyś XIX-wieczni ludoznawcy owładnięci patriotycznym uniesieniem koncentrowali uwagę badawczą głównie na rejestrowaniu zwłaszcza ginących dóbr kultury; zwłaszcza owych „odwiecznych” reliktów przeszłości. Pojmowali je jako ślady dawnej polskości obecnej pod chłopską strzechą. To w niej zauważali dziedzictwo prawdziwej Polski. Także współcześnie część badaczy koncentruje się na różnych przejawach pojmowania kultury w kontekście trwania tego co ogólnie zanika – ale jednak trwa. Intryguje też zjawisko przemijania. I jego przyczyny.

Zjawisko wywołane obiektywnymi wewnętrznymi przeobrażeniami danej kultury, ale też groźnymi czynnikami zewnętrznymi. W tym momencie przypominam sobie pewne spotkanie na moskiewskim Arbacie w 1990 roku z pewnym etnologiem, byłem – jak mówił – „pensjonariuszem” gułagu.

Zwracał wtedy natarczywie uwagę przede wszystkim na bolszewicką politykę niszczenia wielu kultur zdomi-

nowanych w dobie ZSRR. Także jego własnej, ukochanej – rosyjskiej. Zarazem dowodził, że największym wrogiem dla „niszczycieli” kultur jest nie rozpoznana przez nich pamięć ludzi. Bo to ona właśnie – trudna do kontrowania – sprawia, że chroni ona wartości i dobra kulturowe, które dla jej nosicieli są ważne, atrakcyjne. Często nawet sakralizowane. Z czasem relacja z owego spotkania opowiadana moim wrocławskim studentom zawsze pobudzała ich do poszukiwania i przytaczania interesujących przykładów niszczenia różnych elementów kultury. Odwoływali się w tych wypowiedziach do opowieści swoich przodków. Zarówno przybywszy na Dolny Śląsk z Małopolski, innych regionów Polski, jak i wypędzonych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Zauważmy też, że i dziś – niektóre kultury są nadal dyskryminowane, nawet zabijane. Dlaczego? Bo dla owych kulturowych „oprawców” są im obce, zatem groźne. Niekiedy bywają niszczone z nienawiści, co przejawia się w paranoicznym – używając terminu Rafała Lempinka, wybitnego członka zespołu prawnego w początkach działalności ONZ – etnocydie. Czyli swoistym „ludobójstwie kulturowym”, kiedy to niszczy się kulturę danej grupy, doprowadzając do destrukcji jej tożsamości. Zazwyczaj nie towarzyszy temu niszczenie fizyczne grupy. Interesującą patrzy współcześnie na to zjawisko – i przestrzega przed jego skutkami – amerykański antropolog kultury, z pochodzenia Hindus – Arjun Appadurai. Kiedy ono się pojawia, okazuje się, że atakowana kultura ulega destrukcji; niszczeniu podlegają jej odrzucane wytwory, dobra, treści kulturowe, zwłaszcza duchowe i społeczne. Następuje w najlepszym przypadku proces powolnego przemijania.

Jest też w historii walki z kulturą przykład przestrzeni, gdzie jej skutki

do dziś odczuwają mieszkańcy krajów postkomunistycznych Europy Środkowo-Wschodniej. Przejawem tego jest przekazywana z pokolenie na pokolenie trauma. Właśnie w tych realiach „na straży” przemijania i zabijania kultury jest pamięć. Własny wytwór kulturowy, czyli konkretnej grupy regionalnej, etnicznej czy narodu. Wtedy „pamięć zbiorowa” zawiera własną wizję przeszłości; konkretnie przeszłości przeżytej, doświadczanej i w efekcie często nie tylko chronionej, ale i mitologizowanej. W konsekwencji taki obraz przeszłości zawarty jest w przekazie międzygeneracyjnym. Uzupełnia go, wedle powszechnych przekonań, wiarygodny opis i komentarz. Barbara Szacka znawczyni problemu wyjaśnia, że w tym przypadku „pamięci zbiorowej” chodzi o „wyobrażenia o przeszłości własnej grupy, konstruowane przez jednostki z zapamiętanych przez nie informacji. Są one selekcyonowane i przekształcane zgodnie z własnymi standardami kulturowymi...”. W ten sposób pamięć jest sprzymierzeńcem tradycji i szerszej tożsamości. W naszych polskich w zakresie przemijania, dekonstrukcji, a nawet zaniku kultury dawnej najsilniej ten proces zachodzi w przypadku Kresowian. Oderwani brutalnie od ziemi przodków przybywali na ziemię im obce; obce, bo niemieckie. Warto poznać ich pamięć. Ich potomkowie, tworzą nowy kanon kulturowy. Jak pojmują przemijanie dawnej, własnej kultury – jej śmierć? Czy tkwią w piekle zapomnienia, czy w ułudzie mitologizacji? A jak jest z owym przemianem wśród ludności rodzimej Górnego Śląska? Tu żyją na swojej ziemi, wśród „swojaków”, wśród gorliwych depozytariuszy pamięci. A zatem przemijanie jest tu inne; powolniejsze. Tu istotną rolę odgrywa pamięć, a ona, jak pisał Jan Paweł II „jest to siła, która tworzy tożsamość”.



# Bohdan Korzeniewski, „Było, minęło... Wspomnienia”

MARIAN SWORZEŃ

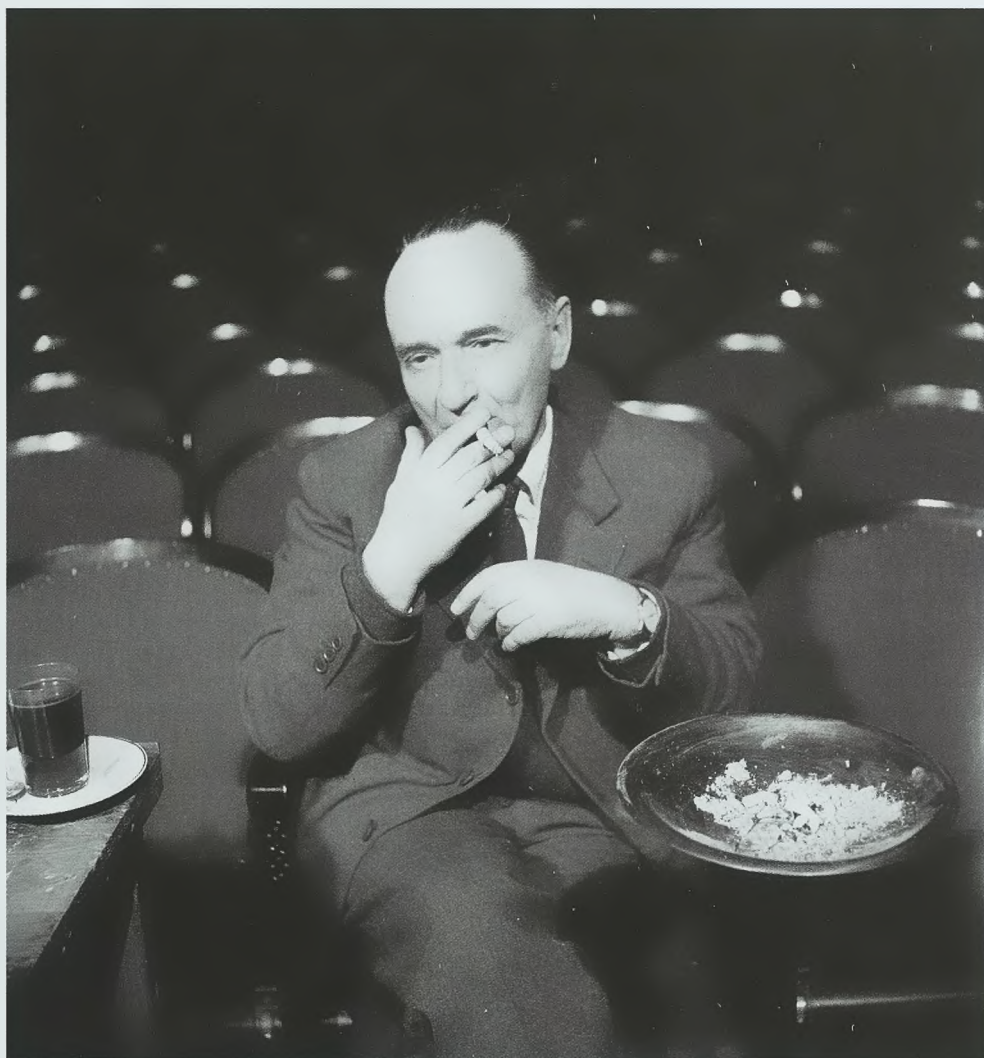
Z twórczością Korzeniewskiego zetknąłem się w roku 1993, gdy PIW wydał niewielki zbiór wspomnień jego autorstwa. Zapamiętałem z niego, bardzo dokładnie, jedno zdarzenie... Gdy planowałem pisanie o „Książkach i ludziach”, moje poszukiwanie w domowej bibliotece nie dało efektu. Kilka dni później niespodzianka! – dostrzegłem w księgarni nowo wydany tom, którego częścią były tamte, zagubione opowiadania. Tak oto zostałem znaleziony... przez książkę. Po jej lekturze mam niezbitą pewność, że jest to dzieło niezwykle ważne.

Redaktor prowadzący, Hubert Musiał, tak skonstruował kształt książki, że czytelnik, prócz obcowania ze słowami autora, może również poznać inne jego wypowiedzi. Dzięki temu mamy zapis jego losów z Powstania Warszawskiego sporządzony przez Wacława Borowego, obszernie wspomnienia zapisane przez Rafała Zakrzewskiego, także monolog z filmu dokumentalnego powstałego rok przed śmiercią. Dzięki tekstom Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej, Andrzeja Kruczyńskiego i Sylwii Majcher mogłem zestawić notę biograficzną Bohdana Korzeniewskiego:

Urodził się w roku 1905 w Siedlcach w rodzinie o tradycjach ziemiańskich – jego ojciec był urzędnikiem sądowym, matka nauczycielką. Lata przypadające na I wojnę światową spędził u krewnych w dworku pod Orszą, a po powrocie z Białorusi podjął naukę w szkole średniej w rodzinnym mieście. Po maturze studiował polonistykę w Warszawie; związał się wtedy z ugrupowaniami socjalistycznymi, pozostając przez całe życie wierny postawie człowieka lewicy. Potem była podchorążówka, a od jesieni 1932 praca w Bibliotece Narodowej, gdzie stwo-

rzył dział teatralny, doprowadzając go do znaczących rozmiarów przez zakupy archiwaliów i ich pozyskanie z różnych instytucji. Lata 1933–34 spędził na stypendium w Paryżu, wykorzystując pobyt na zapoznanie się z życiem teatralnym i zbieranie materiałów do pracy o Wojciechu Bogusławskim; jednymi ze współstypendystów byli wówczas Czesław Miłosz i Witold Lutosławski. Wróciwszy do kraju, nawiązał współpracę z licznymi pismami jako recenzent teatralny, prowadził również wykłady w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Po klęsce wrześniowej (w kampanii nie wziął udziału, nie do-

tarłszy w jej zamęcie do jednostki) pracował fizycznie, jak również włączył się do działalności podziemnej. Zatrzymany w obławie na Żoliborzu 17.9.1940 roku, razem z dużą grupą uwięzionych został wysłany do KL Auschwitz – przebywał tam do 21.10.1940 roku. Po powrocie kontynuował udział w podziemiu w strukturach Kierownictwa Walki Cywilnej, odpowiadając m.in. za opór w środowisku aktorskim oraz uczestnicząc w pracach Tajnej Rady Teatralnej. Od lata 1941 roku był magazynierem w bibliotece zamkniętego przez okupanta Uniwersytetu Warszawskiego. Powstanie przeżył w środku płoną-



Bohdan Korzeniewski pali papierosa

fot. NAC



cej stolicy, by potem, już po kapitulacji, codziennie dojeżdżać z Pruszkowa z grupą osób uprawnionych do ratowania książkowych resztek. Jeszcze w trakcie działań wojennych, odbył daleki wyjazd, by w miasteczku blisko Odry odnaleźć, a potem przewieźć do stolicy zrabowane przez Niemców archiwalia. Po wojnie był reżyserem teatralnym, wykładowcą, tłumaczem utworów dramatycznych. Należał do szeregu stowarzyszeń zajmujących się sztuką dramatyczną. W sierpniu 1980 roku podpisał apel intelektualistów wzywający do rozmów ze strajkującymi. Uczestniczył w Kongresie Kultury Polskiej, przerwany przez ogłoszenie stanu wojennego. W połowie lat 80. emigracyjna „Kultura” wydrukowała jego teksty wspomnieniowe: „Pagórek”, „Powrót” i „Wyzwolenie”. Publikacje jego autorstwa ukazały się również w podziemnej „Krytyce”. Inne bezdebitowe wydawnictwo, „Przedświt”, w roku 1988 wydało obszerny wywiad Korzeniewskiego udzielony Małgorzacie Szejnert zatytułowany „Sława i infamia”, poświęcony m.in. postawom środowiska aktorskiego w GG podczas okupacji. W latach 1988–89 w kolejnych pięciu numerach miesięcznika „Znak” wydrukowano jego mówione wspomnienia „Było, minęło, nie wróci”. W roku 1991 telewizja przygotowała film dokumentalny „Drzewa i ludzie” w reżyserii Ewy Karmańskiej (książka zawiera jego wypowiedź spisana przez Annę Kuligowską-Korzeniewską). Zmarł w roku 1992. Jego osobie i dziełu poświęcono tom 43 „Pamiętnika Teatralnego” (1994).

W opracowaniu Elżbiety Toszy o historii Teatru Śląskiego im. Wyspiańskiego (Katowice 1998) znalazłem kilka odniesień związanych z realizacjami Korzeniewskiego. I tak: w sezonie 1947/48 reżyserował u nas „Szkołę żon” Moliere, w sezonie 1951/52 w jego inscenizacji wystawiono „Grzech” Zeromskiego, a po ćwierćwieczu – w sezonie 1977/78 – wyreżyserował Molierowskiego „Grzegorza Niezgułę” i „Pannę Julię” Strindberga. Krótco po jego śmierci przygotowano poświęconą mu wystawę monograficzną (stało się to za dyrekcji Bogdana Toszy, w roku 1993). Pamiętam, że byłem na spektaklu „Panny Julii” wystawianej na Małej Scenie w nieistniejącym już obiekcie przy ul. Staromiejskiej. Wiem, że manuskrypt „Grzechu” został znaleziony przez profesora Wacława Borowego w styczniu 1945 roku w stercie archiwaliów zniesionych do piwnicy bibliotecznej – był przy tym Korzeniewski, który to opisał: „(...) wydobyl z odległych miejsc parę grubych brulionów z *Dziennikami* Zeromskiego, gdzie indziej podniósł zeszyt z młodzieńczym dramatem tego pisarza. – To zapewne pana zainteresuje – powiedział, wyciągając do mnie

rękopis – zupełnie nieznaną sztuką”.

Przejdę teraz do wydarzenia z życia Korzeniewskiego, które przesądziło o napisaniu tego artykułu. Poprzedziły je dramatyczne etapy: łapanka, uwięzienie, transport, pierwsze dni w KL Auschwitz, potem koszmar obozowej codzienności jako numer 4880, a w końcu, niespodziewanie, zapowiedź zwolnienia, kąpiel, wydanie rzeczy z magazynu, poranne wyprowadzenie grupy więźniów – pod strażą żandarma – na ulice Oświęcimia, wykupienie biletu na stacji, zajęcie miejsc w wagonie. Jest jesień 1940 roku... „Jechaliśmy przez pewien czas sami, ale z Oświęcimia jedzie się przez Katowice. Przed Katowicami zaczęli wchodzić do pociągu górniczy, jadący do pracy, z tymi swoimi żalonymi paczkami z jedzeniem w garze. Wchodzili do naszego przedziału, widzieli tych ośmiu mężczyzn siedzących nieruchomo z ogolonymi głowami, patrzyli na siebie i zaczęła się bardzo dziwna sprawa. Mianowicie, każdy brał swoją paczkę i kładł któremuś z nas na kolana. (...) dojeżdżaliśmy do Katowic, płacząc wszyscy. Każdy z nas miał na kolanach kilkanaście paczek z chlebem czy z marmoladą. I to było nasze wejście w świat wolny”. I drugi opis, wcale nie odmienny, bowiem te różnice nie dzielą, lecz uzupełniają obraz: „W miarę zbliżania się do miasta coraz częściej w drzwiach przedziału stawał rosły mężczyzna w wyszarzałej kurtczynie, w pomiętym kaszkiecie, w ciepłym robionym na drutach szalu wokół szyi. Wchodzący byli tak bardzo do siebie podobni, jakby praca pod ziemią sama dokonywała wyboru. Każdy z nich rzucał wzrokiem na ławki w poszukiwaniu wolnego miejsca, ale kiedy natykał się na nasze ogolone głowy i nieruchome figury (...) skierował się ku wyjściu. Po drodze jednak kładł na kolana któremuś z nas termos wyjęty spod pachy, a następnie śniadanie zawinięte w gazetę. Musieli znacznie wcześniej od nas, zamieszkałych w *Generalgouvernement* posiąść wiedzę o państwie, które ich wchłonęło w trakcie paru tygodni, gdyż niemal wszyscy zachowywali się podobnie”.

BOHDAN KORZENIEWSKI

## Było, minęło... Wspomnienia

Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

Pierwszy fragment „Powrotu” kończyło zobowiązanie autora: „Wtedy sobie powiedziałem, że jeśli kiedykolwiek jeszcze będę coś robił w teatrze, to chciałbym przede wszystkim robić dla górników, robić dla ludzi, którzy człowieczeństwo rozumieją w sposób niezmiernie prosty i taki, który ludziom przynosi zaszczyc”. Czy Korzeniewskiemu udało się je spełnić? W jednej z wypowiedzi stwierdził, że nie podobał, bo czasy, nawał pracy... Tak jednak nie było. Obietnica została spełniona. Solennie, przykładnie, w środku Śląska. Kiedyż to? W roku 1985, gdy warszawski aktor Józef Duriasz odczytał „Powrót” (właśnie wydany w paraskiej „Kulturze”) wobec górników i ich rodzin zgromadzonych w salce parafialnej przy bazylice NMP w Piekarach na spotkaniu Duszpasterstwa Ludzi Pracy. Przyjazd aktora został wówczas przygotowany przez Gintera Kupkę, nękanego przez SB solidarnościowca, górnika kopalni „Julian”, później – twórcę Radia Piekary, rozgłośni działającej po dziś dzień. To też jest częścią historii. Takiej, która ludziom przynosi zaszczyc. ■

Bohdan Korzeniewski, „Było, minęło... Wspomnienia”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, str. 494.

O Śląsku: str. 8, 119, 190–1, 228, 234, 455–6, 480.

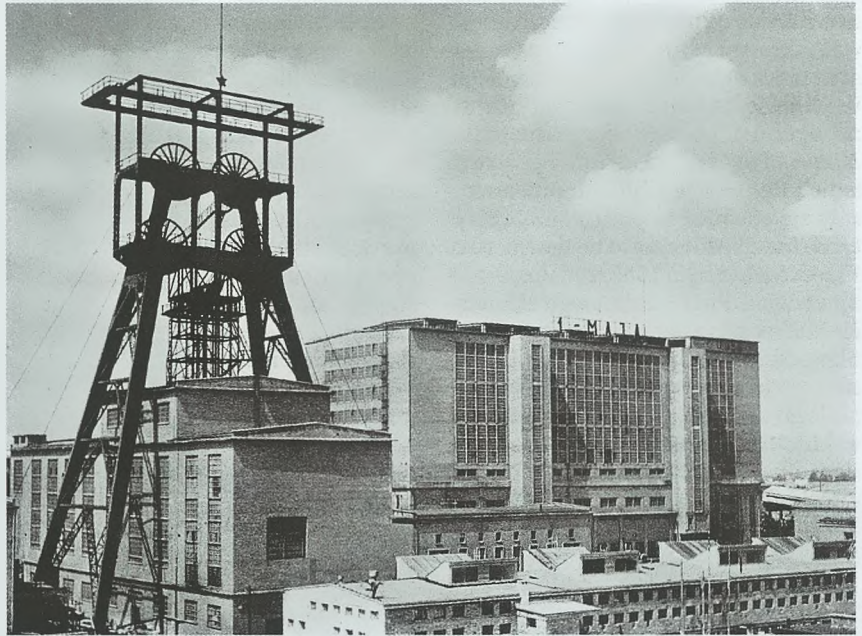


# Przywileje górników po wprowadzeniu Karty Górnika w 1949 roku

STEFAN GIERLOTKA

Po zakończeniu II Wojny w 1945 roku produkcja węgla kamiennego w Polsce miała podstawowe znaczenie dla odbudowy i rozwoju kraju. Główna mobilizacja wysiłków skierowana była na realizację wygórowanych planów produkcyjnych. Opracowane plany trzy-, pięcioletnie – i sześciolletnie przewidywały ogromny wzrost wydobywania węgla, co przy niedoborze odpowiednich maszyn górniczych trudno było wykonać. Zachętą do pracy w górnictwie była przyjęta przez Radę Ministrów w dniu 30 listopada 1949 roku Karta Górnika określająca uprawnienia i przywileje tej grupy zawodowej. Uroczyste ogłoszenie uchwały zwanej Kartą Górnika odbyło się na akademii w Dniu Górnika 4 grudnia 1949 roku w Sosnowcu przez Prezydenta RP tow. Bolesława Bierutę.

Celem wprowadzonej Karty Górnika było zachęcenie osób do podejmowania dobrze płatnej pracy w kopalniach. Wprowadzając Kartę Górnika przyznano górnikom dołowym specjalne premie kwartalne oraz liczne prawa honorowe. Za nienaganą i długoletnią pracę pod zie-



fol. arch. aut.

mią przyznawano Brązowy, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi. Innym wyróżnieniem było prawo do nadania Sztandaru Pracy II i I klasy. Niezależnie od innych praw honorowych, Karta Górnika wprowadzała tytuł

„Zasłużony Górnik Polski Ludowej”, który nadawał Minister Górnictwa i Energetyki.

Oprócz wysokiej premii kwartalnej Karta Górnika przyznawała liczne prawa honorowe dla górników. Wprowadzono zwyczaj uroczystego wręczania dyplomu za uzyskanie stopnia rębacza i młodszego rębacza, jak również kwalifikowanego górnika.

Karta Górnika ustanowiła hierarchię górniczą wprowadzając stopnie górnicze. Przyznanie stopnia górniczego upoważniało do noszenia munduru górniczego, służbowego oraz galowego. Wprowadzono hierarchię stopni górniczych: stopień generalnego dyrektora, 3 stopnie generalnego dyrektora górniczego, 3 stopnie dyrektora górniczego, 3 stopnie inżyniera górniczego, 3 stopnie technika górniczego, 3 stopnie górnika oraz 3 stopnie aspiranta górniczego. Mundury górnicze służbowe otrzymywali też słuchacze starszych lat techników górniczych oraz studenci Wydziału Górniczego Politechniki Śląskiej i AGH.

Karta Górnika przyznała prawo do Jubileuszu po przepracowaniu w górnictwie co najmniej 25 lat i 35

fol. arch. aut.







Dla wszystkich górników, którzy przepracowali pod ziemią co najmniej 3 lata, wprowadzono prawo do otrzymania raz w roku biletu kolejowego dla siebie i jednego członka swojej rodziny w dowolnie obranym kierunku, w granicach Rzeczypospolitej Polskiej i z powrotem.

Wprowadzona uchwałą Rady Ministrów Karta Górnika z 1949 r. została zastąpiona Rozporządzeniem Rady Ministrów z 30 grudnia 1981 r. w sprawie szczególnych przywilejów dla pracowników górnictwa. Wydobycie węgla szybko rosło od 27 366 tys. ton w roku 1945, do prawie 200 mln ton na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Nowelizacja uchwały uregulowała sprawę nagród jubileuszowych za długoletnią pracę. Dodatkowym wyróżnieniem było nadanie pracownikom górnictwa odznaki jubileuszowej po przepracowaniu: 25, 35, 50 lat.

Pracownikom niekorzystającym z czasów organizowanych i finansowanych przez zakład pracy wypłacano z funduszu socjalnego ekwiwalent pieniężny w wysokości ustalonej przez samorząd pracowniczy. Pracownikom górnictwa przechodzącym na emeryturę lub rentę inwalidzką wypłaca się odprawę pieniężną w wysokości 3-miesięcznego wynagrodzenia. Górnikom, którzy po dniu wejścia w życie rozporządzenia zawarli związek małżeński, przysługiwała jednorazowa pożyczka na zagospodarowanie, umarżana po 5 latach nienagannej pracy pod ziemią.

Przywilejem dla górników był zawsze deputat węglowy. Już od po-

lat. Jubilaci, którzy przepracowali w górnictwie 25 lat otrzymują dyplom honorowy, brązową odznakę i pamiątkowy zegarek. Karta Górnika przyznawała liczne przywileje w zakresie praw emerytalnych i opieki socjalnej dla rodzin górniczych. Na każde dziecko uczęszczające do szkół górnik dołowy otrzymywał zasiłek na pomoce szkolne.

Dużą poprawą bytu dla górników było wprowadzenie przez Kartę Górnika zwiększonych dni urlopowych. Stosowana wcześniej ustawa urlopową z roku 1922 przewidywała dla pracowników fizycznych, którzy przepracowali nie więcej niż 3 lata urlop w ilości 8 dni roboczych, a po dalszych 3 latach pracy urlop w ilości 15 dni. Wprowadzona Karta Górnika przyznawała dla rębaczy i ładowaczy po przepracowaniu jednego roku pracy dołowej prawo do urlopu w wymiarze 21 dni kalendarzowych. Było to 3-krotne zwiększenie dni urlopów dla górników i ładowaczy.







czątku XIX wieku właściciele kopalń na Śląsku wydawali swoim pracownikom ustalony deputat węgla. Określoną ilość wydobytego węgla górnicy mogli zabrać do domu na potrzeby prowadzonego gospodarstwa. Deputat węglowy był przywilejem górników przez cały XX wiek.

Drugim przywilejem górników jeszcze z czasów kopalń pruskich był tzw. klocek. Górnik po przepracowanej na dole „szychcie” zabierał do domu klocek drewna na rozpałkę w piecu. Był to odcięty kawałek pnia, około 30 cm, z „filarówki” – drewna stosowanego do obudowy wyrobiska. Jeszcze w początkach XXI wieku na bramach kopalń tolerowane było wynoszenie klocka, przez górników palących w domowych piecach lub kominkach.

Innym przyjętym zwyczajem świadczonym przez pracodawców górniczych był przywilej barbórkowy. Dzień 4 grudnia był zawsze uroczystością obchodzoną przez górników jako Barbórka. Był to dzień wolny od pracy w kopalni. Zwyczajem barbórkowym praktykowanym w kopalniach jeszcze przed wojną był deputat barbórkowy. Każdy górnik dla świętowania swojego górniczego święta otrzymywał: ćwiartkę wódki, 220 g kiełbasy, 2 bułki i paczkę papierosów. Od lat powojennych, dalej w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ekwiwalent ten wydawała kopalnia swoim pracownikom

w towarze. Trudna sytuacja gospodarcza w początkach lat osiemdziesiątych i porozumienie ze związkami zawodowymi górników doprowadziło do tego, że w latach 1981–1983 zamiast ekwiwalentu w naturze górnicy otrzymywali jedną butelkę półlitrową wódki. Ponieważ wtedy wódka i inne towary były na przydziałowe kartki, była akceptacja związków górniczych do takiej zamiany. W kolejnych latach porozumienie ze

związkami zawodowymi doprowadziło do tego, że na Barbórkę górnicy otrzymali dodatek pieniędzy pokrywający wartość ekwiwalentu.

W końcowych latach XX wieku przywilejem dla górników była nagroda po wypracowaniu przez kopalnię określonego zysku, pracownik otrzymywał z okazji Dnia Górnika, trzynastą pensję, a po zbilansowaniu zysku rocznego czternastą pensję.

Mimo olbrzymich przywilejów, górnicy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nie należeli do elity finansowej. Dopiero w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia (w tak zwanym okresie Gierkowskim) górnicze uposażenia wyraźnie znacznie się podniosły. Wydobywanie węgla w kopalniach zbliżyło się do 200 milionów ton. Wprowadzono premie eksportowe i nagrodowe oraz za działalność racjonalizatorską. Każda kopalnia prowadziła działalność racjonalizacji i wynalazczości. Wdrożone innowacje, przynoszące korzyści kopalni lub poprawiające bezpieczeństwo pracy były dobrze wynagradzane. Racjonalizatorzy brali udział w konkursach z dużymi nagrodami, zależnie od wyliczonych oszczędności oraz ilości zgłoszonych projektów racjonalizatorskich. Odnosiło to bardzo pozytywny wpływ mobilizując inżynierów i dozór do kreatywnego myślenia.

Tamten okres dawał górnikom olbrzymie zarobki i przywileje. Stanożyły swoistą rekompensatę za ciężką pracę pod ziemią, ale były też od zawsze powodem do zazdrości, jaką żywili do górników przedstawiciele innych zawodów. ■





**28** października 2020 roku zmarła w Krakowie Wanda Polańska, która rozpoczęła swą wielką karierę na deskach Operetki Śląskiej w Gliwicach w 1956 roku. Jej talent, znakomity głos, świetne aktorstwo, urodę i seksapil podziwiała publiczność w wielu krajach Europy, a także w Mongolii, Kanadzie i USA.

Zachwycił się jej wielkim głosem Józef Gaczyński, bas-baryton, który występował przed wojną w mediolańskiej La Scali, a także w Operze Wiedeńskiej. Był jej profesorem w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej w Krakowie. Trzykrotnie stawała do egzaminu na solistkę Operetki Śląskiej. Reżyser Danuta Baduszkowa, mająca wtedy decydujący głos w komisji, nie była entuzjastką jej talentu, ale Polańska znalazła sojusznika w śpiewaku i reżyserze Edmundzie Waydzie. Przekonał Baduszkową, aby dać Polańskiej szansę i została przyjęta do... chóru. Nie tak sobie wyobrażała karierę, ale wiedziała, że jeszcze trudniej może być w Krakowie, gdzie primadonną była Iwona Borowicka.

Po kilku tygodniach Wanda Polańska otrzymała jednak telegram z Gliwic, z zaproszeniem do występu w „Zemście nietoperza” Johanna Straussa w partii Rozalindy – jednej z najtrudniejszych w repertuarze operetkowym. Gdy przyjechała na próbę, część zespołu w ogóle nie przyszła i patrzono na nią z ukosa. Jakas smarkula ma śpiewać główną rolę! Na scenie potknęła się kilka razy o tren swojej sukni. Jednak debiut i tak okazał się wielkim sukcesem. Jako Gabriel Eisenstein wystąpił Edmund Wayda, a partię Adeli śpiewała Irena Brodzińska.

Warto pamiętać, że w tamtych czasach Gliwice były polską stolicą operetki. Wanda Polańska ogromnie podobała się publiczności ze względu na swój znakomity głos i talent aktorski. Do 1965 roku stworzyła tu wiele kreacji w takich spektaklach jak: „Księżniczka czardasza”, „Cnotliwa Zuzanna”, „Król włóczędów”, „Bal w Savoyu”, „Bal w Operze”, „Baron cygański”, „Bajadera”, „Czar walca” czy „Wiktoria i jej huzar”.

Na budynku „Orbisu” w centrum Katowic w 1959 roku pojawił się billboard z Polańską – reklama operetki „Bajadera” Kalmana. Wcielała się w Odette Darimonde, primadonnę paryskiego teatru Châtelet, w której zakochał się książę z Indii. Plakaty wieszane w Gliwicach i Katowicach wzbudzały sensację. Pani Wanda była na wpół roznegliżowana, odsłaniała brzuch i nogi. Nic dziwnego, że porównywano ją do gwiazd hollywoodzkich filmów, między innymi do Marylin Monroe.

Gdy była u szczytu kariery, postanowiła nagle odejść z Gliwic. Przeżyła tam pierwszą wielką miłość, ale zakochała się w zonatym śpiewaku. Nie chciała rozbijać jego rodziny, więc wyjechała do stolicy i szybko została primadonną Operetki Warszawskiej. Dyrektorem był tam reżyser Tadeusz Bursztynowicz. To on razem z Adamem Didurem założył Operę Śląską w Bytomiu i podziwiał Polańską od dawna. Zachwycali się nią tacy krytycy jak Jerzy Waldorff czy Józef Kański, a Bogusław Kaczyński napisał: „Jest symbolem potęgi polskiej operetki, kontynuatką najpiękniej-



Wanda Polańska, Hanna Suchorabska, Krzysztof Korwin-Piotrowski, Ewa Kozik, Kraków 2015

fot. arch. aut.

## Wanda Polańska – królowa sceny

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

szych tradycji stworzonych w ciągu stuleci przez legendarne i ubóstwiane przez publiczność gwiazdy: Wiktorię Kawecką, Lucynę Messal, Kazimierę Niewiarowską, Beatę Artemską, Iwonę Borowicką. Jej magiczna osobowość, ogromny, przepiękny w barwie sopran i najwyższej próby aktorstwo – wszystko to sprawiło, że mówimy o Wandzie Polańskiej jako o królowej sceny”.

Do legendy przeszedł jej występ z Janem Kiepurą na scenie Operetki Warszawskiej w 1965 roku. Sławny na całym świecie „chłopak z Sosnowca” pojawił się jako widz na „Wesołej wdówce”. Siedział w trzecim albo czwartym rzędzie. Przyszedł in cognito, ale i tak oczywiście został rozpoznany. Podczas III aktu publiczność nie wytrzymała i zaczęła krzyczeć: „Jasiu, śpiewaj!”. Kiepura wszedł na scenę i wykonał z Polańską 5 razy duet „Usta milczą, dusza śpiewa”. Potem stwierdził: „Takiej gwiazdy nie powstydziłby się Broadway!”.

Wszystko układało się wspaniale, ale nowy dyrektor Operetki Warszawskiej Ryszard Pietruski powiedział jej w 1978 roku, że takich gwiazd mu nie trzeba. Próbowwała dostać się do zespołu Opery i Operetki w Krakowie, kiedy jednak dyrektor zapytał ją, gdzie wcześniej śpiewała, obraziła się i już nie wróciła. Zaczęła wyjeżdżać za granicę, do wielu krajów Europy, ale również do Azji i Ameryki. Śpiewała na festiwalach i w telewizji. Często nagrywała programy muzyczne w Telewizji Katowice i w Warszawie. Zapraszano ją na koncerty. Sporadycznie występowała w spektaklach operetkowych w Teatrze Wielkim w Łodzi, Gliwickim Teatrze Muzycznym, Operze Krakowskiej i Teatrze Muzycznym „Roma” za dyrekcji Bogusława Kaczyńskiego.

Razem z dyrektorem Pawłem Gabarą zaprosił ją w 2002 roku do gali jubileuszowej z oka-

zji 50-lecia sceny operetkowej w Gliwickim Teatrze Muzycznym, a następnie zaproponowałem jej występ w roli Księżnej w „Księżniczce czardasza”. Pojechaliśmy z tym spektaklem na Europejski Festiwal im. Jana Kiepury w Krynicy-Zdroju, na zaproszenie Dyrektora Bogusława Kaczyńskiego.

W 2007 roku doprowadziłem do przyznania jej przez Ministra Kultury Złotego Medalu „Gloria Artis”. Wręczenie odbyło się na naszej gliwickiej scenie. Następnie razem z panią impresario Barbarą Kaczmarkiewicz i Bogusławem Kaczyńskim planowaliśmy realizację wielkiej gali z okazji 50-lecia jej pracy artystycznej w Sali Kongresowej w Warszawie. Niestety z powodów zdrowotnych była zmuszona odmówić. Miała duże problemy z kręgosłupem, a potem dopadły ją trzy udary. Nie była w stanie funkcjonować sama i zamieszkała w Domu Wpasty Seniora, gdzie miała do końca życia wspaniałą opiekę i fachową pomoc rehabilitanta.

5 lat temu razem z ekipą Telewizji Katowice pojechałem do Krakowa, gdzie nagraliśmy razem z Ewą Kozik i Hanną Suchorabską program z cyklu

„A życie toczy się dalej”. Jest nadal do obejrzenia na stronie TVP Katowice (data 13.12.2015). Wręczyłem królowej operetki bukiet różowych róż. Była wzruszona i szczęśliwa, opowiadając o swojej wspaniałej karierze. Całe swoje życie poświęciła sztuce.



Krzysztof Korwin-Piotrowski – dyrektor artystyczny Fundacji Orfeo im. Bogusława Kaczyńskiego



## GENESIS

Lepiłem człowieka z piasku  
co chwilę podnosiłem  
w obu dłoniach sypką substancję

Na porywistym wietrze  
drobne kamienne nasiona  
nie wiązały się w całość

Nie pomogła nawet woda  
z pobliskiego źródła

Człowiek którego stworzyłem  
nie posiada stałego ciała  
jest podobny  
do burzy piaskowej  
widma karawany

1982

## WIDOK Z OKNA

Wczesnym rankiem  
gdy przez chmury  
prześwituje słońce  
nad horyzontem widać  
sylwetki impresjonistów  
na plenerze w rajskim ogrodzie  
jak prowadzą pędzle  
po płótnach nieba

Gdyby tak jeszcze dzień  
spóźnił się choć chwilę

zanim opadną  
ostatnie  
drobinki snu...

## BYĆ WRÓBELKIEM

Słuchaliśmy z siostrą  
jak w szpitalnym parku  
śpiewają kosy

Po chwili  
siostra powiedziała  
że jednak najbardziej  
lubi wróble

– Są takie małe  
szare  
bezbronne  
lecz ile w nich radości  
i rozlania

– Kiedy już umrę –  
dodała –  
chciałabym  
żeby moją duszę  
przygarnął jakiś wróbelek...

Wracając ze spaceru  
często podglądam  
jak te małe ptaszki  
harcują  
w koronie drzewa

Temu  
najradośniejszemu  
mówię –  
do jutra siostrzyczko





## STARUSZEK

Kochał śpiew ptaków  
lecz kiedy do nich podchodził –  
one odlatywały

W końcu  
kupił ptaka w klatce

Każdego dnia  
skrzydlaty przyjaciel  
witał go śpiewająco  
i rozweselał jego samotność

Często  
wystawiał łepkę zza krat  
dając się pogłaskać

Aż kiedyś  
ptak mu zaśpiewał  
piosenkę o miłości  
a stary człowiek  
wzruszony do łez  
otworzył drzwiczki

Ptak  
pofrunął  
w kierunku okna  
i uderzył w szybę

Szyba pękła

Pękło też  
serce ptaka

W sercu staruszka  
wrosła  
klatka

\* \* \*

Mówiłaś –  
jesteś kochany

Kładłaś głowę  
na moje kolana  
i szeptałaś –  
pocałuj...

Nawet nie wiem kiedy  
zakrzyczeliśmy  
ten szept



*Żmudny on ten wiew.*

rys. Bogna Skwara

## JEJ DEKADENCJA

Mówiła –  
to taka moja dekadencja

I w samym środku nocy  
pośrodku miłości  
w połowie drogi  
zakładała płaszcz  
pod którym nie miała  
nic więcej

a drzwi  
zostawiała otwarte  
żebym słyszał  
to okrutne  
skrzypienie schodów  
którymi  
zapadała się  
pod ziemię



# Zbrodnia i grabież

BOGUMIŁ GROTT

Książka Wojciecha Polaka i Sylwii Galij-Skarbińskiej „jest dramatyczną, miejscami aż wstrząsającą panoramą trudnych relacji polsko-niemieckich po 1939 r. aż do dziś”. Tak głosi jej krótkie omówienie zamieszczone na tyle okładki i trzeba się z nim zgodzić w całości. Autorzy odzegnują się od naiwne-go spojrzenia wielu Polaków na współczesne Niemcy i stosunki polsko-niemieckie, o czym mówią bieżące sondaże. Wskazują one bowiem, że aż 64% naszych rodaków uznaje stosunki z tym krajem za dobre. Takie oceny nie powinny mieć miejsca i dlatego trzeba się zastanowić, dlaczego tak się dzieje i co zrobić, aby sprowadzić polski ogół na płaszczyznę realistycznego spojrzenia na naszych zachodnich sąsiadów.

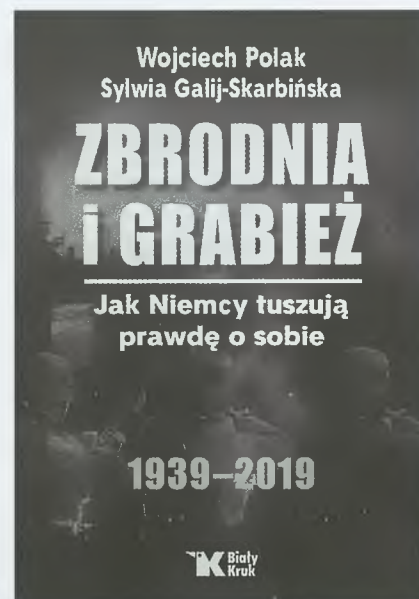
Książka toruńskich historyków składa się z trzech zasadniczych rozdziałów poprzedzonych *Wprowadzeniem* i zamkniętych rozdziałem końcowym (*Perspektywy sąsiedztwa*) oraz bibliografią.

Rozdział pierwszy to *Zbrodnie niemieckie w Polsce w okresie II wojny światowej*, który przedstawia sprawy na ogół już dobrze przebadane przez zawodowych historyków czy innych badaczy stosunków polsko-niemieckich ale także znane, co prawda w formie ogólnikowej i spopularyzowanej szerszym kręgom, co wydaje się zapewniać szkoła oraz tradycja ustna przekazywana jeszcze dzisiaj przez najstarsze pokolenie. Nie będziemy się więc tu nim zajmować dokładniej. Natomiast współczesne relacje polsko-niemieckie są już tematem trudniejszym i, jak się wydaje, mniej dostępnym dla świadomości ogółu. O tych sprawach mówią rozdziały drugi i trzeci omawianej książki, zatytułowane *Tuszowanie zbrodni* oraz *Dzisiejsza polityka Niemiec wobec Polski*. Im też poświęćmy większość uwagi. Autorzy już na początku swoich rozważań mocno podkreślają powierzchowność i nieadekwatność do popełnionych zbrodni przeprowadzanych, zabiegów denazyfikacyjnych podejmowanych na terenie Niemiec w latach powojennych i później. Rażąca dysproporcja pomiędzy popełnionymi czynami przez III Rzeszę i jej obywateli, a ferowanymi wyrokami rzuca się w oczy budząc niepokój i podsuwając wiele pytań, które domagają się odpowiedzi i głębszych refleksji. Dość powszechne powierzchowne ocenianie popełnionych zbrodni i prze-

jawiana przez niemieckie sądownictwo tendencja do ich minimalizacji nie tylko oburza, ale daje też dużo do myślenia. Wskazuje ona na funkcjonowanie w Niemczech swoistego mechanizmu pobłażania, który bez wątpienia jest produktem szerokiej akceptacji przez Niemców III Rzeszy i jej polityki uprawianej w krajach okupowanych w stosunku do ich obywateli oraz swoistego zakłamania. Autorzy *Zbrodni i grabieży* omawiają ten problem szeroko, podając wiele przykładów, dotyczących praktyk sądownictwa niemieckiego w Republice Federalnej Niemiec co skutkowało uniknięciem kar przez wielu zbrodniarzy wojennych. Do nich należeli kaci Warszawy, generałowie Erich von Bach-Zelewski czy Heinz Reinefahrt, pełniący spokojnie przez szereg lat funkcję burmistrza miasteczka na wyspie Sylt. Fałszowanie przez obecne państwo niemieckie swojej historii jest faktem oczywistym. Towarzyszy mu tendencja do przemilczania zbrodni. I chociaż działają tam zarówno badacze przeszłości jak i rozmaici intelektualni, którzy stają twarzą w twarz z ponurymi faktami z przeszłości, to jednak są oni w zdecydowanej mniejszości.

„Państwo niemieckie – jak piszą autorzy *Zbrodni i grabieży* – traktuje Polskę w sposób lekceważący, a wszelkie zaszłości historyczne uważa za przedawnione. Jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku istniało, w bardzo nielicznych wprawdzie Niemczech, poczucie winy za ponad pięć milionów obywateli polskich zabitych w czasie II wojny światowej, za masowe egzekucje na ziemiach polskich, za zbrodnie popełnione w obozach koncentracyjnych, za zmuszanie Polaków do pracy przymusowej, za rabunek polskich dzieci, za spalanie i zburzenie Warszawy, za status podludzi nadawany Polakom przez okupanta. Dzisiaj owego poczucia winy już nie ma. Niemcy poprawiają swoje samopoczucie zrzucając zbrodnie z lat 1939–1945 na niemal mitycznych nazistów, którzy niekoniecznie muszą młodzieży kojarzyć się z dziadkami i pradziadkami. Sami zaś kreuja się na ofiary drugiej wojny światowej skrzywdzone odebraniem Śląska, Pomorza Zachodniego i innych terytoriów, wysiedleniami z Polski i z Czechosłowacji oraz alianckimi bombardowaniami swoich miast”.

Przez prezentowaną książkę prze-wijają się różne opisy obserwowanych



zachowań niemieckiego sądownictwa w toku postępowania przeciwko byłym zbrodniarzom. Zainteresowanych odsyłam do książki, celem zapoznania się ze szczegółami. Nie ma tu bowiem miejsca na ich dokładne relacjonowanie. Poprzesztań na ogólnej sentencji wygłoszonej przez Fritza Bauera, niemieckiego prokuratora działającego w procesie założyciela KL Auschwitz. Podsumował on problem tak: „Zbrodni dokonały miliony Niemców. Nie dlatego, że im rozkazano albo ich zmuszono. Dlatego, że to odpowiadają ich własnemu światopoglądowi, w ten sposób realizowali własną wizję narodowego socjalizmu. Uważali, że działają właściwie”. I tu jest właśnie pies pogrzebany!

Jak się okazało powyższej opinii nie podzielały jednak sądy, co poskutkowało dość niskimi wyrokami. Chodziło o to, aby nie rozpowszechniać za nadto faktów zaistnienia zbrodni ludobójstwa, jakiego miejscem był m. in. Auschwitz.

O ile włoski faszyzm nie znalazł w swoim kraju dobrego podłoża kulturowego, to w Niemczech było już inaczej. „Włoski faszyzm nie zabijał” – podkreśliła Krystyna Kersten we wstępie do *Czarnej księgi komunizmu*. Społeczna identyfikacja z tym reżimem była w Italii daleko słabsza niż akceptacja nazizmu wśród Niemców.

Efektom tego stała się także ich niechęć do powojennych rozliczeń. Jak przypominają autorzy *Zbrodni i grabieży*, lista nierozliczonych niemieckich zbrodniarzy wynosi kilkaset tysięcy osób. Natomiast Krzysztof Kąkolowski w swoim cyklu wywiadów (*Co u Pana słycać?*, 2010) stwierdza: „Republika Federalna Niemiec nigdy nie rozliczyła się z brudną przeszłością, a zbrodniarzy masowo wcieliła do swoich elit”.



Jeden z bezstronnie oceniających przeszłość historyk Jochen Böhrer, niemiecki autor książki *Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce*, stwierdza jednoznacznie: „Wehrmacht jako całość był organizacją zbrodniczą i świadomą części faszystowskiej maszyneryi”.

Na skutek aktywności środowisk żydowskich obraz drugiej wojny światowej został zdominowany przez Holokaust. Nie bez winy jest tutaj polityka historyczna PRL-u i karygodne zaniedbywanie wielu polskich interesów, w warunkach zależności od ZSRR, w tym i dbałości o właściwą opinię na świecie o sytuacji Polaków, jak i innych narodów Europy środkowo-wschodniej podczas drugiej wojny światowej. Państwo Izrael było w innym położeniu, co przekładało się także na odbiór na świecie jego tragedii narodowej w latach okupacji niemieckiej.

Wojciech Polak i Sylwia Galij-Skarbińska krytykują także, co jest bardzo cenne, rolę „polskiego samobiczowania się” w stosunku do Żydów jak i innych narodów. Pomaga to bowiem do kreowania różnych dokonań, jak np. „skandaliczna produkcja niemiecka”, jaką jest film *Nasze matki, nasi ojcowie*. Autorzy wytykają również licznym „kosmopolitycznym fundacjom”, które na różnych płaszczyznach dają o sobie znać, ułatwiając oddziaływanie niemieckich wysiłków do zamazywania i spychania w niebyt polskich strat i interesów. Złośliwe i tendencyjne tropienie różnych przejawów polskiego patriotyzmu jako nagannego nacjonalizmu połączone ze skutkami wymiany elit w powojennej Polsce i w konsekwencji zaburzeniem normalnego przekazu pokoleniowego, który konserwuje podstawowe wartości określające profil danego narodu też zrobiło swoje. Zredukowało bowiem czujność i zdolność o upominanie się o swoje, o własny interes narodowy. W wypadku relacji polsko-niemieckich oznaczało to niedostateczne zwracanie uwagi na niemieckie przekłamania, a w dalszej konsekwencji także na brak na szerokim świecie odpowiadającej minionej rzeczywistości empatii dla Polski i Polaków. Pośrednio zyskiwała na tym także tendencja do ochrony w Niemczech dawnych działaczy nazistowskich. Było to, co podkreślają autorzy omawianej książki, „jednym z głównych celów elit politycznych i kulturalnych Republiki Federalnej Niemiec”.

Również szkodliwa jest występująca często wśród Polaków naiwność w ocenie różnych gestów i powierzchnowych zachowań czynników zagranicznych, za którymi nie kryje się nic pozytywnego w stosunku do nas. Odnosi się to szczególnie do stosunków polsko-niemieckich. Przykłady można mnożyć. Wojciech Polak i Sylwia Galij-Skarbińska wymieniają naturalnie tylko najjaśniejsze przykłady. Z ironią przypomina-

nają np. traktowanie kanclerza Kohla jako „największego przyjaciela Polski”, który przecież jeszcze w roku 1989 wyrażał jakieś nadzieje na rewizje naszych zachodnich granic. Krytykują przyznanie mu przez dwie polskie uczelnie tytułu doktora honoris causa itd. Mieszanie pojęć i brak pogłębionej orientacji w prawdziwych intencjach wielu współczesnych Niemców ułatwiają powstawanie bardzo niekorzystnych dla Polski mitów np. „rycerskiego Wehrmachtu” czy choćby „mitycznych nazistów”, którzy są czymś innym i zgoła odrębnym od większości niemieckiej. Podobnie traktowanie z aplauzem zamachowca na Hitlera Stauffenberga jest grubym nieporozumieniem. Był to tylko skrajny nacjonalista niemiecki, który wobec zbliżającego się upadku III Rzeszy liczył na wyeliminowanie „führera”, wypłatanie kraju z wojny z zachodnimi aliantami celem uratowania go przed całkowitą klęską i zafobanie nawet części ziem II Rzeczypospolitej zagrabionych w 1939 r.

Jakże znamienne są słowa kanclerz Merkel z 2019 roku, kiedy w rocznicę lądowania aliantów w Normandii powiedziała: „To była wyjątkowo bezprecedensowa operacja wojskowa, która ostatecznie przyniosła nam wyzwolenie od narodowych socjalistów”. Słowa zadziwiający, gdyż wynika z nich jakoby Niemcy były okupowane wbrew swej woli przez nazistów. Świadczą one o swoistym zakłamaniu. Tego typu praktyki stosowane przez naszych zachodnich sąsiadów mają silne ostrze antypolskie. Do podobnych przekłamań należy głośno już dzisiaj sformułowanie o „polskich obozach koncentracyjnych”. Tego typu zachowania i sugestie są obliczone na masowego odbiorcę, pozbawionego dostatecznej wiedzy historycznej i skłonnego do bezmyślnego mieszania pojęć. Obozy w Polsce a „obozy polskie” zlewają się wtedy w jeden byt, który ma za zadanie odwrócić uwagę od właściwości cechujących mentalność niemiecką funkcjonującą w tym kraju co najmniej od końca XIX w. aż po czasy nowsze. Bez wątpienia była to mentalność specyficzna. Nie darmo mówiono już przed wybuchem drugiej wojny światowej, że „Niemcy wychodzą z Europy”.

Jednym z wielu problemów poruszanych w książce Polaka i Galij-Skarbińskiej jest sprawa odszkodowań dla Polski, która w praktyce została ich prawie pozbawiona. Według posła Arkadiusza Mularczyka polskie roszczenia wynoszą około 850 miliardów dolarów. Współcześni Niemcy łącznie z obecnym prezydentem Steinmeierem stoją jednak na stanowisku, iż sprawa ta została już w przeszłości uregulowana. Wymienianiu tu autorzy przypominają, że w roku 2004 Sejm III Rzeczypospolitej podjął już uchwałę, że „Polska nie otrzymała dotychczas stosownej rekompensa-

ty”. Sprawa jednak została zignorowana przez ówczesny rząd Marka Belki, ale nie jest bynajmniej zamknięta.

Najciekawszą częścią omawianej książki wydaje się rozdział *Dzisiejsza polityka Niemiec wobec Polski*. Dotyczy on spraw może najmniej rzucających się w oczy, ale bardzo ważnych i dotyczących także przyszłości.

Mowa tam jest o rozmaitych agenturach wpływu, które mają za zadanie działać rozmiękczająco od środka, zdobywać przychylność elit i penetrować polskie społeczeństwo. Działalność taka ma cechy zalegalizowanej korupcji. Jak wiadomo duża część prasy znajduje się w rękach kapitału niemieckiego i służy niemieckim interesom. Autorzy *Zbrodni i grabieży* imiennie wskazują zarówno czasopisma jak i ich właścicieli, którzy na tej scenie grają istotne role. Starają się też uczulić czytelników na różne działania mające na celu „wasalizację Polski”. Piszą wprost: „Niemcy od wielu lat prowadzi politykę zmierzającą do wszechstronnego podporządkowania sobie Polski”.

Nie sposób jest przywołać tu wszystkich, choćby tylko najważniejszych przykładów, przywołanych w naszej książce. Jest ich bardzo wiele i są wymowne. Szkoła, że na poziomie ogólnospołecznym mówi się o nich nie tak często, jak by na to zasługiwały. W ostatecznym rozrachunku mają one prowadzić do zdominowania Polski jako największego z państw środkowoeuropejskich z równoczesnym obniżaniem rangi państw narodowych na obszarze Unii Europejskiej i uczynienie z niej federacji.

Książka *Zbrodnia i grabież* podaje wielką liczbę danych. Jest ona dziełem bardzo potrzebnym i warto je polecać czytelnikom. Autorzy operując językiem przystępnym starają się pokazać możliwie dużą ilość faktów, które powinny ostrzeżać. Tego typu opracowanie o charakterze faktograficzno-historycznym wymagałoby jednak pewnego uzupełnienia. Niezwykle ważna jest także interpretacja mechanizmów rządzących wydarzeniami oraz kształt kultury duchowej narodów determinujących ich zachowania na różnych odcinkach dziejów. Fenomen duchowości niemieckiej zwrócił na siebie szczególną uwagę po drugiej wojnie światowej. Istnieją na ten temat rozmaite opracowania. Również i polscy uczeni wypowiedzieli na ten temat swoje poglądy. Autor tych słów pisał o tym w miesięczniku „Śląsk” (2020, nr 9, s. 16–18). ■

**Wojciech Polak, Sylwia Galij-Skarbińska: *Zbrodnia i grabież. Jak Niemcy tuszują prawdę o sobie (1939–2019)*. Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2019, 394 s.**



# Malowana lala z Bytomia

ZBIGNIEW LUBOWSKI



for. arch.

**K**ażdą wolną chwilę spędzałam z ukochaną gitarą. Słuchałam z radia piosenek Jerzego Połomskiego, Marii Koterbskiej, Bogusława Wyrobka. Próbowalam sama śpiewać i grać. Przez jakiś czas należałam nawet do zespołu instrumentalnego Domu Kultury w Bobrku. Byłam w nim jedyną dziewczyną – wspominała po latach popularna piosenkarka Karin STANEK, rodowita bytomianka, jedna z pierwszych i autentycznych gwiazd polskiego rock'n'rolla.

Życiorys artystki, której ogromna popularność przypadła na lata sześćdziesiąte, wydaje się wymownym obrazem epoki PRL. Muzykalna i obdarzona niespotykanym talentem estradowym dziewczyna z ubogiej rodziny górniczej musiała już jako dziecko wykazać się nie lada dojrzałością, co skrupulatnie odnotowano w wydanej w 1995 roku Encyklopedii Polskiej Muzyki Rockowej.

## Niefatwe dzieciństwo

Urodzona w Bytomiu w 1946 roku Karin Stanek (istnieją jednak rozbieżne świadectwa metrykalne w tym względzie) zaznała sporych trudów życia w dzieciństwie. W jej rodzinnym domu było sześćoro dzieci i matka sama je wychowywała, pracując ponad siły. Gdy Karin (to imię autentyczne, a nie pseudonim estradowy!) uczęszczała do szóstej klasy szkoły podstawowej, warunki do mowy zmusiły ją do przzerwania nauki. Musiała zająć się opieką nad młodszym rodzeństwem. Wstawała skoro świt, budziła dzieciaki, szykowała im śniadanie, a potem wsadzała całą trójkę do „rodzinnego” wózka i odstawiała do przedszkola. W domu czekało na nią potem pranie, sprzątanie, gotowanie. Tak płynął dzień po dniu, jeden podobny do drugiego. Niekiedy zdarzało się, że znajdowała chwilę na lekturę ciekawej książki. Bardzo to lubiła.

– Gdy młodsze rodzeństwo przyzwyczało się już do przedszkola i nieco podrosło, zaczęłam na serio myśleć o kontynuowaniu nauki. Mogłam wrócić do dziennej szkoły, ale wtedy stałabym się ciężarem dla mamy. Nie chciałam na to pozwolić. Było zatem tylko jedno wyjście – szkoła wieczorowa. W tym celu musiałam jednak przedłożyć zaświadczenie, że pracuję. Rozpoczęłam więc długie wędrówki od biura do biura w poszukiwaniu pracy. Niestety nie miałam szesnastu lat i nigdzie nie chcieli mnie zatrudnić – opo-

wiadała w rozmowie z Anną Kryszkiewicz, autorką książki pt. „Autostopem z malowaną lalą” (1992).

## W roli biurowego gońca

– Musiałam użyć podstępów. Podrobiłam po prostu datę urodzenia i... udało się. Zostałam przyjęta jako pomoc biurowa do Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Bytomiu. Od godziny siódmej rano biegałam z grubą teczką pełną korespondencji i pisemek z piętra na piętro, z pokoju do pokoju, z biura na pocztę i do innych przedsięwzięć. Byłam dość szybka i zwinna, co bystrzejsi zorientowali się więc i zaczęli mnie wykorzystywać, posyłając po śniadanka do sklepu i prosząc o załatwienie (po drodze!) drobnych prywatnych spraw – wyznała otwarcie po latach.

Drobne oszustwo w szlachetnej wszakże sprawie umożliwiło jej odciążenie matki w udźwignięciu niemałych kosztów utrzymania domu. Praca w charakterze gońca w bytomskim PRG dostarczała skromnych, ale bardzo cennych w życiu rodziny dochodów. Warto tu koniecznie dodać, że od tej pory Karin Stanek figurowała już w urzędowych dokumentach jako osoba urodzona w 1943 roku.

## Wulkan scenicznej energii

Pracowała, wieczorami chodziła do szkoły, a w wolnych chwilach uczyła się grać na gitarze. Długo błagała mamę, by kupiła jej na własność taki właśnie instrument. Marzenie się spełniło. Kupiona za 150 zł zwyczajna gitara, ale z wymalowanymi na niej kwiatami i gwiazdami oraz naklejonymi zdjęciami, była dla dziewczyny cudowna. Z czasem Karin zaczęła poznawać różnych grających kolegów, dzięki którym trafiała do lokalnych klubów młodzieżowych i domów kultury.

Grała i śpiewała na wieczorkach tanecznych i okolicznościowych imprezach w Szombierkach, Miechowicach, Łagiewnikach, a nawet w kopalni „Bobrek”. Pod koniec lat pięćdziesiątych pojawiły się w jej repertuarze modne szlagiery Elvisa Presleya, a także Paula Anki i Tommy’ego Steela. Żywiłowe występy estradowe młodej bytomianki wyróżniały się niesamowitą ekspresją. Wprawiała w zdumienie uczestników imprez z jej udziałem. Dosłownie szalała na scenie. Uwielbiała nie tylko śpiewać, ale i dy-

namicznie tańczyć! Uznawano ją już wtedy za „wulkan scenicznej energii”. Jej wizerunkowym znakiem rozpoznawczym stały się dwa czarne warkoczki oraz oryginalny strój – biała bluzka i czarne spodnie. Nie występowała nigdy w sukienkach, ani spódnicach, jak to miały w zwyczaju inne konwencjonalne piosenkarki.

## Ogólnopolska kariera

Nabrała odwagi i zdecydowała się coraz częściej na uczestnictwo w różnorodnych konkursach estradowych dla amatorów. Nie ukrywała w ogóle, że należy do grona muzycznych samouków. Na szersze wody wypłynęła w marcu 1962 roku. W krakowskiej hali „Wisły” zaprezentowała brawurową wersję piosenki „Jimmy Joe”. Zdarzyło się to podczas emocjonującego konkursu pod hasłem „Czerwono-Czarni szukają młodych talentów”.

Karin zwyciężyła w zaciętej rywalizacji, zostając w efekcie wokalistką grupy C-C, pierwszego „kolorowego” zespołu big-beatowego w Polsce, utworzonego w Gdańsku w połowie 1960 roku. Dołączyła w ten sposób do dotychczasowych wokalistów „Czerwono-Czarnych” – Heleny Majdaniec i Wojciecha Gąssowskiego, którzy także zostali wyłonieni w drodze uporczywych poszukiwań młodych talentów w całym kraju.

## Polityczne dziwadło językowe

Mało kto już pamięta, że w tamtych czasach nie wolno było publicznie używać imperialistycznego pojęcia „rock'n'roll”, które paskudnie kojarzyło się decydentom z PZPR. Wymyślono zatem specjalny zamiennik językowy w postaci „mocnego uderzenia”. Osobliwe okoliczności narodzin dziwnego określenia „big-beat” przedstawiono w interesującym wydawnictwie źródłowym Anny Idzikowskiej-Czubaj pt. „Rock w PRL-u” (2011). Autorka szczegółowo opisała przebieg i fatalne dla polskiego rock'n'rolla skutki rozmowy wszechwładnego Edwarda Gierka z Franciszkiem Walickim, twórcą i pierwszym opiekunem artystycznym „Czerwono-Czarnych”.

Sam Walicki, nazywany często „ojcem polskiego rock'n'rolla”, bardzo cenił Karin Stanek. W książce o zaskakującym tytule „Epitafium na śmierć rock'n'rolla” (2012) napisał, że: *niewysoka (155 cm) i drobna (49 kg) dziewczyna, ubrana przeważnie w ob-*



*ciśle czarne spodnie i białą bluzkę, z nieodłączną gitarą, bardzo żywiołowa i naturalna, była pierwszą polską gwiazdą DAMSKIEGO rock'n'rolla. Urodzona w Bytomiu, pracująca do roku 1962 jako goniec, podjęła stałą współpracę z Czerwono-Czarnymi. Ale nie spodobało się to besserwisserom. – A czy ma maturę? A dlaczego fika nogami? A kto jej doбира repertuar?*

### Medialne kontrowersje

Zastrzeżenia wzbudzały nie tylko nietypowy ubiór estradowy piosenkarki. W ówczesnej prasie ogólnopolskiej kwestionowano również jej zachrypnięty głos, śląski akcent gwary oraz zbyt żywiołowy – jak oceniano – sposób zachowania i poruszania się na estradzie. W obronie młodej artystki stanęli jednak, co ciekawe, znani i szanowani publicyści – Stefan Bratkowski, Jerzy Waldorff, Stefan Kisielewski.

W opublikowanym w 1963 roku w „Tygodniku Powszechnym” felietonie Stefana Kisielewskiego można było przeczytać: *Karin ma większe szanse, niż ktokolwiek inny. Wynika to nie tylko z jej oryginalnego głosu, czystej intonacji i dykcji, ale przede wszystkim z rzeczy najważniejszej, że podobnie jak Bardotka czy Dymśza stworzyła typ, niepowtarzalną sylwetkę, stała się powszechnie rozumianym i odbieranym symbolem pewnego rodzaju temperamentu. Jedno jest pewne: niech ją Pan Bóg broni przed nauką u prawników ZNAWCÓW*

### Przebojowe piosenki

Śpiewane przez żywiołową piosenkarkę popularne utwory „Gaz, panie szofer”, „Chłopiec z gitarą”, „Jedziemy autostopem” zostały wyróżnione podczas pierwszych edycji Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu w latach 1963–64. Szczególny aplauz publiczności wzbudzała skomponowana przez Mateusza Świącickiego przebojowa piosenka „Jedziemy autostopem” do słów Juliusza Głowackiego (*Cóż dla nas znaczy pociąg na spółkę z samolotem? Gdzie szosy biała nić, tam chce się, bracie, żyć, czy naprzód jedziesz, czy z powrotem!*). Do dziś uchodzi ona za największy szlagier z repertuaru Karin Stanek.

Wylansowała jednak również wiele innych chwytliwych przebojów – „Malowana lala” (znana też pod alternatywnym tytułem „Malowana piosenka”), „Trzysta tysięcy gitar”, „Tato, kup mi dżinsy”, „Wala-twist” oraz dwie ekspresyjne piosenki Ryszarda Poznańskiego „Czekoladowy krem” i „Sobota to mój dzień”. Teksty utworów śpiewanych przez wokalistkę zawierały niekiedy ponadczasowe prawdy życiowe (*nim się taki chłopak spostrzeże, z malowaną lalą ślub bierze*).

### Płyty i niespodzianki

Już jako znana artystka uzupełniła w trybie wieczorowym swoje wykształcenie i zdała maturę. W 1966 roku ukazała się w USA pierwsza długogrająca płyta piosenkarki (winyłowy longplay). Zawierała jej największe przeboje. Wcześniej nagrała w Pol-

sce tylko cztery tzw. „czwórki” (single płytowe). Piosenki w jej wykonaniu pojawiły się też na dwóch dużych płytach „Czerwono-Czarnych”.

Wszystkie te czarne krążki winylowe znajdują się do dziś w mojej domowej płytotece, jak przystało – nieskromnie mówiąc – na zagorzałego melomana, a także, co pragnę z satysfakcją podkreślić, wieloletniego prezentera muzycznego, popularyzującego twórczość wykonawców, zaliczanych dziś do nieśmiertelnego grona „rock'n'rollowych dinozaurów”. Liczne winyle wraz z setkami płyt CD oraz miniaturowych dyskietek MD stanowią dla mnie cenny zbiór muzyczny.

W kwietniu 1967 „Czerwono-Czarni” ze swoimi ówczesnymi wokalistami – Katarzyną Sobczyk, Karin Stanek, Henrykiem Fabianem, Tonim Keczerem i Jackiem Lechem – wystąpili u boku sławnych Rolling Stonesów w Sali Kongresowej w Warszawie. Grupa była polskim supportem koncertu Micka Jaggera i jego kolegów z brytyjskiej formacji rockowej, która po raz pierwszy w dziejach przyjechała do socjalistycznego kraju europejskiego za „żelazną kurtyną”. W karierze Karin Stanek było to z pewnością doniosłe wydarzenie.

### Emigracja

W sierpniu 1969 roku artystka rozstała się z „kolorowym” zespołem z ery polskiego big-beatu. Poświęciła się karierze solowej. Rozpoczęła pisanie własnych piosenek. Krótko współpracowała m.in. z czeską grupą The Samuels. Mimo że nowe utwory z jej repertuaru podobały się słuchaczom, to jednak piosenkarka stała się obiektem napastliwych ataków ze strony mediów, które szerzyły nieprawdziwe informacje na jej temat.

*Ataki powtarzały się. Zbyt krucha, aby je wytrzymać i zbyt słaba, aby odrzucić narzucany jej repertuar, postanowiła wyjechać z Polski i zamieszkać w RFN. Pod pseudonimem Cory Gun i jako solistka grupy*

*The Blackbird nagrywa płyty i śpiewa w wielu krajach Europy i Ameryki – pisał w 2012 roku Franciszek Walicki. Dodajmy, że piosenkarka opuściła Polskę w roku 1976.*

### Triumfalny powrót do kraju

Od czasu do czasu Karin Stanek pojawiała się jednak w kraju, ale już po przełomie ustrojowym 1989 roku. Po 15-letniej przerwie wystąpiła znów w Polsce, na scenie Opery Leśnej w Sopocie. Wzięła udział w koncercie poświęconym legendom polskiego rock'n'rolla (1991). Jej sopocki występ spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem zarówno ze strony publiczności, jak i mediów. W późniejszym okresie nawiązała m.in. krótkotrwałą współpracę z blues-rockowym zespołem „Gang Olseña” z Rudy Śląskiej, z którym wystąpiła w 1997 roku w rodzinnym Bytomiu, po 30 latach artystycznej nieobecności w tym mieście. Miejscem ostatniego występu artystki w Polsce był w 2005 roku Szczecin. Piosenkarka zmarła 6 lat później w Niemczech z powodu ciężkiego zapalenia płuc. Pochowano ją w Wolfenbüttel.

### W hołdzie artystce

W opolskiej Alei Gwiazd Polskiej Piosenki odsłonięto jeszcze w tym samym roku symboliczną gwiazdę Karin Stanek. Jej imieniem nazwano też plac w bezpośrednim sąsiedztwie Bytomskiego Centrum Kultury. Przed siedmioma laty postawiono tam pomnik „królowej polskiego rock'n'rolla”. Autorem monumentu wykonanego ze stali nierdzewnej jest **Jacek Wichrowski**, rzeźbiarz z bytomskiej galerii „Stalowe Anioły”. Pomnik przedstawia artystkę zapamiętaną z najsłynniejszego okresu jej kariery, z charakterystycznymi warkoczami i z nieodłączną gitarą w ręku. Każdego roku w dniu 18 sierpnia (data jej urodzin) pojawiają się u stóp monumentu kwiaty i pałątkowe znicze. ■



Pomnik Karin Stanek w Bytomiu, aut. Jacek Wichrowski

foto: Z. Lubowski



Zanim doszło do odzyskania niepodległości, której sto drugą rocznicę akurat „obchodzimy”, świat ogarnęła Wielka Wojna, zwana później I wojną światową. Śmiało można powiedzieć, że gdyby nie wojna, nie byłoby Niepodległości. Ale gdyby nie wojna, nie byłoby tysięcy cmentarzy, bo w konflikcie tym poległo 8,5 miliona żołnierzy. Większość z nich spoczęła na obcej ziemi pod prostymi nagrobkami. Dla części zaprojektowano monumentalne cmentarze. Wielka Wojna przetoczyła się także przez nasze województwo – głównie przez Jurę Krakowsko-Częstochowską, zostawiając w terenie czytelne do dziś ślady okopów i kilkanaście cmentarzy wojennych.

### Działania wojenne na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej

Wielka Wojna, która zaczęła się 28 lipca 1914 r., już w sierpniu toczyła się na terenie obecnego województwa śląskiego. Niemieckie oddziały gen. von Woyrscha 1 sierpnia uderzyły z obszarów pruskiego Górnego Śląska w rejon Częstochowy, zaś oddziały austro-węgierskie – z rejonu Twierdzy Kraków – na Olkusz i Kielce. Z tymi ostatnimi ruszyła do boju także Kompania Kadrowa Legionów Polskich. Oddziały rosyjskie wycofały się w głąb Królestwa Polskiego, ale już pod koniec października 1914 r. losy frontu wschodniego się odwróciły. Niepowodzeniem zakończyła się próba powstrzymania rosyjskiej ofensywy (w literaturze często nazywanej „rosyjskim walcem parowym” nad rzeką Opatówką. Wojska rosyjskie parły na zachód i w listopadzie znalazły się na skraju Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

1. Armia austro-węgierska generała Victora Dankla zajęła pozycje od Skały do Żarek (w składzie 1 Korpusu Armii gen Dankla walczyły 4. i 6. batalion i dwie baterie artylerii 1. Pułku Legionów Polskich), Śląsk był osłonięty przez 2. armię niemiecką przetransportowaną na linię Lubliniec-Olesno-Kluczbork. Terenem operacyjnym tego związku taktycznego był rejon pomiędzy Częstochową a Wieluniem. Po rozlokowaniu sił na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej wojska państw centralnych przygotowały pozycje obronne. Saperzy wraz z miejscową ludnością budowali kompleksy pozycji ziemnych, naprawiali i wytyczali nowe drogi.

Pierwsze potyczki oddziałów rosyjskich z austro-węgierskimi miały miejsce 13 listopada 1914 r., a 15 listopada zaczęła się kontrofensywa Państw Centralnych (Niemiec i Austro-Węgier). Naprzeciw siebie stanęły 32 dywizje państw centralnych i 23 dywizje rosyjskie. Początkowo walki miały cha-



Włodowice, kwatera wojenna na cmentarzu parafialnym

fol. Edward Wieczorek

# Cmentarze Wielkiej Wojny

EDWARD WIECZOREK

rakter pozycyjny (podobnie jak na froncie zachodnim I wojny światowej) i były niezwykle uciążliwe. Już w połowie listopada spadł śnieg i chwycił mróz i wielu żołnierzy po prostu zmarzło. Do szczególnie zażartych walk doszło 16 i 17 listopada pod Załężem i Krzywopłotami (powiat olkuski), w których brały udział żołnierze 1. Pułku Legionów Polskich. W tym samym czasie trwały walki o grzędy skalne między Kotowicami a Rzędkowicami. Dopiero po 20 listopada wojskom austro-węgierskim i niemieckim udało się przesunąć nieco w kierunku wschodnim, przełamując pozycje rosyjskie pod Mykanowem, Złożeńcem, Smoleniem i Pilicą (26 XI). Po 6 tygodniach sytuacja na froncie jurajskim uległa radykalnej zmianie, ale nie dzięki działaniom militarnym na miejscu, a dzięki ofensywie austro-węgierskiej, nazwanej „operacją limanowsko-łapanowską” (2–12 grudnia). Wojska rosyjskie, zagrożone okrążeniem, zostały wycofane na wschód – na linię Bzury-Rawki-Nidy-Dunajca-Białej-Ropy-Sekówki. W efekcie 15 grudnia 1914 r. Wielka Wojna opuściła teren Jury i dzisiejszego województwa śląskiego.

W wyniku walk między Krakowem a Częstochową zginęło, zagnęło i zostało rannych 140–160 tys. żołnierzy

obu stron. Ucierpiała też ludność cywilna. Całkowicie zostały zniszczone Zarzeczce i Gołkowice, prawie cała Sułoszowa, Pilica. Po walkach do dziś pozostały też materialne ślady: relikty okopów i dołów strzeleckich, ziemianek, działobitni, budynek lazaretu w Zawierciu i kilka cmentarzy.

### Cmentarze

Po wyparciu Rosjan z Kongresówki w 1915 r. nastąpiła jej okupacja przez Austro-Węgry i Niemcy. Utworzono Generalne Gubernatorstwa Wojskowe: austriackie z siedzibą w Kielcach (potem w Lublinie) oraz niemieckie z siedzibą w Warszawie. Teren Jury również został podzielony na część austriacką – od Krakowa do Żarek (z wyłączeniem Zawiercia i terenów na zachód od niego) oraz niemiecką – na północ od Żarek. Przystąpiono też do porządkowania pobojowisk i zakładania cmentarzy wojennych. W tym celu powołano przy austriackim Ministerstwie Wojny Wydział Grobów Wojennych, a interesujący nas teren Jury podporządkowano oddziałom w Olkuszu, Dąbrowie i Włoszczowie. Prace udało się zrealizować dopiero w 1917 i 1918 r., głównie przy udziale jeńców rosyjskich i włoskich. W okresie międzywojennym opiekę nad cmentarzami wojennymi przejęło państwo polskie jako sygnatariusz Traktatu Wersalskiego (nakładał on opiekę nad grobami na terenie poszczególnych państw bez względu na to, jacy żołnierze byli tam pochowani).

Koszty utrzymania i renowacji cmentarzy sędowano na gminy, jednak ze względów oszczędnościowych w 1933 r. przeprowadzono komasację mogił i kwater wojennych z I wojny światowej

fol. Edward Wieczorek



Katowice, fragment pomnika jeńców alianckich na Cmentarzu Garnizonowym





Katowice, kwatery jeńskie na Cmentarzu Garnizonowym



Zawiercie - Kromołów, pomnik na cmentarzu wojennym



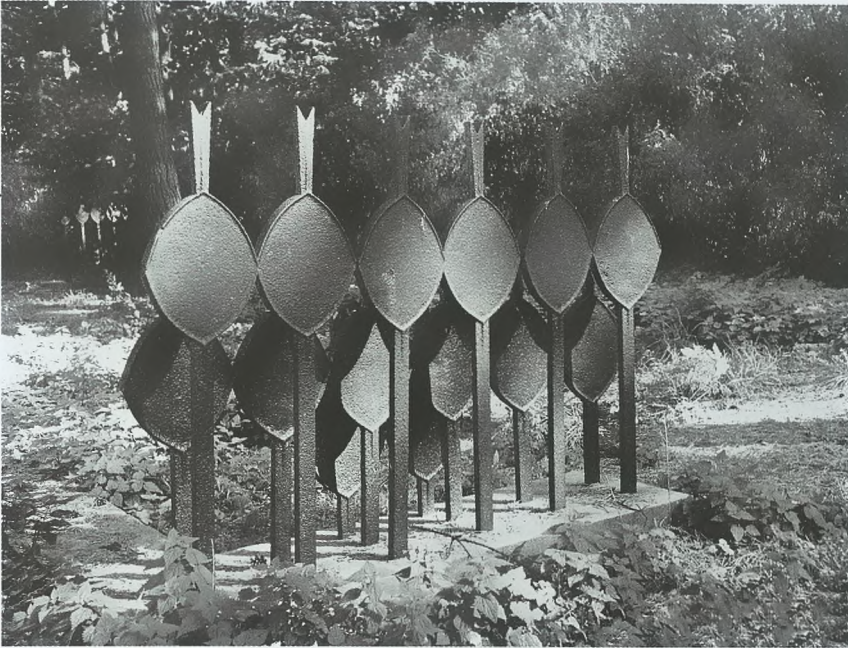


Mokrus, gm. Pilica, pozostałości okopów z I wojny światowej



Galicyjski ewenement, Rotunda cmentarz wojenny nr 51





Kotowice, cmentarz wojenny

(w ten sposób zniknął np. cmentarz w Łutowcu, Parkoszowicach i Przewodiszowicach, z których szczątki i nagrobki przeniesiono na cmentarz zbiorczy w Kotowicach). Kotowicki cmentarz jest okazałym założeniem. Pochowano na nim pierwotnie i po komasacji w połowie lat 30. XX w. 1469 żołnierzy w grobach pojedynczych i zbiorowych. Niestety, część oryginalnych krzyży stała się łupem złomiarzy.

Do największych cmentarzy należy nekropolia w Biskupicach – Owczarni (gmina Pilića). Choć z wyglądu niepozorna, pochowano na niej prawie 1000 żołnierzy – 779 Austriaków i 219 Rosjan (w tym miejscu wyjaśnienie, że pisząc „Austriaków i Rosjan”, nie mam na myśli narodowości, tylko przynależność państwową; i Austria, i Rosja były państwami wielonarodowymi). Piękny obiekt centralny posiada cmentarz w Zawierciu w sąsiedztwie kromińskiego kirkutu, przy ul. Żniwnej. W 1926 r. ustawiono na nim pomnik w kształcie okrytej kirem trumny. Wg dokumentacji, pochowano tu 175 poległych – 91 Austriaków i 84 Rosjan. Także w Kromiowie na cmentarzu parafialnym w sąsiedztwie kościoła św. Mikołaja znajduje się kwatera wojenna, kryjąca szczątki 9 żołnierzy austriackich

Choć w Zawierciu nie toczyły się walki frontowe, w mieście urządzono szpital połowy, w budynku na osiedlu TAZ (Towarzystwa Akcyjnego Zawiercie) przy ul. 11 Listopada. Na cmentarzu parafialnym przy ul. Cmentarnej w wydzielonej kwaterze pochowano 127 żołnierzy. Dodajmy w tym miejscu, że Zawiercie uzyskało prawa miejskie za sprawą niemieckiego okupanta.

Cmentarze spotkamy też we Włodowicach i Kroczycach. Ten ostatni, choć niewielki, kryje szczątki 937 poległych.

### Galicyski ewenement

Inaczej niż w naszym województwie, czy nawet w sąsiednim województwie świętokrzyskim, objętym walkami w 1914 r. wygląda sprawa budowy cmentarzy wojennych w Małopolsce Zachodniej. Teren ten podlegał dowództwu 1. Korpusu w Krakowie. Tu bowiem po przejściu

frontu na wschód w maju 1915 r., w Wydziale Grobów Wojennych, zgromadzono, służących w wojsku architektów, malarzy i rzeźbiarzy. Zaprojektowali oni 400 cmentarzy między Krakowem a Jasłem. Autorskie realizacje w większości zachowały się do naszych czasów, konserwowane i rekonstruowane w ostatnich latach. Do najbardziej okazałych należy cmentarz wojenny nr 123 na wzgórzu Pustki koło Łuźnej w pow. gorlickim (łącznie 1200 poległych), cmentarz nr 60 na Przełęczu Małastowskiej (174 poległych) czy cmentarz nr 51 na Rotundzie (54 poległych) – obydwie w Beskidzie Niskim. Ich projektantami byli wybitni twórcy: Słowak Dušan Jurkovič (twórca m.in. kompleksu sanatoryjnego Luchačovice, schroniska Libušin i Mamenka na przeł. Pustevny) i Polak Jan Szczepkowski (autor m.in. płaskorzeźb na fasadzie Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, elewacji gmachu Sejmu, pomników Moniuszki i Bogusławskiego w Warszawie).

A wracając nasz teren – cmentarze podległe Wydziałowi Grobów Wojennych w Kielcach, nie są takie okazałe, bo przy ich projektowaniu zabrakło artystów.

### Cmentarze jenieckie

Odrębnym zagadnieniem są cmentarze wojenne daleko poza linią frontu, na których grzebano jeńców wojennych zmarłych z ran, chorób czy wycieńczenia. W czasie działań wojennych do niewoli niemieckiej dostało się ok. 2,5 mln jeńców wojennych, z tego ok. 1,4 mln jeńców rosyjskich i ok. 0,5 mln – francuskich. Wielu z nich zmuszono do pracy w gospodarce niemieckiej. Szacuje się, że w Niemczech jesienią 1916 r. pracowało 670 tys. jeńców, a pod koniec wojny – 1,5 mln. Część z nich od 1915 r. znalazła zatrudnienie także w gospodarce Górnego Śląska, z której część pracowników powołano do wojska. Najwięcej w górnictwie, gdzie jeńcy stanowili prawie 20% zatrudnionych. Zgrupowano ich w kilkunastu oddziałach roboczych, w barakach przy kopalniach. Większość z nich podlegała obozowi jenieckiemu Lamsdorf (Łambinowice). W literaturze fachowej pojawiają się informacje o jeńcach w Zabrzcu. Ale nie brakowało ich też w innych miastach, czego dowodem są zachowane do dziś kwatery wojenne w Bytomiu (na cmentarzu przy ul. Kraszewskiego) oraz w Katowicach (na cmentarzu garnizonowym przy ul. Meteorologów). Na zachowanych do dziś kwaterach i cmentarzach pochowano jeńców, którzy zmarli z chorób, wycieńczenia i zginęli w wypadkach przy pracy.

Z ofiary krwi, często bratobójczej powstała niepodległa Polska (opisuje to przy okazji bitwy pod Łowczówkiem 1914 r. Felicjan Sławoj-Składkowski, który w 1. Pułku Legionów pełnił funkcję lekarza batalionowego: „W tę noc wigilijną chłopcy nasi w okopach zaczęli śpiewać »Bóg się rodzi... I oto z okopów rosyjskich Polacy, których dużo służyło w dywizjach syberyjskich, podchwyli słowa kolędy i poszła w niebo z dwóch wrogich okopów”).

Pamiętajmy o tym, kiedy natkniemy się na zapomniane groby z I wojny światowej.



Zawiercie, kwatera wojenna na cmentarzu parafialnym



# Treny Jana Kochanowskiego

JAN MALICKI

Warszawskie spotkanie z profesorem Januszem Pelcem, autorem monografii poświęconej arcy poecie, a zarazem organizatorem eksploracji badawczej czarnońskich źródeł, było zaskakujące. „Czy Pan wie, że odnalazł się jeden z dwóch przedwojennych egzemplarzy pierwszej edycji *Trenów* z 1580 roku? I to blisko Pana. W Pszczynie, w rodzinie kolejarskiej. A może nowy trzeci?”

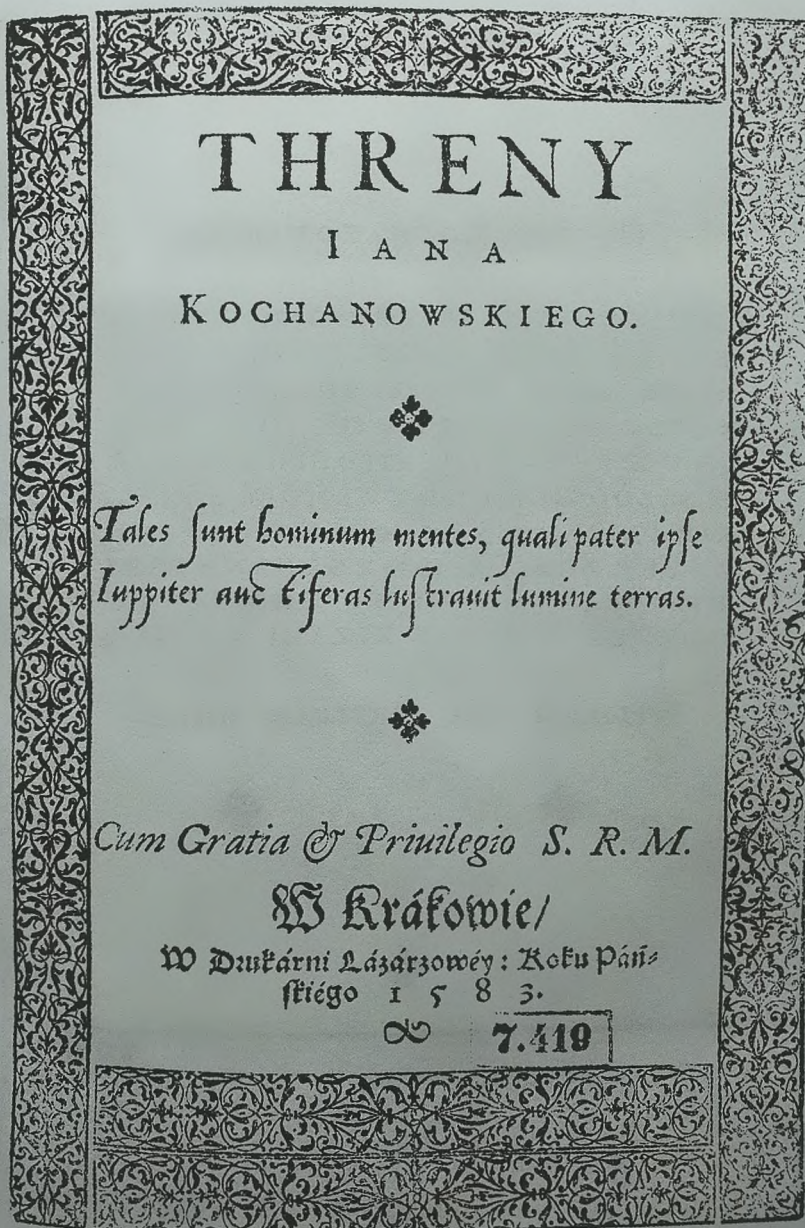
Ta wiadomość w środowisku polonistycznym wzbudziła sensację. Wszak dzieło to jest powszechnie znane, cytowane, wzbudzające szacunek, ale i stonujące zarazem symbol szkolnego przymusu. A jednak jest arcydziełem, którego losy mogą stanowić niezłą fabułę kryminalnego filmu, z próbą sprzedaży do Włoch i uroczystością przekazania tekstu Bibliotece Kórnickiej.

Bo też *Treny* są idealnym, wręcz modelowym przykładem specyficznej sytuacji dialogowej między synchronią a diachronią w historii literatury. Synchronia – to jego współczesne istnienie, aktualność mimo upływu lat, intensywnie wzmacniane funkcją *ad usum Delphini*, szkolnego trwania. Diachronia – to jego miejsce i rola w burzliwych przeobrażeniach kultury polskiej w XVI stuleciu, pamięci elit intelektualnych następnych wieków, aż po współczesne asocjacje, nawiązania, imitacje, parafrazy.

Pierwszy wymiar, synchroniczny, zderza owo dzieło sprzed lat, a żywe po dziś dzień, z całym wielkim zbiorem tekstów, które mają podobną genezę. Wystarczy przywołać zaledwie kilka, choćby tylko z ostatnich lat, na czele z Różewiczowskim zbiorem „Matka odchodzi”, czy literackim pożegnaniem z ojcem Ingi Iwasiów. A przecież wciąż jeszcze silnie przeżywają coraz to młodsze pokolenia czytelników książkę Ericha Emmanuela Schmitta „Oskar i Pani Róża”. I słowa: „Szanowny Panie Boże, Na imię mi Oskar, mam dziesięć lat, podpałem psa, kota, mieszkanie (zdaje się nawet, że upiekłem złote rybki) i to jest pierwszy list, który do Ciebie wysyłam, bo jak dotąd z powodu nauki, nie miałem czasu. Uprzedzam Cię od razu, nienawidzę pisać”. Czy niesamowity, wstrząsający, a psychicznie druzgoczący tom wydany przez katowickie Hospicjum Cordis zatytułowany „Motylca niebieska” Anny Kozłowskiej, poetki i dziewczyny nieuleczalnie chorej, która w dniu poprzedzającym odejście z tego najlepszego ze światów zostaje matką chrześną sześciomiesięcznego Dominika. Czy przypomnieć losy trzy-nastoletniego Sebastiana, autora porażającego wiersza o teraźniejszości i oczekiwanej na próżno przyszłości.

Wreszcie wstrząsający pamiętnik p. Anety Trzcińskiej, opiekunki i przybranej matki trzyletniej Klaudii. Klaudia dziś już nie żyje. Twórczość – krzyk rozpaczony wobec wszechogarniającej niemocy, czy bunt wobec nieubłaganych praw natury.

To rozległe i skrajne zarazem przestrzenie ludzkich działań oraz spo-





jonych zeń artystycznych poczynają zawsze się będzie wiązać z przypisywaniem każdemu człowiekowi wyjętych z nieogarnionego skarbcza zachowań gestów pozaliterackich, pozakulturowych, pozaestetycznych. Będzie to – raz – osvajanie nieuniknionego końca podróży tylko w jedną stronę. Niemożności przełamania nieuniknionego. Dwa – nadzieja pociechy dla żegnających. Śmierć była, jest i będzie miarą człowieczeństwa rozciągającego się między łatwością jej zadawania, prób szlachetnego rozważania o jej potędze, intelektualnego z nią mierzenia się i wpisanej weń ludzkiej klęski, po gest memorialny, upamiętniania odchodzącego. Śmierć zawsze jest ciosem dla pozostających, ale też wymusza samorozliczenie siebie wobec tych, którzy już nie powrócą.

Ból jednak staje się głębszy i dosadniejszy wtedy, gdy trafia w nas w momencie sukcesu, satysfakcji, radości. Tak się też stało z Janem Kochanowskim w czasie czarnoleskiej stabilizacji. 8 października 1579 roku król nadaje mu godność wojskiego, a więc urzędnika pilnującego porządku w powiecie; szczególnie podczas wojny. Dwa dni później ukazuje się przywilej, „aby nikt Psalterza polskiego Jana Kochanowskiego bez wiedzy jego nie ważył się drukować”. Sam poeta intensywnie pracuje. Ogłasza jedno z dzieł Cycerona (Aratosa), *Psalterz Dawidów*, *Siedem psalmów pokutnych*, łacińską wersję *Pieśni o zdobyciu Połocka*, która wejdzie do przygotowywanej edycji *Pieśni trzech* już po polsku. Píše też nagrobek łaciński upamiętniający osobę niedoszłego papieża Stanisława Hozjusza. Cios. Umiera córka poety – Orszula. Stan jego ducha oddaje powszechnie znany list do Jana Zamoyskiego. Załamanie? Upadek? Raczej nie. Poszukiwanie pocieszenia. W twórczości. Jest poetą uczonym, myślącym. I to w tej fazie intensywnie twórczych dokonań literackich, w której odchodził od imitacji, naśladowania kanonu antycznego, w kierunku emulacji, współzawodniczenia z dokonaniem Greków i Rzymian. Tworzył nowy model, zasadzający się na takich wyznacznikach, jak: sięganie wprost do tradycji antycznej w polskim kształcie językowym (np. topika apollińska), rozległa erudycyjność, silne zretoryzowanie tekstów, wreszcie wyrazisty system antropologiczny zasadzający się na układzie wertykalno – horyzontalnym. Jeszcze statycznym. Dopiero barok zdynamizuje te relacje i nada owemu „wzduchnięciu się z Bogiem” człowieka wymiar skrajnie tragiczny. Będzie to już inna rzeczywistość wtopiona na dodatek w intensywny proces sarmatyzacji kultury polskiej, dla której Jan Ko-

W którą nadzieję żywiesz? czego czekaś wiecący?  
 Czemu śmiercią żalności niezbywaś co precęcy?  
 A wążę pieknie strząły/ albo tuż co czyni  
 Niepochybną/ o Phoebe y mściwa bogini:  
 Albo z gniewu (bo winna) albo wiec z lutości/  
 Dokonaycie prze bogá ięty biédney stárości.  
 Nowa pómsta/ nowa káżni hárdá mysl potkáta:  
 Działek płáczac Niobe samá stámieniáta:  
 A stoi ná Sipyłu mármór: nieprzetwány:  
 Jednáć y pod kámieniém żywiá skryté rány.  
 Jęty bowiem lzy serdeczné skále przeniáta/  
 A przezroczyśtym z gory strumieniém spadáta.  
 Skąd zwierz y ptástwo pje: á tá w wiecznym pećie  
 Tkwi w rogu skály wiatrom skaloným ná wstrecie.  
 Ten grób nie jest ná martwym: ten martwy nie w grobie:  
 Ale samże jest martwym/ samże grobem sobie.

## TREN XVI.

Wieszczęściu kwóli/ á swoiéy żálości/  
 Którá mie práwte przéymnie do kóści/  
 Lutnia/ y wdzięczny tym pozucić musz/  
 Ledwe nie dusz.  
 Żywem? czy mie sen obludny frásnie?  
 Który kóściánym oknem wylátnie/  
 A ludzkie myśli tym y orwym báwi/  
 Co błáđ ná iáwi.  
 O błędzie ludzki/ o skaloné dumy:  
 Jáko to láčno/ písac sę z rozumy/

Biedy

chanowski będzie niedościgłym wzorem. Szczególnie jego *Treny*, o czym świadczą wypowiedzi Macieja Kazimierza Sarbiewskiego i katalogi poetyczne XVII wiecznych twórców.

Z całego zbioru dziewiętnastu trenów szczególnieym uznaniem cieszyły się trzy fragmenty poematu; treny od V do VIII; od IX do XI i wreszcie tren XIX. W pierwszej grupie ujawnia się swoista rekonstrukcja ludzkiego żywota w ujęciu horyzontalnym poprzez specyficzną grę czasem, kategorię temporalną sygnalizującą przemianę: tren V – moment śmierci Orszuli (czas terażniejszy); tren VI – retrospekcja, ale punktem dojścia jest „teraz”; tren VII – dopełnienie o hipotetyczną przyszłość i powrót do terażniejszości; tren VIII – „wszyscy..., teraz”. Druga grupa trenów – zbudowana została na zasadzie swoistego *verticulum*, sięgania boskich tajemnic, z kulminacyjnym momentem zbliżania się do granicy błuźnierstwa, do którego zresztą nie dochodzi. Wreszcie tren XIX deliberujący i porównujący dwa światy: doczesny i wieczny. „Je-

den jest Pan smutku i nagrody” – pisze poeta. To konkluzja. Nie wiemy jednak, jaką możliwość pociechy wybrał sam Jan Kochanowski. Mądrość poety ujawniła się w tym, że przywołał w kończącym go dwierszu kryptocytat ze *Snu Scypiona*, nadając poematowi kompozycję otwartą, przyzwalającą na kontynuację, z czego chętnie skorzystali barokowi pisorymowie.

A wracając do warszawskiego spotkania. Tak naprawdę do poważnych, filologicznych dociekań, dochodzenia do prawdy, konieczna jest znajomość ostatniego z życia twórcy wydania. Publikując *Treny* w wydaniu sejmowym, autorzy opracowania naukowego wykorzystali edycję z 1583 roku. Arcypoeta zmarł zaś w roku następnym. ■





# Tren Zahorskiej o córce Elżbiecie.

## Litka z elitarnej ligi idealistów

JERZY PASZEK

Anna Zahorska (1882–1942) została uhonorowana ostatnio tomem *Poezji zebranych* w opracowaniu Anny Wydryckiej (Białystok 2017, Wydawnictwo Prymat; używam skrótu: ZPZ). Jestem nieco związany z tą książką, bo uczestniczę w pracach Rady Naukowej serii „Przełomy/Pogranicza”, w której omawiany wolumin ma XXIX numer, stąd zainteresowałem się jej poziomem edytorским. Nie jest to wydanie krytyczne, gdyż nie wylicza się tu różnic w tekstach (pierwodruk w czasopiśmie a edycja książkowa). Nie ma też objaśnień, w których omówiono by język modernizmu czy realia epoki (m.in. symbolika tego okresu). Przydałaby się także poprawa błędów ortograficznych typu „szałwi” zamiast „szałwił” (ZPZ 147), „zwolna” zamiast „z wolna” (ZPZ 154, 174, 183), czy pisanych łącznie apozycji typu „myśli – pątnice” zamiast „myśli-pątnice” (ZPZ 191); dostrzegam też zbędne i rażące w takim opracowaniu literówki, które łatwo wyłapać okiem fachowca (bo gubią się przez to nawet rymy!).

Zahorska (podpisywała się również pseudonimem Savitri) nie jest poetką wybitną, ale i jej przytrafiają się nastrojowe, impresjonistyczne klejnoty liryczne, jak ten zatytułowany *Czeremchy kwitną...* (ZPZ 207):

Czeremchy kwitną  
na brzegu rzeczki w głębokim jarze...  
Nad moją głową cicho, błękitno,  
wążki się snują w rannym oparze.  
Wchłaniając mocne kwiatowe tchnienia,  
zmysły mam senne od upojenia.

Od upojenia senne mam zmysły...  
Niby ramiona, nade mną zwisły  
wiotkie gałązki, na skroń mi kładą  
dłoń woniejącą, dłoń kaskamitną  
i oblewają kwiecica kaskadą...  
Czeremchy kwitną...

Zajmę się tu głównie trenem żałobnym, jaki poświęciła poetka swojej córce Elżbiecie (1915–1939), studentce polonistyki wileńskiej i warszawskiej, ale przede wszystkim znawczyni (po odpowiednich kursach) sztuki telegraficznej, czyli juzistce (od aparatu wynalezionej przez Davida Edwarda Hughesa, a znanego skrablistom jako „juz”). Otóż po wybuchu drugiej wojny światowej polonistka obsługiwała w Warszawie najpierw telegraf, a potem na dachu kamienicy ckm, podając strzelcom taśmy z nabojami; po kapitulacji – dekompletuje sprzęt bojowy, a nawet próbuje ukradkiem przesznułować nagan. Matka opowiada to tak (ZPZ 508–509):

W pustym budynku Litka została ostatnia,  
niszcząc broń – pełno jej było w holu i szatni.  
Potem poszła z innymi, by poddać się wrogom.  
Szła z wahaniem, zostając w tyle, noga za nogą:  
– Tak, zadekować się całkiem byłoby niezłe! –  
Niemcy spostrzegli, zrewidowali i broń znaleźli  
wraz z rewolwerem. Aresztowana. W szponach Gestapo!  
Ptaszę maleńkie zduszone nagle potworną łapą!  
– Gdzie zakopana broń? – krzyczą, pienią się, srożą,

plują, biją w twarz, zatrata zaciska obrozę.  
„Polką jestem i walczyć z wami do śmierci pragnę,  
nie wydam broni, ani do was kiedy się nagnę.” –  
„Polska Joanna d’Arc” – rzekł Niemiec z uznaniem  
i podpisał wyrok – „Za godzinę na rozstrzelanie”.

Okazuje się, że Litka (imię pamiętne tym, iż hrabia Stanisław Tarnowski nie mógł przeboleć faktu, iż Henryk Sienkiewicz nazwał tak swoją umierającą w młodym wieku bohaterkę powieści *Rodziną Połanieckich*) zdołała uciec ze stolicy na wieś, gdzie zmieniła ubranie i zdołała trochę odpocząć po wielkich emocjach, związanych z ukrywaniem się. Po miesiącu (ZPZ 509–510)

Ze swym plecakiem żołnierskim wróciła Litka ze wschodu.  
Gdy w Polsce znów żyć próbują i liczą bolesne straty,  
Niemcy, urągając, porozwieszali plakaty  
i stoją przy nich na straży dwa widma: Śmierci i Głodu.  
„Anglio, to twoje dzieło” (dzieło niemieckich pocisków) –  
tak głosił plakat żmijowy o strasznym Polskę zniszczeniu,  
wbrew naszej wierze w aliantów, wbrew naszej wierze

w zbawienie!

Wszyscy zrywali plakaty, jeśli wisiły dość nisko.  
Kpiąca wzgardą i gniewem, i ona zerwała wreszcie;  
i nagle z krzykiem ją chwycą żelazne wrogi ramiona.  
– Sabotaż, polski sabotaż! – I jest u Niemców w areszcie.  
Ach, ileż okrucieństwa u tych potwornych podludzi!  
A jeszcze więcej w ich sercach, niżli w ich paragrafie.  
Szpiegowie wnet ją poznali – wszak mieli jej fotografie.

Kwestię tych afiszów przybliży m.in. Stefan Zabierowski, który w swej książce pt. *Wojna i pamięć* (Katowice 2006, s. 314–315) trafnie stwierdza: „Słynny ów plakat stanowił ważne ogniwo hitlerowskiej propagandy wizualnej. [...] W tym przekazie ikonicznym zastosowany został sprytny zabieg propagandowy: winą za zniszczenie Polski obciążeni zostają nie prawdziwi sprawcy owej tragedii – hitlerowskie Niemcy, ale – nielojalny sojusznik Polski – Anglia. Czyli zawód i nienawiść Polaków winny być skierowane przeciw Brytyjczykom, a nie przeciw zbrodniczym Niemcom”. Jest i drugi zabieg: słowa „England! Your doing!” wypowiada polski „żołnierz-tułacz”, czyli postać znana z *Pana Tadeusza* oraz z noweli Stefana Żeromskiego *O żołnierzu tułaczku*. Jan Józef Szczepański w opowiadaniu *Granica* (1962) napisał, iż ten plakatowy wojak „Nosił miękką rogatywkę, jakiej w wojsku nie używano od lat. Jego rozpacz była udana, jego okrzyk był kłamstwem” (cytuję za książką Zabierowskiego, s. 314; jest tu też fotografia feralnego plakatu przed s. 325).

Tym razem studentki nie dało się już uratować! Drugi raz skazano ją na rozstrzelanie, co ogłoszono w specjalnych afiszach 3 listopada 1939 roku, czyli na dzień przed straceniem Litki. Ona nie bała się śmierci („Nie płaczcie, będę w niebie. Na pewno. Książd powiedział”, ZPZ 512) i zachowała fason (rodzicom na ostatnim widzeniu nuci „Umarł Maciuś i leży na desce”, po czym „pełna brawury żołnierskiej, ochoty dzielnej / ruszyła sama ze śpiewkiem ku karcie śmiertelnej”, ZPZ 513), rzucając wrogom incipit hymnu naszego po niemiecku, by zrozumieli, co mówi (ib., poprawiam w cytacie czasownik „zostanę” na „zostaną”, bo mowa wszak o oczach;



„rękawiczka” to pozostałość po przyniesionych przez ojca na ostatnie spotkanie rękawiczkach i ciastkach):

To był Fort Mokotowski... Dwie anteny radiowe oznaczały kres... Jedno drzewko bezlistne, surowe, wyciągnęło ramiona. Pod nim kazali stanąć. – „Nie wiązać oczu”. Jeszcze raz niech zostaną nadziejnie w niebieskim przezroczu i zajrzą do łuf celujących tak bezlitośnie. „Jeszcze Polska nie zginęła!” – krzyknęła donośnie... Salwa gruchnęła. Upadła we krwi. Skończone. Przykryli płachtą zwłoki dziewczeczki skrwawione. Umarła jak żołnierz. Stała przed Bogiem z raportem. Rękawiczka pod drzewem. Pogoda jasna nad fortem.

Tren Zahorskiej ma dwie formy podawcze: jedną jest epicka opowieść o losach Litki, utrzymana w dłuższych wersach (od 13 do 15 sylab), a drugą narracja liryczna, pogodna, która cechuje się krótszymi linijkami (od 7 do 9 sylab). Ten ostatni sposób wtrąca opisom zabaw, rozrywek i sportów (pływanie, biegi po lesie, jazda na koniu) młodej kobiety. Oto hippiczny fragment omawianego trenu (ZPZ 504):

Kochałaś konie – żywiołowy  
przerzut przez rowy i potoki,  
szum wichrów wolnych wokół głowy,  
runięcie w przestrzeń dzikim skokiem.  
Był każdy start jak wybuch prochu,  
gdy przestrzeń chłona motocykle,  
gdy oszalały mknął samochód  
i błyszczał w słońcu jego nikle.  
Upadek z konia? Mniejsza o to,  
choć głowa wyróżnie gdzieś o drzewo.  
Nawali auto? To piechotę  
Wraca się nuć pod ulewą.

Koń powróci w opowieści o odważnych przeprawach Litki do różnych oddziałów polskich wojsk, bo okazuje się, że ta piękna dziewczyna (jest zdjęcie w Internecie, reprodukowane tutaj z „Tygodnika Powszechnego”) wyróżniała się swoją bezgraniczną odwagą. Gdy trzeba było „Rozkaz zawieźć kompaniom gdzieś na flanki... / [...] **konno** się wyprawia, choć grożą wrogów tanki” (ZPZ 507). Owe przeprawy przez linie frontu są u Savitri jakby przypomnieniem jej dawniejszych wypraw matki, gdy w czasie wojny polsko-bolszewickiej poszukiwała swych dzieci na terenie kontrolowanym przez groźne NKWD (relacje opublikowane zostały w roku 1920 w „Kurierze Porannym”, m.in. takie tytuły reportaży: *Z Warszawy na front. Pod kulami bolszewickimi; U bolszewików. Moskiewskie dusze, w Rewkomie; Czerewiczajka. W partii więźniów. Bolszewicy żołnierze*; zob. ZPZ 31). Oto opis przewożenia rozkazów i raportów bojowych do odległych kompanii (ZPZ 508; przywracam tu pisownię łączną apozycji „żołnierz-dziewczyna”):

Ulicą mknęła zuchwale, na plecach karabinek –  
chybia ją strzał po strzale... Brawo żołnierz-dziewczyna!  
wołają warszawianie, a kule świszczą, świszczą...  
i koń szlachetny w pianie, a oczy męstwem błyszczą...

Gdy 14-zgłoskowiec ma rymy wewnątrz (zuchwale – strzale; warszawianie – pianie), wtedy powstaje strofa o wzorze rytmicznym 7 + 7 sylab, w której przetwarza się temat epicki na narrację spersonalizowaną, prowadzoną z perspektywy walecznej Amazonki! Oczywiście również jest to, że głowa uderzająca w **drzewo** (ZPZ 504) rymuje się z „rękawiczką pod **drzewem**” (ZPZ 513), a także – by powstała numinotyczna trójca – z innym 3-wersowym fragmentem-pointą (ZPZ 515):

Nie mówcie słów, nie mówcie bolesnych słów:  
włosy – złociste – drzewo (tam padła) i rów –  
kapturek we krwi – ręce – zsiniałe – oczy – zawarte...



Anna Zahorska

Warto dodać, że kapturek (tak samo jak złote włosy) powtarza się w charakterystyce Litki – wyszła „z plecakiem przez ramię, w kaptureku, w futerku rudym” (ZPZ 512). Czyżby ten element ubrania i kolor włosów miał sugerować, iż nasza Amazonka miała też rysy Czerwonego Kapturek? Wiadomo, kto był tu groźnym wilkiem! Wiersz nie jest doskonały, ale został napisany jeszcze w listopadzie 1939 roku, zapewne w pośpiechu (o czym mogą świadczyć pomyłki w interpunkcji), a ocalał przez cudowny przypadek w rękopiśmiennym odpisie (pierwodruk: Łódźka „Osnowa” 1984, nr 9, s. 152–162), więc warto o nim pamiętać. Choćby jako o Dokumentcie Czasu! I poprawiać błędy, np. „Puście po raz ostatni zobaczyć!” (ZPZ 512) powinno się drukować jako „Puście po raz ostatni zobaczyć!”.

Dlaczego w podtytule mówię o elitarniej lidze idealistów? Bo młodzi koledy Litki po 4 latach dali świadectwo męstwa w Powstaniu Warszawskim. A jej rówieśnik, Jeremi Przybora (1915–2004), napisał wzruszającą pieśń o całym pokoleniu, wzrastającym w Polsce Odrodzonej (zob. J. Przybora, *Dzieła (niemal) wszystkie*, t. 2, oprac. T. Drozda, Kraków 2016, s. 1456), pt. *Chłopcy przedwojenni*:

Piliśmy, nie ćpaliśmy,  
gdy kochaliśmy – zdradzaliśmy,  
ale chamscy nie bywaliśmy –  
dość dla pań przyjemni.

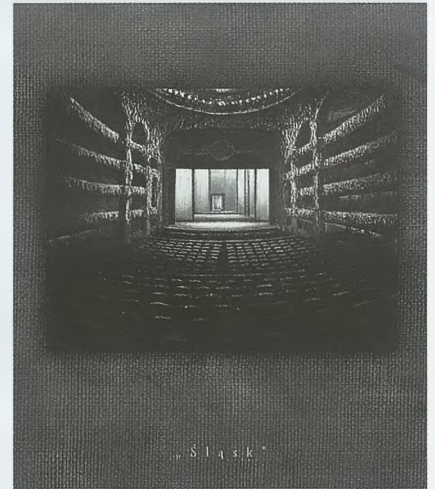
Często też giniliśmy.  
Więcej daliśmy, niż wzięliśmy.  
Mało do wyboru mieliśmy –  
chłopcy przedwojenni.

Bardzo mały wybór mieliśmy –  
chłopcy przedwojenni.

A wszystko to piszę, by jakiś zagraniczny literaturoznawca, np. Tzvetan Todorov (1939–2017), nie musiał pisać eseju pt. *Umrzeć w Warszawie* („Kultura Niezależna” 1989, nr 49, tłum. H. Sikorska), gdzie prezentuje taką wiedzę o polskich sprawach, jak gdyby chciał nas zmusić do używania w boju dywizji białych niedźwiedzi, rzekomo pomagającym nam już pod Grunwaldem i pod Wiedniem (zob. błyskotliwą polemikę z cytowanym esejem w tomie Jacka Trznadla *Ocalenie tragizmu*, Lublin 1993, s. 156–159: *Koszałki-opałki, czyli białe niedźwiedzie w [P]owstaniu [W]arszawskim*).



# Arcyeseje o arcydziełach



MAREK PIECHOTA

KSIĄŻKI

Żyjemy w czasach skłaniających humanistów do ubolewania nad zmniejszaniem rangi arcydzieł wywieranych w ponowoczesnej dyskusji o literaturze przez pospolite i merkantylne bestsellery. To już wystarczający powód do tego, by powitać zgrabnie zredagowany, pięknie i uczenie zestawiony tom Jerzego Paszka o lakonicznym tytule *Blask arcydzieł*, a gromadzący rozbudowane i nasycone zachwytem nad sztuką w najlepszym wydaniu eseje ogłaszane w „Śląsku” w latach 2017–2018. Zgrabność ujęcia przejawia się na wiele sposobów, choć nie wszystkie od razu wpadają w oko, niektóre są pochodną dokładniejszej analizy treści podczas wielce satysfakcjonującej nie tylko literaturoznawców lektury.

Esej z natury jest amorficzny, wymaga erudycji i błyskotliwości autora i czytelnika. Na szczęście Paszek nie jest ortodoksyjnie wybredny wobec arcydzieła i potrafi starannie przyjrzeć się z wielu perspektyw także utworowi zaledwie zajmującemu pierwsze miejsce na liście najczęściej przedrukowywanych w XX wieku wierszy napisanych w języku angielskim (chodzi o *Tygrysa* Williama Blake’a ogłoszonego w 1794 r. we własnoręcznie wyrytym w miedzi tomiku *Pieśni doświadczenia*). Popularność nie wyklucza arcydzielnosci i *vice versa*. Tekst *Tygrysa* w eseju otrzymuje tak nobilitujące określenia, jak: ‘rarytas’ i ‘najpopularniejszy klejnot’ „utrwalonego na podkolorowanych przez żonę platerach” tomu, ‘badany unikat zdań’ (mowa o zdaniach „pytających (są tu bowiem zda-

nia urzekająco orzekające!)”. Zatem nie jest tylko ważne, o czym Paszek pisze, ale równie istotne jest to, jak pisze, do czego wypadnie powrócić.

Autor omawianego tu zbioru arcydzielnych esejów obejmuje refleksją 3000 lat literatury europejskiej i tym wyróżnia się na tle podobnych dokonań, że bez najmniejszych kompleksów umieszcza obok dzieł o poważnej recepcji światowej także artefakty rodzime. Jak przystało na dojrzałą (Paszek urodził się w Czechowicach-Dziedzicach w r. 1940) refleksję prawdziwie profesorską, tom składa się z trzech zasadniczych części zawierających po siedem esejów ułożonych w porządku chronologicznym. Zrazu mamy więc omówione arcydzieła wieków dawnych *Od wojen trojańskich po bitwy mnichów*, to: *Odyseja* Homera i *Eneida* Wergiliusza, nasza *Bogurodzica*, fraszki (Reja i Kochanowskiego), sonety (głównie Szekspira), *Monachomachia* Krasickiego i wspomniany już *Tygrys* Blake’a.

Część druga obejmuje w. XIX *Stulecie kolei żelaznych i teorii Darwina*, to: *Rękopis znaleziony w Saragossie* Potockiego, *Eugeniusz Oniegin* Puszkina, *Pan Tadeusz* Mickiewicza, *Dożycie* Fredry, *Beniowski* Słowackiego, *Koty* Baudelaire’a (z tomiku *Kwiaty zła*) i *Lalka* Prusa. Część ostatnia *Stulecie penicyliny i Holokaustu* stanowi refleksję o dorobku XX w., to: *Popioły* Żeromskiego, *Żywe kamienie* Berenta, *Ulisses* Joyce’a, *Ferdynurke* Gombrowicza, *Mistrz i Małgorzata* Bułhakowa, *Kwiaty polskie* Tuwima i *Błady płomień* Nabokova. Enumeracja dowodzi, że jest to wy-

bór subiektywny (frakcja filologów germańskich nie zostanie usatysfakcjonowana; Goethe przywołany został zaledwie dwa razy – jako inspiracja *Faustem* w *Ulissiesie* oraz w cytacie z *Kwiatów polskich*), ale też intelektualnie powabny, uwzględniający dość dobitnie punkt widzenia badacza Polaka. Z *Posłowia* wyławiam fragment zestawienia, iż jest to „charakterystyka 11 dzieł w języku polskim, 4 w angielskim, 2 we francuskim i rosyjskim, po 1 w łacińskim i greckim”. Przytoczę również istotną deklarację Autora z tegoż *Posłowia*: „Interesuje mnie głównie sztuka poetycka i prozatorska, czyli język i styl analizowanych utworów, ich maestria kompozycyjna i intelektualna, ujawniająca szeroko przynoszony dowcip autorów, przynoszący Czytelnikowi radosne endorfiny do mózgu. Nie rezygnuję z omawiania problematyki rodzenia się i ewolucji poszczególnych tekstów, ich wariantów (np. mówię o dwu różnych powieściach, wychodzących pod tym samym tytułem: *Rękopis znaleziony w Saragossie* Jana Potockiego); opowiadam też obszernie o kłopotach cenzuralnych wielu genialnych twórców (m.in. Aleksander Puszkina, Stefan Żeromski, James Joyce, Michał Bułhakow czy nawet Julian Tuwim). Gdy piszę o przekładach z greckiego, łaciny, angielskiego, francuskiego czy rosyjskiego, to zawsze wypowiadam się na temat jakości i ewaluacji konkretnego tłumaczenia. Bez obwijania w bawełnę stwierdzam, która wersja translatoologiczna jest dla mnie cenniejsza i dlaczego!” (s. 189–190).



Już tu, idąc tym tropem (bez obwijania...), mógłbym zasygnalizować, że większość point poszczególnych esejów, kierowana do pojętnego czytelnika, powinna trafić także do jakowegoś literaturoznawczego zbioru aforyzmów, np. zdanie wieńczące omówienie dzieła Homera: „Blask polskiej *Odysei* staje się o wiele silniejszy, gdy wspomagamy się iście herkulesowymi dociekaniem, interpretacjami i objaśnieniami jakże pomocnego, a zarazem błyskotliwego Kubiaka!”, ale wolę – dopełniając obowiązki recenzenta – wspomnieć o tym, że tom Paszka uzupełniają: *Aneks: „Ulisses” pod mikroskopem. Zagadki 25 księzek i 25 kochanków* (to najobszerniejszy rozdział, opatrzone 49 erudycyjnymi przypisami; poprzednie części – to kolejny element symetrii i harmonii, poniekąd palindromicznej w tym aspekcie – objaśniają przypisy w ilościach 75 + 88 + 75); *Bibliografia (wybór)* – to bodaj 225 pozycji, wreszcie *Indeks osobowy* obejmujący ponad 600 nazwisk.

*Blask arcydzieł* nie jest lekturą prostą. Wolno o tej książce powiedzieć niemal to samo, co pisze Paszek o *Bladym płomieniu* autora *Lolity*. Vladimir Nabokov nadał tej „intrygującej narracji” (to oczywiście określenie arcyeseisty) tytuł *Pale Fire*, który „sprawia uważnemu czytelnikowi, krytykowi, a nawet tłumaczowi sporo kłopotów, gdyż jest cytatem z dzieł Szekspira, wskazywanym wiele razy w tekście utworu, ale z różnymi adresami czy destinacjami (jak szpanersko mówiono w 2018 roku, gdy nawet w *Wielkim słowniku wyrazów obcych* PWN widniało jedynie hasło «Destynator»; nb. Nabokov lubuje się w wyszukiwaniu i wyzyskiwaniu bardzo rzadkich słów, o czym czytelnik szybko i boleśnie się przekonuje!)” (s. 181). Dalej zapoznajemy się z wieloznacznością nazwiska Shade, które może oznaczać m.in. ‘cień’, ‘ustrońie’, ‘abażur’, ‘roletę’, ‘store’, ‘piwnicę na wino’ – „wszystkie te semantyczne niuansy będą uruchamiane w fabule powieści!”. Na marginesie, oryginalną definicję ‘destynacji’ podaje Olga Tokarczuk w esej *Człowiek na krańcach świata* („Polityka”, nr 40/2020, s. 25–26).

Jak się okazuje, słowa niezwykle rzadkie można znaleźć nawet w warsztacie analitycznym, zwłaszcza z zakresu retoryki i poetyki, czytelnik *Blasków arcydzieł* zostaje zaatakowany już na pierwszych stronach (wymienię tylko kilka): aliteracją i apozycją, chiazmem i hypellage (w tle czai się hendiadys), z drugiego końca alfabetu mamy wszelkiego rodzaju onomatopeje, paralelizmy i palindromy, syllepse goni zeugma, a jeszcze

jest po drodze niepowtarzalna tmeza (tmesis, czyli ‘rozcięcie wyrazu’) – wyłuskana z przekładu *Eneidy* Zygmunta Kubiaka i świetnie zinterpretowana funkcjonalnie we wtrąceniu nawiasowym „(stąd dwojaka funkcja tmesis: jąkanie się oranta jest sygnałem jego uniżenia, a zarazem oznaką dumy z powodu możliwości porozumienia się z bogiem rzeki)” (s. 26). Pamiętam, że w ubiegłym wieku, gdy kandydatów do studiowania polonistyki było znacznie więcej niż miejsc, tak że trzeba było organizować egzaminy wstępne, dostrzeżenie w teście stylistycznym chiazmu było znacznie wyżej punktowane niż rejestracja prostych, a choćby i stałych epitetów czy metafor. Paszek nie tylko przystępnie objaśnia te terminy, potrafi je dostrzec, ale także docenia ich piękno i funkcjonalność użycia w tekście genialnych artystów i równie poetycko, nawet gdy chodzi o prozę, utalentowanych tłumaczy.

Zwracają uwagę umiejętnie sączone dygresje o relacjach pisma (literatury przecież wysokiej, jak ją niegdyś nazywano) z rzeczywistością wydawać by się mogło pozapiśmienniczą, niezwiązana z estetyką i artyzmem: z esej o *Bogurodzicy* dowiadujemy się, że oszczędność materiałów papierniczych powodowała iście szaradziarskie zabawy słowne autorów, dające się rozwiązać jedynie dzięki tekstom łacińskim. By wzmocnić zaciekawienie tomem, napomknę tylko, że z omawianego tu zbioru arcyesejów można się dowiedzieć, w jakich przysmakach gustował Jan Kochanowski, a w jakich XBW Ignacy Krasicki, dlaczego Julian Tuwim porzucił dość zaawansowany przekład *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Puszkina. Cykl wydawniczy ma swoje prawa, musi trwać. Zupełnie inaczej czytamy dzisiaj informację przekazywaną przez Paszka za Stanisławem Helsztyńskim, że William Szekspir napisał blisko 150 sonetów w okolicznościach pandemicznych: „W czasie przerwy teatralnej lat 1592–1594, wywołanej zarazą w Londynie, powstała większość sonetów Willa” (s. 46). Nie wspomnę już o związku wersu z przedostatniej strofy *Tygrysa* z „Wielkim Ognistym Meteorem”, który ukazał się nad Londynem w roku 1783 i „okazał się «w rzeczywistości kulistym piorunem» i «był widoczny blisko trzydzieści sekund»”, i dlatego kolejna linijka może być czytana jako aluzja do „łez świętego Wawrzyńca”, i jaki wreszcie to odczytanie ma związek z *Perseidami* (s. 64).

Moja recenzja, oczywiście, może zostać potraktowana jako subiektywna, gdyż winien jestem wdzięczność Autorowi za przytulenie mego *Kota*,

potraktowanego jako „bardziej skomplikowana zabawa fonostylistyczna”, i umieszczenie go w *Aneksie* do esaju o *Tygrysie* w zaszczytnym dla mnie towarzystwie „kongenialnego przetworzenia” pióra Tadeusza Sławka (*Kot* był drukowany w „Śląsku”, nr 12/2018). Paszek niekiedy, z dającą się rozpoznać przyjemnością konesera pięknego słowa (choć nie stroni także od „sprośnej gadki” staropolskiej), odsłania tajemnice swego warsztatu, jakby obawiał się, że niektóre zabiegi poetyckie arcyeseisty mogą zostać przeoczone. Esaj o sonetach Szekspira domyka zdaniem: „Zaczynając poprzedni rozdział od anagramu dotyczącego anegdota Dantego, mogę teraz rzec, odwołując się do anagramu własnej produkcji, iż w powyższych wywodach, pomijając problematykę protoplastów obsady aktorskiej szekspirowskich *Sonetów*, zostali odsiani Adonisi!”. Nie mam właściwie jednego, wybranego brylantyka, klejnotu, mniejszego lub większego Koh-i-noorka; znajduję je w każdym rozdziale. Może najokazalszym będzie własny przekład Paszka z trzech języków: greki, łaciny i staropolszczyzny na współczesną polszczyznę *Bogurodzicy* (s. 34)? Sporo tu łaciny, zawsze starannie umotywowanej, nawet w dedykacji dla synów: „Jaromirovi i Adamowi / *dat, dicat, dedit* / autor”, gdyż starszy jest absolwentem naszej polonistyki, a młodszy – lubelskiego prawa, zatem łacina używa tu, dla wtajemniczonych, walor intymności...

Przyjmując za wspomnianym tu esajem Olgi Tokarczuk, że poza powietrzem, ziemią, wodą i ogniem, opowieść jest piątym żywiołem determinującym to, jak widzimy świat, jak go rozumiemy, jak nawiązujemy relacje ze światem i ludźmi, przyznać muszę, że lektura opowieści Paszka o arcydziełach literatury europejskiej utwierdza mnie w przekonaniu, iż dehumanizacja jest drogą ku samozagładzie, a władcy tego świata ograniczający wolność badań i wolność kultury wkrótce zostaną (niebaczni!) zastąpieni przez znacznie bardziej bezwzględna i bezkompromisową sztuczną inteligencję. Arcyeseje Paszka postrzegam jako intelektualnie esencjonalne teksty pisane z estymą wobec twórczych dokonań mistrzów słowa. Czytelnicy mogą zostać mistrzami lektury. ■

Jerzy Paszek: *Blask arcydzieł*. Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2020, 230 s.



**R**ośliny mięsożerne – tak Genowefa Jakubowska-Fijałkowska zatytułowała swój najnowszy tom poezji. W rozmowie z Jakubem Winiarskim tak mówiła przed dziesięć laty: „poeta może wieszyc, niech mu będzie, ale w dobrej poezji jest prosta przepowiednia zwykłego dnia, zwykłej rzeczy, tego, co dotykalne i tego, co ezoteryczne. Jesteś po prostu, żyjesz, pracujesz, kochasz, nienawidzisz, oddychasz, przynajmniej ja tak mam. Tylko czasem przychodzi ten stan, w którym nie masz na sobie nawet skóry i wszystko albo cię rani, albo dotyka boleśnie, nawet gdy jest to czułość świata. To może wtedy jestem szalona, bo wtedy stają się wiersze we mnie, a słowo jest potem”.

*Rośliny mięsożerne* są kontynuacją tak zarysowanej poetyki „ja” bez podziału na jego „mięśne” (realne) i literackie oblicze. Co więcej *alter ego* poetki przywiera do niej całkowicie, bez jakichkolwiek „mrugnięć okiem”, „pęcherzy”, czy zagiętych rogów. Ona i podmiot liryczny to jedno. Ten zabieg daje poczucie intymności ocierającej się o performance w stylu Mariny Abramović, kiedy odkrywa swoje ciało na działania odbiorców. Poetka – tyle że słowami – również operuje na sobie, pokazując żywą tkankę swojego życia. Epicki charakter wierszy oraz brak jakichkolwiek znaków interpunkcyjnych pozwalają nam dowolnie przestawiać mentalne przecinki i paury tak, że stajemy się poniekąd współtwórcami utworów. Kto jednak szukałby w zadzierzgniętej więzi jakiejś formy czułości czy estetycznej zmysłowości, będzie w błędzie. Bliżej tam do szorstkiej materii weryzmu, utkanej z potocznego języka, schodzącego niekiedy w obszar rynsztokowych epitetów, niż do wyszukanej metaforyki. Może wyjątkiem są tylko rośliny: skrzydłokwiat, żółty storczyk, mirabelka gdy kwitnie, wrzosiec, czy anturium z Kolumbii, ale i te, jak w wierszu, który użył tytułu tomikowi, stają się niebezpieczne, mięsożerne: „czyhają na mój oddech dym papierosa / wciągają mój język nozdrza wargi // ssą mnie śmiertelnie od szkieletu // nie mogę wydobyć się od śmiertelnego jęku / ciche ssanie śmierci / kwiaty dalej rosną”.

Bezsprzecznie najważniejszą bohaterką wierszy jest przeżywanie codzienności w najróżniejszych odcieniach i „okolicznościach życia”. Już same tytuły ujawniają treść utworów, będącą najdosłowniej sekwencją obrazów powszedniości np. *Nie zapalaj papierosa od świecy, Co z tą trasą PKP przez Mikołów, Zakłócam fale radio, Wiertarki udarowe 230 V, Już nie mogę z tym na fejsie, Termomodernizacja na Mickiewicza, Dostałam nominacje do Nike*. Dopiero na tak przygotowanej bazie rozpoczyna się skrupulatna obserwacja wsobnych reakcji: lęku, obaw, odrzady, zdziwienia czy przerażenia, jak w wierszu zatytułowanym *Czekam na deszcz*, gdzie „panika pogotowie na sygnale / parametry dobre // relanium w zastrzyku // strach przed śmiercią / a jednak się boję a chciałam umrzeć młodo // teraz jak pies przed burzą / chowam się w łazience skowycząc”.

## Poetka bez skóry

KSIAŻKI

Rozedrganie na granicy snu i jawy; ból połączony z fizjologią: „chce mi się sikać palić”; uzależnienie: „jesteś zdiagnozowana psychiczna i przewlekła”; krew i sperma, starość i strach przed śmiercią, wpisane w konkretne chwile, sygnowane najczęściej poranną godziną – zaczynają sprzącać i nam ból. Nasze neurony lustrzane za nic w świecie nie mogą pozostać obojętne. Myśl, nasza własna, obudzona cudzą zaczyna drgać, wibrować, syczeć. Budzimy się – przynajmniej ja – ze zdartym naskórkiem, pulsującym tętnem, rozszerzoną źrenicą i nawet ironia wpisana w codzienności nie może nas uspokoić: „potem poszłam w panice do kardiologa (prywatnie) / zapytał: pani wiek / w tym roku kończę siedemdziesiąt lat // ten chuj powiedział mi: o to jest pani w wieku poborowym // skasował sto pięćdziesiąt złotych / coś mi przepisał na cholesterol”.

Czy siłą tych wierszy jest ich brutalizm? Czy siernieżna rzeczywistość może rodzić tylko takie owoce? Czy dogłębnie naturalistyczny język nadal wprawia nas w estetyczny szok i otrzeźwienie, bo zarezerwowany jest dla innych obszarów niż poezja? Stawiałbym raczej tezę, że ów sztafaż potrzebny pozornie do zakotwiczenia w rzeczywistości coś ukrywa, jakąś delikatność obecnie *passé*, jakąś tęsknotę wcale nie *modern* wielce. Przecież w płynnej rzeczywistości nie może unosić się na powierzchni tylko to „jedno”, a *Ostatni raz* wcale nim być nie musi: „wchodziłam po drewnianych schodach / do Instytutu Mikołowskiego / ciemno / półpiętro obsrane przez gołębie // już tam nikogo nie ma tylko Agnieszka / książki stare meble z domu Wojaczka // Agnieszka dała mi kilka kilogramów moich wierszy / pomogła znieść po tych ciemnych schodach // zawiozła do domu // co teraz z nimi zrobić / poprzednie palenie było w 1933”.

Paradoksalnie pewna nadzieja tkwi w roślinach. Zwłaszcza te „mięsożerne” bywają egzotyczne, a wtedy: „cały kwiat we mnie / jest gorący jak pustynia Namib zaś: na dnie oce-



PIOTR SKOWRONEK

anu jest mój parapet okna / storczyki wrzosiec anturium z Kolumbii // świeca waniliowa / moja nocna flanela”. Tęsknota za rajem utraconym tkwi w nas jednak bardzo głęboko.

W rozmowie z Jakubem Winiarskim poetka powiedziała: „Z powodu bycia kobietą nie muszę być delikatna, zresztą piętnaście procent płci pięknej popełnia przestępstwa gwałtowne. Są wśród nas czarne wdowy, anioły śmierci, modliszki, mścicielki i poetki. Nie piszę brutalnych wierszy, życie bywa brutalne, a wiersze są z życia”.

Niektóre wiersze w tomie osunęły się w publicystykę, która poezji najczęściej sprzyja mało lub wcale, jak w wierszu *Wszystko wisi na mojej matce*: „PIS się wpierdala w twoją macicę jajniki // w pochwę wargi sromowe // w twoją pierś karmiącą w zapaleniu bolącą / gdy odciągasz mleko”... Estetyczną przeciwwagę dla tej deklaracji znajdziemy w elegii *Trzech Króli szóstej stycznia 2018 roku*, w którym poetka wspomina śmierć swojej matki: „21 lat temu umarła mama / padał wtedy wielki śnieg to był poniedziałek // wspominam mamę palę świece // pamiętam jak stałam w aptece po pampersy / mama była już w kostnicy // przyniosłam na drugi dzień sukienkę / buty fioletową apaszkę na szyję // przepaszam mamę / ten makijaż miałas za mocny // powieki za zielone szminka na ustach za czerwona / to nie ja malowałam twoje usta i powieki // płakałam przy twojej piersi w grudniu 1946 roku”.

Kogo zjedzą *Rośliny mięsożerne*? Może przerodziła się w nie poezja, która zrezygnowawszy z wyrafinowanej i raniącej przy dotyku „rosa” wybrała obliźwujące się łapczywie „plantae carnivorae”, a może sami poeci? ■

**Genowefa Jakubowska-Fijałkowska: *Rośliny mięsożerne*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2020, 48 s.**



Joseph Roth to jeden z wybitnych pisarzy europejskich, wyrosłych w Galicji, pochodzących z tego niezwykłego tworu historycznego i kulturowego, który przestał istnieć już ponad sto lat temu, ale wciąż fascynuje i skłania do kolejnych jego interpretacji. Niewątpliwie, najważniejszą z cech stanowiących o niezwykłości Galicji była jej wielokulturowość, która już częściowo po pierwszej, a niemal zupełnie po drugiej wojnie światowej zanikła wskutek zmian historycznych, zapoczątkowanych upadkiem monarchii Habsburgów, z którą Galicja nieodparcie do dziś się kojarzy. Roth urodził się w Brodach, mieście będącym samą kwintesencją „galicyjskości” – w rodzinie żydowskiej, ale był Austriakiem i pozostał nim do śmierci w 1939 roku w Paryżu, dokąd emigrował po dojściu Hitlera do władzy. W Polsce znany jest przede wszystkim ze swoich powieści, zwłaszcza *Marsza Radetzky'ego* (1932), opowiadającej o schyłku i upadku monarchii austro-węgierskiej. Nim został wybitnym powieściopisarzem, był równie wybitnym dziennikarzem-felietonistą. Niedawno po raz pierwszy w przekładzie polskim ukazał się wybór jego felietonów *Listy z Polski* pochodzących głównie z lat dwudziestych i publikowanych w niemieckich czasopismach, takich jak „Frankfurter Zeitung”. Jedną z części zbioru nosi tytuł *Podróż po Galicji* i zawiera trzy felietony – *Ludzie i okolica*, *Miasto Lwów* oraz *Kaleki*, opublikowane w tejże gazecie z końcem listopada 1924 roku. W mistrzowskim skrócie Roth przedstawia tu niemieckiemu czytelnikowi refleksje z krainy, w której się urodził i wychował i do której powraca w zmienionej wojną rzeczywistości. Jak się ona przedstawia w jego ujęciu?

Wychodzi od stereotypu Galicji w ujęciu Zachodu – krainy biednej, zacofanej, gdzieś na krańcu cywilizacji. Podstawą bytu Galicji jest praca chłopów „bogobojnego, przesydanego, łęklivego”, na którym żeruje mityczne, obce mu, a czasem wręcz wrogie „miasto”. Zmieniły się „mundury, orły, odznaki”, ale istota sprawy pozostała ta sama. Widoczną zmianą są świeże ślady wojny, która niedawno przetoczyła się przez Galicję; ich symbolem jest Chrystus wiszący na resztkach strzaskanego przez pocisk krzyża; wokół niego powoli zablizniają się strzeleckie okopy... Nie widać tu żadnego rozwoju, drogi pozostają wciąż błotniste, a targowe miasteczko nigdy nie stanie się miastem. Jest to też kraina cudów – we Lwowie wielki koń pociągowy wpaść przez kratkę ściekowej do kanału... Jak to było możliwe? Bóg dopuszcza cuda, szczególnie w niedziale...

Czy tu kończy się Europa? Autor odpowiada na to pytanie – o dziwo – przecząco. „W księgarniach widziałem ostatnie literackie nowości Anglii i Francji. Wiatr kultury dostarcza polskiej ziemi nasion...” Galicja jest zapomniana przez świat – czyli ówczesną Europę, osamotniona, a jednak nie odizolowana. „Ma własny blask; smutny blask wzgardzonych”.

Wątek ten rozwija w następnym felietonie. Odwiedza najpierw małe miasto wschodniogalicjskie, niewymienione z nazwy; wbrew oczekiwaniom, poparty widokiem nierównych chodników i koślawej kanalizacji, głów-

KSIAŻKI

nej ulicy zwanej tu jak i w innych miastach Galicji – corso – spotyka eleganckich mężczyzn i urocz dziewczęta; nawet żebrak „poprosił mnie z wytwornym ubolewaniem o jałmużnę”... Mimo braku w mieście muzeum, teatru, gazety wygląda ono jak mała filia wielkiego świata. Z miejscowej jesiwy, czyli szkoły żydowskiej wywodzą się europejscy uczeni, pisarze, rabini czy też właściciele domów towarowych, a dla gimnazjalnego nauczyciela najważniejszym problemem jest wyczytana w gazecie wiadomość o pozyskiwaniu przez niemieckiego uczonego złota z rtęci.

Większe miasto w Galicji Wschodniej jest tylko jedno – Lwów. Jego austriacki charakter zmienił się teraz na polski, ale próbę narzucania polskości kosztem wielokulturowości miasta Roth, chociaż rozumie, ale uważa za niesłuszną. Wielokulturowość bowiem – jego zdaniem – jest większą siłą dla państwa niż narzucona jednolitość; w tym sensie Lwów wzbogaca państwo polskie. Pod pomnikiem Mickiewicza stoi tłum żydowskich handlarzy; przeciska się przezeń polski oficer z szablą i ostrogami, bynajmniej nie depreczając i nie roztrącając rozmawiających. Różnorodność powoduje demokratyzację, złagodzenie form prawnych czy religijnych, czasem też „nieład, niszczącą powolność, samobójczy zamęt”, ale wszystko to sprawia, że Lwów jest miastem zartartych granic, najdalej na wschód wysuniętą porończą europejskiego świata. Ciekawe jest porównanie z Krakowem, który jest dużo bardziej zachodni, ale był i pozostaje „muzeum narodowym”. Nasuwa się tu opinia Kornela Makuszyńskiego, że „Kraków potrafi czcić umarłych, Lwów tylko żywych; czyni to takim gestem Wierzyńka, nie trwożącego się królów, z taką serdecznością rycerską i piękną, że tylko serca tego miasta zażądać, a odda swoje serce. Tak czyni zawsze, cóż dopiero, kiedy chce uczcić Sienkiewicza albo potem Konopnicką” (*Bezgrzeszne lata*). Tragicznym epilogiem tekstu może być stwierdzenie, że w okolicy Teatru, na końcu ulicy Legionów, ludzie

Joseph  
Roth

Listy z Polski

ANTONI WILGUSIEWICZ

mówią w języku jidysz. „Zawsze w tej okolicy tak mówili. Pewnie nigdy nie będą mówili inaczej”. Był to rok 1924, *Mein Kampf* Adolfa Hitlera miało ukazać się drukiem w pół roku później...

Trzeci felieton nosi inny charakter. To obraz pogrzebu inwalidy Jana Kosa, który zastrzelił się podczas zebrania Związku Inwalidów Wojennych 6 lipca 1924 roku. Utrzymana w tonie niemieckiego ekspresjonizmu panorama wszelkich możliwych ułomności prezentowanych przez tłumnie zgromadzonych w kondukcje inwalidów zdążającym na Cmentarz Łyczakowski przeraża, stanowiąc – jak można sądzić – w zamysle autora oskarżenie wojny, czy też wojen, które tych ludzi do tego stanu doprowadziły...

Widziany z perspektywy prawie stu lat obraz Galicji i Lwowa zarysowany przez Josepha Rotha zaskakuje swoim obiektywizmem, a jednocześnie trafnością spostrzeżeń. Galicja i Lwów, aczkolwiek oddalone od centrów europejskiej cywilizacji, są jej częścią i to pomimo rozpadu naddunajskiej monarchii. Autor wypowiada się ze zrozumieniem o dążeniach nowej polskiej władzy na tym terenie, aczkolwiek uważa za korzystniejsze – także w interesie państwa polskiego – zachowanie wielokulturowego charakteru miasta i regionu; z dzisiejszego punktu widzenia uwagi te brzmią bardzo rozumnie i nowocześnie. Warto tu przypomnieć książkę współczesnego niemieckiego dziennikarza Lutza Klewmana *Lwów, zapomniany środek Europy*, który traktuje te problemy w prymitywny, wręcz oszczerczy dla Polski i Lwowa sposób. Pytanie tylko, który z tych autorów NAPRAWDĘ znał Lwów i Galicję... ■

Joseph Roth: *Listy z Polski*. Przeł. Małgorzata Łukasiewicz, wstęp Krzysztof Czyżewski. Wydawnictwo Austriaria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2018, 136 s.



Religijność  
i codzienność  
w środowisku ewangelickim  
na dawnych i współczesnych  
ziemiach polskich

Redakcja naukowa  
Agnieszka Przybyła-Dumin  
Krzysztof Bulla  
Barbara Papaj

ANETA M. SOKÓŁ

Okrągłym rocznicom towarzyszą zazwyczaj okazjonalne publikacje. Jubileuszem, któremu towarzyszyło szczególne ożywienie rocznicowego piśmiennictwa, było 500-lecie Reformacji upamiętnione wieloma nowymi tytułami, poddane także współczesnej refleksji badawczej w przygotowanych z tej okazji książkach, katalogach czy drukach ulotnych. Jubileusz Reformacji w sposób szczególny świętowany był na Śląsku, gdzie zgodnie z uchwałą Sejmiku Samorządowego rok 2017 został ogłoszony Rokiem Reformacji. Jednym z rysów pojubileuszowego piśmiennictwa związanego z reformacyjnymi zagadnieniami jest obecność materiałów pokonferencyjnych, które utrwalają dorobek konferencji, sesji oraz innego rodzaju spotkań rocznicowych zorganizowanych z tej okazji w całej Polsce.

Do pojubileuszowych publikacji należy książka wydana przez Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie”, pokłosie konferencji zorganizowanej w chorzowskim muzeum 16 listopada 2017 r. Opublikowany dwa lata później zbiór referatów dotyczy wielu aspektów ewangelickiej obyczajowości współtworzonej przez wyznawców na przestrzeni stuleci. To publikacja przypominająca o bogactwie protestanckich tradycji z różnych części kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Śląska.

Pierwszy artykuł Edelgardy M. Foltyn i Eugeniusza Foltyna (*Chwaląc Boga w ukryciu... Społeczność ewangelicka wobec kontrreformacji*) przypomina o zwyczajach organizowania potajemnych luteranckich nabożeństw w czasach kontrreformacji. Autorzy, którzy zajęli się tym tematem, przedstawiają tzw. Leśne kościoły, które zwłaszcza na Śląsku Cieszyńskim pozwalały przetrwać ewangelikom czasy zakazów i ograniczania praw protestantów. Pokazane zostało, jak organizowano tajne nabożeństwa, jak wyglądało uczestnictwo wiernych, jak wyznaczano świątynie przy wykorzystaniu naturalnych obiektów przyrodniczych. Warto dodać, że do dzisiaj zachowały się miejsca tajnych nabożeństw luteranckich m.in. na Równicy w Ustroniu, w Brennej czy w Wiśle.

Następny artykuł przenosi nas na drugi krainiec Polski, przedstawiając mało raczej znaną przeszłość Półwyspu Helskiego, niegdyś zamieszkałego przez niemieckojęzycznych ewangelików (Mirosław Kulik, *Hel – dawna ewangelicka enklawa wśród rybackich osad kaszubskiego wybrzeża*). Ten nieistniejący obecnie mikroświat przedstawiony został w wielu aspektach konfesyjnej obyczajowości oraz obrzędowości, związanej chociażby z tradycjami weselnymi. Ukazana została głęboka religijność helskich wiernych, ich przywiązanie do tradycji przekazywanych z pokolenia na pokolenie po inne aspekty funkcjonowania wspólnoty. „Opowieść” doprowadzona została do smutnego końca helskich ewangelików, wysiedlonych na tle narastających polsko-niemieckich konfliktów narodowościowych.

Ewangelicką obyczajowość pielęgnowaną na Śląsku Cieszyńskim przedstawia Krystyna Pieronkiewicz-Pieczko przypominając tradycje i obrzędy świętowane w Kościele luteranckim na planie roku kościelnego (*O dorocznym świętowaniu w ewangelickich rodzinach Śląska*

# Ewangelicy dawniej i dziś

KSIAŻKI

*Cieszyńskiego*). Przedstawione zostały cieszyńskie zwyczaje adwentowe, bożonarodzeniowe, wielkanocne, jak też inne okazje upamiętniane w gronie rodzinnym, parafialnym czy wspólnotowym (m.in. pamiątki poświęcenia kościołów). Autorka podkreśla prostotę luteranckiej obyczajowości, ale także jej bogactwo oraz powiązanie z kalendarzem rolniczym na ziemi cieszyńskiej.

W dalszej kolejności poznajemy genezę miejsca, gdzie przywracana jest pamięć o dawnych protestanckich tradycjach budowniczych zachowanych zwłaszcza na Żuławach Wiślanych. Ewa Tyczyńska przybliżyła, jak doszło do utworzenia Olenderskiego Parku Etnograficznego w Wielkiej Nieszawce obejmującego zabudowania przetrwałe po niemieckich ewangelikach. Nieszawskie muzeum przypomina nam również o XVI-wiecznych menonitach, którzy zapoczątkowali budownictwo na podmokłych nadwiślańskich terenach.

Dwa artykuły poświęcone zostały ewangelickiemu wkładowi w rozwój miast polskich. Agnieszka Pobratyn ukazuje częstochowskich ewangelików wpisanych w dzieje tego miasta (*Wkład społeczności ewangelickiej w życie kulturalne Częstochowy*). To przysłowiowy „rzut oka” na inicjatywy kulturalne, społeczne czy muzyczne, podejmowane przez ewangelickich mieszkańców w przeszłości, jak i współcześnie. Sosnowieckich zasłużonych ewangelików przedstawia Anna Makarska prezentując najbardziej znaczące dla Sosnowca rodziny Schönów i Dietłów. Pokazany został ich ogromny wkład w rozwój przemysłu włókienniczego rozwijającego się na terenie miasta, ale także ich wszechstronna działalność społeczna, dobroczytna po wspieranie miejscowego szkolnictwa (*Rola protestanckich przemysłowców z rodzin Schönów i Dietłów w rozwoju Sosnowca*).

Ostatni z artykułów ukazuje działalność wydawniczą polskiej mniejszości wyznaniowej na Zaolziu, w nawiązaniu do losów cieszyńskich ewangelików, którzy po podziale Śląska Cieszyńskiego (1920) znaleźli się w granicach państwa czeskiego. Ewangelicka działalność

zaolziańska była także formą obrony języka polskiego i polskiej kultury. Zdzisław Gębołyś przedstawia ten temat w artykule *Działalność wydawnicza ewangelików polskich na Zaolziu w latach 1945–2016 w historycznym, bibliologicznym, demograficznym i politycznym świetle*. Zaolziańska aktywność wydawnicza omówiona została na tle dziejów cieszyńskiego luteranizmu, w ujęciu chronologicznym, z uwzględnieniem dorobku z poszczególnych okresów historycznych. Wnikliwym ocenom poddana została powojenna działalność wydawnicza, w tym zwłaszcza z ostatnich dziesięcioleci, pokazana także w świetle pytań o dalsze drogi polskiej książki wyznaniowej na Zaolziu.

Przedstawiona publikacja ukazuje różnicowane przejawy ewangelickiej codzienności obejmując tradycje religijne, obrzędowe, społeczne, kulturowe, wydawnicze czy budownicze; uwzględni przy tym wizerunek wspólnot z różnych okresów czasowych, w tym – od Helu po Śląsk Cieszyński. W zaprezentowanych wypowiedziach nie zabrakło również odniesień do współczesnej luteranckiej diaspory pielęgnowanej konfesyjność także poza granicami Polski. W pokonferencyjnej publikacji wypowiadają się muzealnicy z Chorzowa, Muzeum Śląskie w Katowicach, z placówek muzealnych w Sosnowcu, Pucku oraz Torunia, uzupełnieniem są głosy wykładawców akademickich. Książka na pewno może zaciekawić regionalistów, pasjonatów tematyki protestanckiej oraz wszystkich zainteresowanych odkrywaniem wielowyznaniowej przeszłości ziem polskich. ■

*Religijność i codzienność w środowisku ewangelickim na dawnych i współczesnych ziemiach polskich*. Red. Agnieszka Przybyła-Dumin, Krzysztof Bulla, Barbara Papaj. Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie”, Chorzów 2019, 175 s.



Jest to, mimo niewielkiej objętości, kolejna ważna książka niestrudzonego nestora opolskich historyków, wydana – co warto podkreślić – w cyklu popularnych wykładów o Górnym Śląsku. Otrzymaliśmy pracę Profesora z dużym stężeniem prezentowanych treści o zamkniętym już etapie dziejów, czyli okresie PRL na Górnym Śląsku, od 1945 roku do wyborów w 1989 roku.

Składa się ona z trzech bogato merytorycznie udokumentowanych rozdziałów. Tak bogato, iż siłą rzeczy, w tej recenzji nie będę w stanie w pełni ich zaprezentować.

W pierwszym rozdziale Autor przedstawia powojenne podziały administracyjne Górnego Śląska na województwa, z przesłankami jakie legły u podstaw ich utworzenia, zilustrowane tabelami i danymi statystycznymi.

W 1945 roku, więc już 75 lat temu, utworzono województwo śląskie dołączając do niego na wniosek pierwszego wojewody gen. Aleksandra Zawadzkiego Zagłębie Dąbrowskie, stąd nazywano je też śląsko-dąbrowskim.

W 1950 roku powojenny Górny Śląsk podzielono na dwa województwa: katowickie i opolskie. Do katowickiego, dołączono z kieleckiego Częstochowę i powiat częstochowski, w rezultacie czego dawny Górny Śląsk znowu nieco utracił na śląskim charakterze. Do nowo powstałego województwa opolskiego, które w 2020 r. obchodzi siedemdziesięciolecie istnienia, dołączono dolnośląskie powiaty: brzeski i namysłowski.

W tym kształcie terytorialnym województwa przetrwały 25 lat, do reformy (nazywanej gierkowską) w 1975 roku kiedy to ustawa o dwustopniowym podziale administracyjnym Polski zlikwidowała powiaty i utworzono 49 województw, w tym dwa nowe wyłonione z katowickiego: bielskie i częstochowskie. Katowickie mimo to zachowało prymat najliczebniejszego pod względem liczby mieszkańców (3487,9 tys.) województwa, do tego najbardziej uprzemysłowionego i zurbanizowanego. Województwo opolskie utraciło na rzecz katowickiego powiat raciborski oraz część powiatu oleskiego na rzecz częstochowskiego.

Do nowopowstałego woj. bielskiego włączono Oświęcim, Wadowice i Żywiec, poszerzając tym samym historyczny obszar Górnego Śląska.

Podział ten utrzymał się 23 lata i o mało nie zakończył się zlikwidowaniem woj. opolskiego, którego istnienia kolejna reforma administracyjna kraju nie przewidywała. Jednakże mocna aktywność Obywatelskiego Komitetu Obrony Opolszczyzny ostatecznie przesądziła, iż w ustawie z 4 lipca 1998 roku na mapie administracyjnej znalazło się 16 województw, w tym dwa górnośląskie: śląskie (z siedzibą władz w Katowicach) oraz opolskie (z władzami w Opolu).

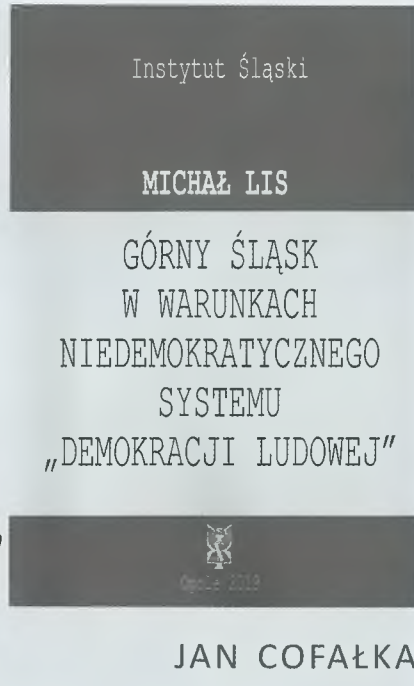
W drugim rozdziale Autor z właściwą sobie starannością analizuje skomplikowany, do dziś ciągle żywy problem kształtowania się społeczeństwa na Górnym Śląsku po II wojnie światowej. Po ucieczce, a potem wysiedle-

# Górny Śląsk w systemie „demokracji ludowej”

KSIAŻKI

niu ludności niemieckiej, wkroczeniu Armii Czerwonej, której żołnierze szukali tu zemsty na Niemcach, nie rozróżniając ich od autochtonicznej ludności, przy tym wywoząc tysiące Ślązaków jako Niemców, w głąb Rosji. Nowe zaś władze poddały autochtonów weryfikacji mającej dowodzić polskości tych ziem, by następnie polonizować Ślązaków. W tym czasie na Górny Śląsk wlała się masa ludności napływowej, tzw. „przygnanych” – jak ich określa prof. Michał Lis. Większość z nich przybyła z dawnych Kresów Rzeczypospolitej i długo była przekonana, iż znalazła się tu tymczasowo, dlatego nazwano ich „pokoleniem nierozpakowanych”. Z czasem, przy staraniach Polski o znormalizowanie stosunków z NRF pojawił się problem żyjących tam krewnych i umożliwienia ich odwiedzin, co w konsekwencji doprowadziło do tzw. akcji łączenia rodzin. Akcja ta (nie bez prawnej zachęty w konstytucji RFN i oraz polskiego zabiegania o niemieckie kredyty) wywołała przyznawanie się wielu Ślązaków, niezadowolonych z tzw. polskich porządków i poziomu życia, do opcji niemieckiej. Otworzyło to z kolei drogę do rejestracji mniejszości niemieckiej w Polsce o znaczących wpływach szczególnie na Opolszczyźnie. Z drugiej strony zrodził się ruch dążący do autonomii Śląska oraz Związek Górnośląski i szereg inicjatyw domagających się uznania gwary śląskiej jako samodzielnego języka.

Trzecią część tej poznańczo-edukacyjnej książki prof. Michał Lis poświęca różnym aspektom ekonomicznego i społeczno-politycznego statusu i funkcjonowania regionu górnośląskiego w systemie realnego socjalizmu, po scentralizowaniu i upaństwowieniu przemysłu i handlu oraz reformie rolnej. Górny Śląsk był największym ośrodkiem gospodarczym, z górnictwem i hutnictwem pracującym na rzecz powojennej odbudowy Polski. Region ten nie tylko był najbardziej uprzemysłowioną częścią kraju lecz cechował się wysokim poziomem kultu-



ry pracy i rolnictwa, z coraz mniej spełnianym marzeniem, że żyjący tu mieszkańcy są rzeczywiście u siebie i pracują dla siebie.

Prof. Michał Lis nie byłby sobą gdyby zakończenia tej książki o Górnym Śląsku w PRL, nie osadził w klimacie tamtych czasów. Czasów cenzurowania bez mała wszystkiego co się dało i decydowania władz za obywateli. Otrzymujemy więc od Autora niespodziewany bonus, w postaci przykładów humoru, jaki towarzyszył tamtym czasom, poczynając od ośmieszania zachowania przybywających czerwonooarmistów, a potem pocynań i wymysłów tzw. władzy ludowej. Rychło okazało się, że bezsilni wobec przemocy władz obywatele dysponowali ważnym orężem jej ośmieszania w postaci dowcipu politycznego, za który trafiało się nawet do więzienia. To jednak nie odstraszało twórców i opowiadaczy przeróżnych wiców, bo humor zawsze stanowił ważny element w życiu Ślązaków. Śląsk miał w tym duże tradycje jeszcze z czasów walki z germanizacją, więc także w PRL był kopalnią różnorodnych dowcipów. Autor bowiem uważa, że także dla historyka, humor stanowi źródło dokumentujące badanie przeszłości, do tego tak powikłanej jak ta z jaką przyszło tu żyć w czasach PRL-u.

Kończąc zachwalanie tej ważnej książki prof. M. Lisa, z zalem zauważam, że tego typu wartościowe dzieła, wydawane są w ledwie zauważalnych nakładach. Trudno jest więc je zdobyć, choć znacząco wzbogacają naszą wiedzę o minionych, nie zawsze najszcześliwszych i wesołych czasach na Górnym Śląsku. ■

Michał Lis: *Górny Śląsk w warunkach niedemokratycznego systemu „demokracji ludowej”*. Instytut Śląski, Opole 2019, 173 s.



# Śląskie wątki u polskiego germanofila

ALOJZY CZECH

Ukazała się niedawno obszerna biografia Władysława Studnickiego (1867–1953) autorstwa Piotra Zychowicza trafnie zatytułowana *Germanofil* (Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2020). Już zdążyła wywołać skrajnie odmienne reakcje i recenzje: od entuzjastycznych (*Studnicki polityczny wizjoner*, „Ślůnski Cajtung”, nr 8/2020, s. 7) po dyskredytujące, a nawet obraźliwe (*Szmkowanie świni*, „Gazeta Wyborcza” nr 40/2020 z dnia 10 października, dodatek „Ale Historia”, s. 7). Jakkolwiek inspirowany tą edycją, nie zamierzam przedkładać kolejnej opinii w temacie głównym, choć nie wątpię, że takie jeszcze będą, ale odnieść się tylko do znajdującego się tam wątku śląskiego, uzupełniając go o nieobecny w książce szczegół związany z tworzącym się ośrodkiem akademickim w Katowicach. Zresztą niewykluczone, iż ta drobna sprawa znalazła się w pełnej monografii, ale – jak zaznacza autor (s. 590) – musiał dla dobra Czytelnika skrócić narrację o połowę, licząc, że może w przyszłości będzie możliwa edycja kompletna. Tak więc gros książki zajmuje sprawa ratowania narodu polskiego, czy – jak chcą inni – kolaboracji w latach hitlerowskiej okupacji, zaś wcześniejsze działania budzącego zróżnicowaną recepcję polityka i publicyści zostały okrojone.

Obserwujący z perspektywy wileńskiej śląskie sprawy Studnicki zabrał głos w kwestii utworzenia uczelni wyższej na Śląsku. Bardzo za nią optował. Ale widział ją inaczej niż przelewająca się w latach 1929–1930 przez Śląsk fala dyskusji o założeniu politechniki w Katowicach. Głosy środowisk były spolaryzowane, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz Śląska. Pobrzmiwał mocny głos negatywny uczelni małopolskich, Politechniki Lwowskiej i Akademii Górniczej, obawiających się konkurencji uczelni z regionu, który je znacząco finansowo zasilał. Politechnika Warszawska przeciwnie, w osobie rektora prof. Ludwika Szperla przesłała nawet gotowy program kształcenia dla przyszłej uczelni. Co ważniejsze w tej kwestii, także techniczna społeczność śląska była tak samo podzielona. Byli gorący zwolennicy, byli krytycy projektu, uważający, iż są bardziej istotne społeczne potrzeby, a nie wydawanie kwot na kształcenie inżynierów, których i tak jest nadmiar. Były to początkowe miesiące wielkiego kryzysu.

Studnicki skierował uwagę na inny aspekt, w sporach nie poruszany. Z kształcenia inżynierów przeniósł go na problem edukacji ekonomicznej. Jak pisał, „myśl ekonomiczna Polski nie ogarnęła należycie Śląska, myśl ekonomiczna Śląska nie ogarnia Polski”, postulując założenie w Katowicach czegoś w rodzaju „Szkoły Nauk Eko-

nomicznych i Handlowych”. Taki był tytuł artykułu, który ogłoszony został w „Górnośląskich Wiadomościach Gospodarczych” (1930, nr 12). Edukacja techniczna na poziomie wyższym nie była – jego zdaniem – problemem krytycznym dla regionu ani pilnym. Zarówno bowiem przemysł śląski da sobie radę, wykorzystując obecną kadrą inżynierską, jak i istniejące politechniki nie cierpią na nadmiar kadr, przeciwnie – borykają się z licznymi niedoborami, *vacatami* na katedrach. Natomiast pierwszoplanowym zadaniem jest wytworzenie świadomości silniejszych związków gospodarczych najbogatszej dzielnicy nie tylko z resztą kraju, ale z jej miejscem w Europie Środkowej. Choć tego się nie rozwiąże od razu, to krokiem w tym kierunku – kordynowania produkcji śląskiej z życiem gospodarczym Polski – będzie właśnie utworzenie placówki kształcącej w ekonomicznym trybie administratorów przeróżnych instytucji wojewódzkich i samorządowych oraz handlowców wielkich przedsiębiorstw śląskich. W odniesieniu do tych pierwszych przytomnie zauważył, iż w latach nasilającego się etatyizmu wykształcenie prawnicze dla urzędników administracji – wystarczające w okresach gospodarki liberalnej – nie wystarczy. Powinno być podbudowane wiedzą ekonomiczną. Istniejące uczelnie handlowe Krakowa, Lwowa, Poznania czy Warszawy diagnozy uwarunkowań gospodarki śląskiej nie wypełnią. Funkcjonują w im właściwym wymiarze intelektualnym, żyją innymi sprawami. Potrzebne jest utworzenie takiej placówki na miejscu, wyposażonej nie tylko w sale wykładowe, ale w specjalistyczną bibliotekę, instytut badawczy oraz pracownię seminaryjne. Ma to być instytucja nauczająca, ale i badawcza.

Kształcenie winno iść w kierunku ekonomiczno-administracyjnym oraz ekonomiczno-handlowym. Bazą wyjściową ma być buchalteria, arytmetyka gospodarcza oraz korespondencja handlowa na równi z towaroznawstwem węgla, hutnictwem, przemysłu chemicznego i maszynowego. Ogólna znajomość zagadnień technicznych jest nieodzowna. Szczególna rola ma przypaść geografii ekonomicznej zorientowanej na związki gospodarki Śląska z Polską i Europą Środkową. Formy zajęć widział elastyczne. Nie tylko tradycyjne wykłady semestralne, ale także wykłady specjalne, trwające np. kilka tygodni i wygłaszane przez zapraszanych ekspertów. Nie widział przeszkód, by jednym z takich gości był prof. Aleksander Brückner (1856–1939), sławista wykładający niegdyś z powodzeniem literaturę polską na Uniwersytecie Berlińskim, przy tym mówca doskonały. W ogóle placówka ta powinna być załącznikiem – pomimo

istniejącej granicy – naukowych spotkań ośrodków Krakowa i Wrocławia. To akurat okazało się niewykonalne.

Tu trzeba wrócić do fragmentu biografii Studnickiego z lat 1930–1932. Z krytyczną uwagą cenzurował on wtedy postępowanie wojewody Michała Grażyńskiego (1890–1965), poczynając od niepokoju podczas wyborów parlamentarnych w jesieni 1930 roku. Był to zresztą czas zatrzymań brzeskich. Za stosunek do mniejszości niemieckiej nazywał wojewodę „największym szkodnikiem sprawy polskiej na Śląsku” (s. 117). Mniejszość ta bowiem powinna być przyciągana, a nie traktowana jako element obcy i wrogi. Mniejszość narodowa to „tkanka łączna, a nie czynnik antagonizmu” (tamże), ochrona jej praw jest „przejawem siły moralnej państwa” (tamże), a postępowanie domorsłego „polonizatora” Grażyńskiego, walczącego tymi samymi metodami, z jakimi Hakata zwalczała wpływy polskie w zaborze pruskim, kompromituje kraj w oczach świata. Dowodem były skargi wnoszone na forum Rady Ligi Narodów, często rozstrzygane na niekorzyść Polski i tak za granicą odbierane. Sprawą do zbadania pozostaje, czy w ten sam sposób Studnicki postrzegał także inne mniejszości, ale to już odrębne zagadnienie.

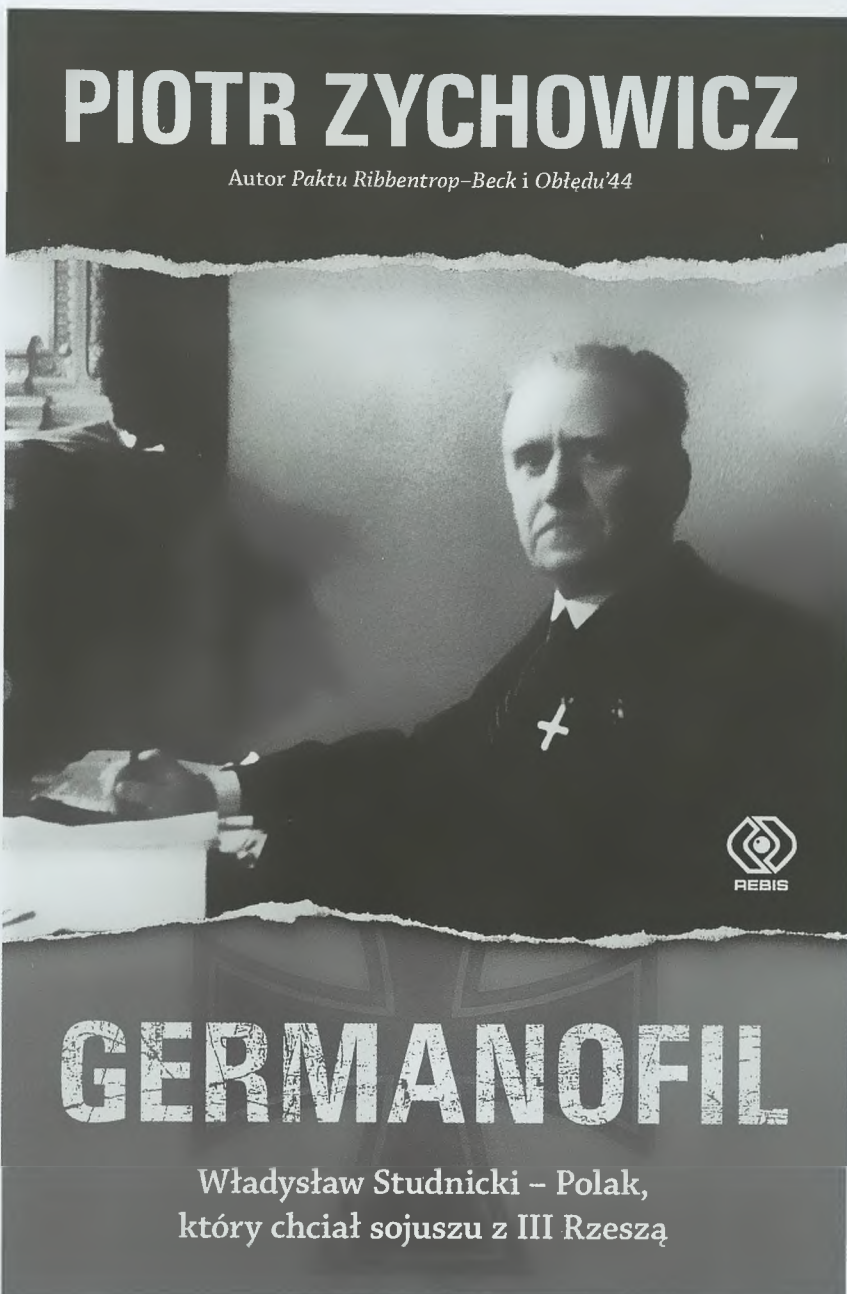
Mocno krytyczna postawa względem jednej ze znaczących postaci rządzącego obozu sanacji nie mogła ująć bezkarnie. W 1932 roku prawnicy wojewody pozwali wileńskiego publicystę o zniesławienie. Na rozprawie Studnicki podtrzymywał swoje stanowisko. Deklarował, iż występuje w interesie Polski, a nie mniejszości niemieckiej. Walka, jaką podjął z wojewodą Grażyńskim, ma na uwadze całość i bezpieczeństwo Polski. Chodzi o jej dobre imię, „o to, by nie siedziała na ławie oskarżonych w Genewie. Wolę sam siedzieć na ławie oskarżonych w Warszawie” (s. 118) – kończył własną mowę obrończą. Sąd – poddawany naciskom – był w trudnej sytuacji, ale wy daje się, iż starał się wyjść z twarzą. W ówczesnej sytuacji politycznej wyrok „musiał” być skazujący: opiewał na 3 miesiące pozbawienia wolności oraz koszty sądowe w wysokości 5 zł. Ale zaraz w orzeczeniu ogłoszono, iż w świetle amnestii kara zostaje darowana.

Po takich przejściach z całą pewnością na terenie województwa rządzonego przez Grażyńskiego, Studnicki był *persona non grata*. Ale – paradoksalnie – przynajmniej w głównym zarysie, naszkicowana przed laty koncepcja szkoły ekonomicznej w Katowicach się zmaterializowała. Na ile była kontynuacją, a na ile osobnym projektem, podążającym tym samym tropem, nie spo-



sób już chyba odpowiedzieć. Uczelnia ekonomiczna powstała w 1936 roku. Jakkolwiek prywatna, była tworem wyższej kadry urzędniczej Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego, wspartej prominentnymi menedżerami miejscowego przemysłu. Rola dwóch postaci w jej utworzeniu zasługuje na szczególne podkreślenie. Jednym z nich był przyszły rektor uczelni, wtedy skromny wizytator szkolnictwa zawodowego Wydziału Oświecenia Publicznego dr Józef Lisak (1902–1984), który wystąpił z projektem całkiem zbliżonym do naszkicowanego w artykule Studnickiego sprzed 5 lat, oczywiście w szczegółach ciągle dopracowywanego. Trudno też rozstrzygnąć, czy Lisak znał artykuł Studnickiego. Przeniósł się do Katowic zaledwie rok wcześniej. Drugim – naczelnik tegoż Wydziału, dr Tadeusz Kupczyński (1885–1967), który odważył się sprawę ruszyć z miejsca i z powodzeniem sfinalizować, zwłaszcza prowadząc rozmowy z niechętnym Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, bez którego akceptacji placówka nie mogła zaistnieć. Jak wiadomo, utworzone zostało Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych z Wydziałem Organizacji Przemysłowej, kształcącym w myśl wizji Studnickiego średnią kadrę kierowniczą dla śląskiego przemysłu oraz Wydziałem Administracji Publicznej (od 1938 roku) zorientowanym na dostarczanie kadr urzędniczych dla miejscowych urzędów, samorządów, sądownictwa, ubezpieczalni, kolei, poczty, banków, itd. Uczelnia powstała zbyt późno, by spełnić pokładane w niej nadzieje. Wojna i okupacja przerwały jej tak bardzo wpisane w potrzeby regionu funkcjonowanie. Odtworzona szybko po wojnie, rozwijała się dynamicznie, ale nie zawsze w zgodzie z przyjętymi podczas jej tworzenia założeniami metodycznymi. Świetnie radzący sobie Wydział Administracji Publicznej został z chwilą upaństwowienia Studium w 1948 roku poddany likwidacji, a Wydział Organizacji Przemysłowej o oryginalnej tzw. indukcyjnej ścieżce kształcenia, nazywany przed wojną nieco może na wyrost *school of business*, zatracił swoją specyfikę i koloryt.

Jedną jeszcze sprawą pozostaje do postawienia: jaki był udział wszechwładnego wojewody w powstaniu tej uczelni? Na zebranie konstytuujące w listopadzie 1936 roku nie przybył, mimo że zaproszenia za jego zgodą i z jego podpisem zostały rozesłane. Poleciał służbowo do Warszawy. Krążyła plotka, iż kilka dni wcześniej widział pod jego gabinetem rektora Wyższego Studium Handlowego w Krakowie, który przecież nie przyjechał po to, by popierać pomysł utworzenia w sąsiedztwie jednak pewnej konkurencji. A skądinąd wiadomo, iż Grażyński nie wykonał żadnego posunięcia, które godziłoby w interesy krakowskich instytucji. Z drugiej strony w opublikowanych na emigracji wspomnieniach dr Marek St. Korowicz (1903–1964), jeden z najbliższych współpracowników



Grażyńskiego, jednoznacznie zaświadczał, iż to wojewoda osobiście pilnował swych prawników, by śpieszyli się z przygotowaniem statutu. Towarzystwo, będące właścicielem Studium, szybko wpisał do rejestru, przyjął przewodzenie Kuratorium dla Studium, nakazał przydzielić lokum w gmachu Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych. Słowem, powstanie placówki przypisać należy jego zaangażowaniu. Faktem jest, iż w publikowanych sprawozdaniach z wykonania budżetu województwa („Sprawy szkolne na Śląsku”, 1938, nr 1–2) z satysfakcją podkreślał nieoczekiwane szybki wzrost frekwencji słuchaczy. Ale zarazem wkład w wyposażenie uczelni ze strony urzędowej był dramatycznie niski w porównaniu np. z dotacjami przekazywanymi Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie na kontynuowanie prac nad szeroko ujmowaną historią Śląska. Ambwalencja w tej drobnej sprawie nie poddaje się do dziś rozwianiu; monografie poświę-

cone postaci i działalności Grażyńskiego (Henryka Rechowicza, Wandy Musialik, Jana Łączewskiego i innych), co zrozumiałe, w tak drobnej kwestii się nie wypowiadają.

Losami powstałego w końcu lat 30. Studium Studnicki już się nie interesował. Po przenosinach do Warszawy zajął się krytyką etatystycznej polityki prezydenta Starzyńskiego (s. 119–120). Wojewoda Grażyński aż do września 1939 wcielał w życie swoją wizję polityki gospodarczej, m.in. przejmując i polonizując koncerny ciężkiego przemysłu. Pomocy z założonej za jego wiedzą uczelni raczej nie otrzymywał, jakkolwiek nowy wątlutki na razie ośrodek intelektualny w mieście pozbawionym tradycji akademickich zaistniał. Historia dopisała własny, przewrotny epilog. W latach powojennych obydwa adwersarze znaleźli się w Londynie, wiodąc gorzki żywot emigranta mimo woli. Nie przypuszczam, by się spotkali, jakkolwiek o sobie pewnie wiedzieli.



Janina Barbara  
Sokołowska  
*Wiersze na przemiał*



Janina Barbara Sokołowska, *Wiersze na przemiał*. Wydawca: „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.

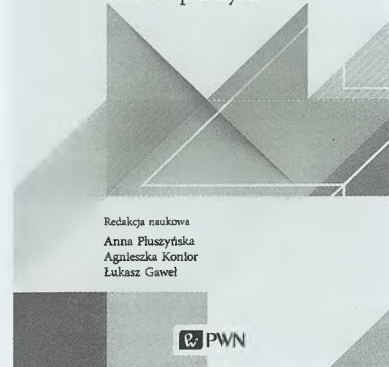
Mirosław Bogdan  
*Kolegiata w Mons  
a dziedzictwo gotyku*  
architektura / ołtarz / sztuka stosowana  
*La collégiale de Mons  
et l'héritage du gothique*  
l'architecture / l'autel / l'art appliqué



Mirosław Bogdan, *Kolegiata w Mons a dziedzictwo gotyku. Architektura, ołtarz, sztuka stosowana*. Wydawca: „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.

Zarządzanie  
w kulturze

Teoria i praktyka



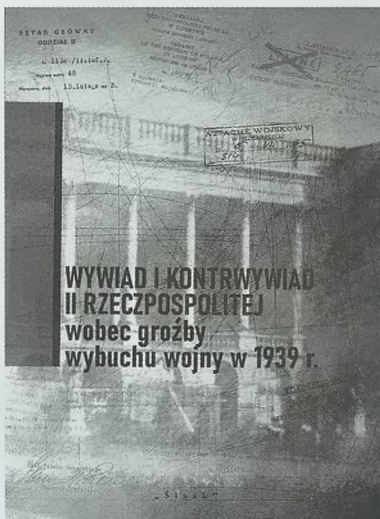
Anna Pluszyńska, Agnieszka Konior, Łukasz Gaweł – Redakcja Naukowa. *Zarządzanie w kulturze. Teoria i praktyka*. Wydawca: Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2020.

JULIO  
CORTÁZAR  
POWRACAJĄCA CEREMONIA  
CEREMONIA RECURRENTE



Julio Cortázar, *Powracająca ceremonia. Ceremonia recurrenente*. Wydawca: Biblioteka Śląska, Katowice 2020.

WYWIAD I KONTRWYWIAD  
II RZECZPOSPOLITEJ  
wobec groźby  
wybuchu wojny w 1939 r.



*Wywiad i kontrwywiad II Rzeczypospolitej wobec groźby wybuchu wojny 1939*. Pod redakcją Dariusza Gregorzcyka. Wydawca: „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.

Lesław Nowara

OŚĆ  
WIELORYBA

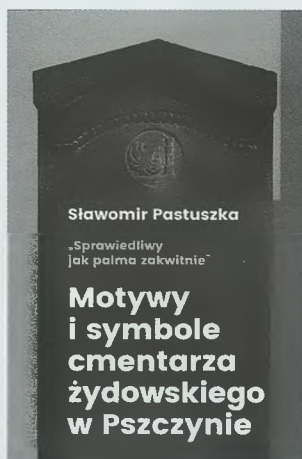


Lesław Nowara, *Ość Wieloryba*. Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Kraków 2020.

Sławomir Pastuszka

„Sprawiedliwy  
jak palma zakwitnie”

Motywy  
i symbole  
cmentarza  
żydowskiego  
w Pszczynie



Sławomir Pastuszka, „Sprawiedliwy jak Palma zakwitnie”. *Motywy i symbole cmentarza żydowskiego w Pszczynie*. Wydawca: Urząd Miejski w Pszczynie, Pszczyna 2020.

Krzysztof Budziakowski

Choć nasze łodzie przeciekają...  
notatki lipnickie



Krzysztof Budziakowski, *Choć nasze łodzie przeciekają... Notatki lipnickie*. Wydawca: Biblioteka „Toposu”, Sopot 2020.

O ŚLĄSKU I PO ŚLĄSKU



*O Śląsku i po Śląsku. Wybór materiałów z Powiatowych Konferencji dla bibliotekarzy, nauczycieli i regionalistów pod Honorowym Patronatem Starosty Gliwickiego*. Wydawca: Powiatowa Biblioteka Publiczna w Gliwicach, Pyskowice 2018.





Instytut Myśli Polskiej  
Wojciecha Korfanteego

29 września Erich Ludendorff – faktyczny dowódca armii niemieckiej oświadczył cesarzowi Niemiec Wilhelmowi II i premierowi, że armia niemiecka nie jest w stanie dłużej walczyć i trzeba natychmiast poprosić o zawieszenie broni. Przez kolejny miesiąc obok działań wojennych toczyły się negocjacje między rządem niemieckim a państwami Ententy. W Niemczech panował głód, narastała rewolucja. Najpierw zbuntowali się marynarze w Kilonii, potem żołnierze, a w końcu i robotnicy z wielkich fabryk. Wszyscy żądali zakończenia wojny, abdykacji cesarza i ukroczenia wszechwładzy armii. Abdykacja cesarza była też warunkiem państw Ententy, co do zarwania zawieszenia broni. Socjalistyczny rząd Niemiec, chcąc zapanować nad zbierającą w siłę rewolucją z dniem 9 listopada ogłosił koniec Cesarstwa Niemieckiego i początek republiki.

W listopadzie 1918 roku rewolucja niemiecka zastała Wojciecha Korfanteego w Berlinie. Zaskoczyła go. Jak wspominał rankiem 9 listopada gdy ze swojego mieszkania niedaleko Kaiser – Wilhelm-Gedachtniskirche, dojechał do Reichstagu, wielu parlamentarzystów było przekonanych, że robotnicy nie wystąpią przeciwko cesarzowi. Minęły jednak trzy godziny, gdy do siedzącego w parlamentarnej kawiarni Korfanteego doszła wiadomość, że Wilhelm II rzekł się tronu na rzecz *Kronprinza*. Podekscytowany jeden z przywódców socjaldemokracji Philip Scheideman, wpadł na salę z okrzykiem: „Ida, Ida!”. Korfanty razem z innymi posłami wybiegł na balkon, gdzie spodziewał się ujrzeć tłumy robotników przed parlamentem, ale tłumów nie było. Tak wspominał to wydarzenie po latach: „Spoglądam na plac i doznaje rozczarowania. Na obrzonym placu, tuż przy portalu parlamentu i na jego schodach, widzę jakie 4 do 5 tysięcy robotników z nielicznymi czerwonymi sztandarami, którzy przybyli z zakładów uzbrojenia w Szpandawie”. To oni mieli być świadkami końca cesarstwa. Do nich zwrócił się z balkonu parlamentu Scheideman mówiąc wojna skończona, daremne były ofiary z krwi, życia i mienia, mordowanie ludzi ustaje. Nie słuchano naszych rad, wojna przegrana, ale w dniu dzisiejszym naród niemiecki odniósł największe zwycięstwo – nad sobą Cesarz abdykował, nich żyje republika”. Gdy po południu Korfanty wrócił do domu, to w zachodniej dzielnicy Berlina, w której mieszkał, panował spokój i nikt nie widział o wydarzeniach rewolucyjnych, które dokonywały się w centrum miasta.

Następnego dnia Korfanty był w Reichstagu, gdzie potkał min. socjaldemokratę posła Alberta Sudekuma, który miał przyczepioną „dużą wstęgę czerwoną w butonierce”. Odciął mu bez ceremonii kawał wstęgi i udekorował się „w kolor panującego kierunku”. Korfanty znalazł czoło-

# Listopad 1918. Kilka dni z życia Wojciecha Korfanteego

ZYGMUNT WOŹNICZKA

wych przywódców trzech nurtów ideowo-politycznych niemieckiej socjaldemokracji: Philipa Scheidemanna, Karola Liebknechta, a przyjaźnił się z Hugonem Haasym. Dzięki tym znajomościom otrzymał „rewolucyjny paszport dyplomatyczny”. Był on w formie poświadczenia na wielkim pięknym papierze w na którym napisano, że Korfanty jest dostojnikiem Wielkiej Rady Żołnierzy i Robotników. Dla pewności kazał go sobie podpisać, przez Scheidemanna i Liebknechta. Jak wspominał po latach: „Cyrograf ten otwierał mi wszystkie drzwi, każdy szofer stawał przede mną w baczność i wiozł mnie gdzie chciałem”. Jak pisał Marian Orzechowski: Korfanty nie wrożył rewolucji niemieckiej długiego żywota, nie był jej uczestnikiem, a obserwował ją z boku. To nie były jego sprawy. Jego pochłaniała odradzająca się Polska. Chciał wyjechać z Berlina do Poznania z całą rodziną, ale tutaj były trudności, bowiem nie było środków transportu. Dopiero po paru dniach od wybuchu rewolucji udało się Korfantomu dzięki znajomościom zdobyć bilety na pociąg do Poznania, dla siebie i swojej rodziny. Jako parlamentarzysta Reichstagu miał darmowy przejazd w wagonie pierwszej klasy. 11 listopada rodzina Korfantych pakuje się i opuszcza na zawsze swoje mieszkanie przy Eislebenstrasse 8 w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg. Jak pisał: „Na kolei istny sądny dzień. Ludzi jak mrowia. Walka o miejsca w pociągu przybrała wprost groteskowe formy. Uciekali ludzie z Berlina i ci co się bali, i na prowincji spokoju i chleba się spodziewali, i rewolucjoniści, co jechali robić ruch na wschodzie, i żołnierze, którzy opuścili szeregi i wracali na łono rodziny. Rozmowy toczyły się oczywiście wyłącznie na temat rewolucji i głodu”. W czasie jazdy pociągiem pomiędzy Berlinem a Frankfurt nad Odrą w pociągu pojawili się rewolucyjni żołnierze jako kontrolerzy. „Chodzili parami, zawsze marynarz w towarzystwie piechura. Dbali nie tylko o porządek, ale spełniali kontrole wcale nie gorzej od wilhelmskich żandarmów. Postawa, zachowanie i gesty jedne i te same”. Widząc „paszport” wystawiony przez przywódców rewolucji berlińskiej dla Korfanteo zasalutowali biorąc go za ważną osobę. Natomiast żołnierz, który miał bilet na trzecią klasę, a jechał pierwszą wyrzucił.

Po przyjeździe do Poznania prosto z pociągu Korfanty udał się do hotelu Bazar, gdzie mieściła się siedziba kierownictwa polskich organizacji politycznych. Korfanty spotyka się z niektórymi posłami polskimi z Reichstagu, którzy przybili tutaj z Berlina wcześniej od niego. Jednak tu, w Poznaniu, to on był prawdziwą gwiazdą. Tymczasem sytuacja była poważna, bowiem 9 listopada 1918 roku dotarła do Poznania fala rewolucyjna i faktyczną władzę w mieście przejęła stworzona na wzór sowiecki Rada Żołnierska. Rewolucyjna

burza, miała wojskową barwę i niemiecki charakter, żołnierze z czerwonymi opaskami na rękawach, opuściwszy koszary, z całą mocą obrócili się przeciwko swoim dotychczasowym dowódcom. Rozgardiasz panujący w mieście dał o sobie znać zwłaszcza 11 listopada 1918 roku – na wieść o podpisaniu układu rozejmowego w Compiègne pomiędzy Ententą i Niemcami.

12 listopada 1918 roku władzę przejęli działacze wyłonionej z Centralnego Komitetu Obywatelskiego – Naczelnej Rady Ludowej. Była ona zdominowana przez endecję. Powołała ona komisariat wykonawczy w skład którego weszli: Książd Stanisław Adamski, Adam Poszwiński i Wojciech Korfanty. Tego samego dnia w prywatnym mieszkaniu odbyło się posiedzenie Naczelnej Rady Ludowej. W czasie jego trwania weszli żołnierze z rady rewolucyjnej z komisarzem pruskiej policji. Zebranie uratował Korfanty, bowiem zarządał do komisarza nakazu prokuratora, a do towarzyszących mu żołnierzy zwrócił się ze „znakomicie skomponowanym, krasomówczym wywodem po niemiecku”. Nieproszeni goście wyszli.

Nazajutrz, w sali Bazaru odbył się wielki wiec. Wystąpił tam Korfanty. Powiadomił o powołaniu Naczelnej Rady Ludowej. Przy pełnej sali mówił: „Przed naszymi oczyma rodzi się wolna i niepodległa Rzeczypospolita, słyszymy potężny szum skrzydeł orla białego. Polska odradzająca się chce budować na fundamentach starych tradycji Jagiellonów, fundamentach poszanowania sąsiada. (...) Polska niepodległa i wolna, która teraz się rodzi, pomna swej tradycji, nigdy nie podniesie ręki na wolność innych narodów, zwłaszcza narodu niemieckiego, któremu nawet chętnie dopomóżę do utrzymania wolności, o którą obecnie walczy. Polska oparta będzie na szerokich warstwach ludności. Padli już ci, którzy rękę na Polskę podnieśli, zginęli wszyscy trzej, a naród polski żyje! (...) Nie taką będzie Polska, jak ją przedstawiają wrogowie jej, którzy ją zozydają. Polska będzie Polską chłopów, rzemieślników, robotników i ludu wszelkiego stanu...”. Godzinną mowę zakończył okrzykiem: „Wolna Polska z dostępem do morza niech żyje! Niech żyje Górny Śląsk!” Po zakończeniu mowy tłum wiwatował wznosząc okrzyki: „Niech żyje Korfanty! Niech żyje Naród Polski! Niech żyje Górny Śląsk!”

Korzystałem:

„Polonia 1928, nr 313 (11 listopada); 1928, nr 355 (35 grudnia);

„Postęp” 1918, nr 263;

Józef Krzyk, Barbara Szmatoch: *Korfanty Silna Bestia*, Katowice 2020;

Jan E. Lewandowski: *Wojciech Korfanty*, Warszawa 2013;

Marian Orzechowski: *Wojciech Korfanty, Biografia polityczna*, Wrocław 1975.



# O twórczości Ernesta Zawady

STEFAN GIEROWSKI

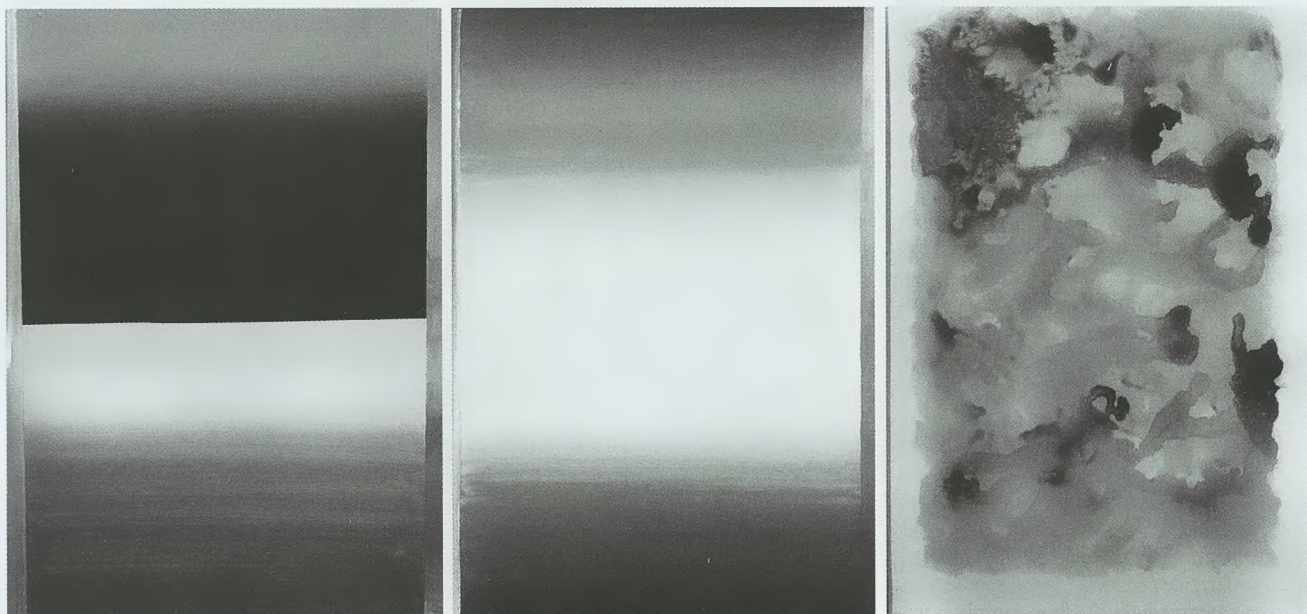
## Fragmety recenzji prof. Stefana Gierowskiego (ASP Warszawa)

Malarstwo Ernesta Zawady wywodzi się z tego nurtu w sztuce, który przy najmniejszej ilości elementów pragnie ujawnić najwięcej energii utajonych w kolorze. To co osobiste i odkrywcze wynika z wrażliwości kolorystycznej, trafności zestawień barwnych oraz traktowania planów przestrzeni. Jest to malarstwo zawsze z odbiorem barw do-

tykającym praw optyki i psychologii widzenia, ale równocześnie w swym skupieniu pełne energii i treści sięgających do odczuć niewyraźalnych, do uprzedmiotowienia, które można wyrazić tylko abstrakcyjnym konkretem działania koloru. Ernest Zawada jest artystą, który w dzisiejszych powikłaniach sztuki i kultury nie miał problemu w odnalezieniu swojej osobistej drogi –malarza. ■



foto: arch.



**Ernest Zawada** – urodzony w 1971 roku w Cieszynie. Studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Dyplom z wyróżnieniem w pracowni prof. Stefana Gierowskiego i doc. Krzysztofa Wyznera (1995). Drukrotny stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (1995, 2007). W roku 2008 uzyskał stopień doktora habilitowanego sztuki, a w 2009 roku tytuł profesora nadzwyczajnego. 11 maja 2020 roku decyzją Prezydenta RP uzyskał tytuł profesora sztuki. Autor 80 wystaw indywidualnych. Dotychczas brał udział w 93 wystawach zbiorowych. Wystawiał m.in. w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Izraelu (Acco), Niemczech, Włoszech (Rzym), Węgrzech (Budapeszt), Ukrainie, Czechach, Słowacji i Brukseli, Wielkiej Brytanii z artystami tej miary co Igor Mitoraj, Ad Reinhard, Istvan Haasz, Jo Kun, Dominique Chapuis. Jego malarstwo reprodukowano w albumie wydanym przez Galerię Prezydencką w Warszawie obok prac zniamienionych malarzy takich jak: Jerzy Nowosielski, Stefan Gierowski, Jan Tarasin, Henryk Stażewski, Władysław Hasiór, Jerzy Tchórzewski, Rajmund Ziemiński i innych. Prezentował prace podczas kolejnych edycji Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Ulicy w Warszawie oraz Festiwalu Karuzela Cooltura (obok Franciszka Starowieyskiego). Autor książki *Nauka rysunku-ucz się od polskich mistrzów* (Wydawnictwo PWN) oraz licznych artykułów pokonferencyjnych (międzynarodowe konferencje metodyczne dotyczące kształcenia plastycznego). Zajmuje się malarstwem sztalugowym, grafiką warsztatową, rzeźbą i instalacją. Jest autorem happeningów w przestrzeni publicznej. Aktualnie pełni funkcję kuratora Galerii Akademickiej ATH w Bielsku-Białej. Jego prace znajdują się w kolekcjach muzealnych (Acco-Izrael, Watykan, Bielsko-Biała) oraz prywatnych w kraju i na świecie (m.in. kolekcja Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego), pracownik naukowy w Instytucie Pedagogiki Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Współpracuje z ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą (Uniwersytet w Ostrawie).



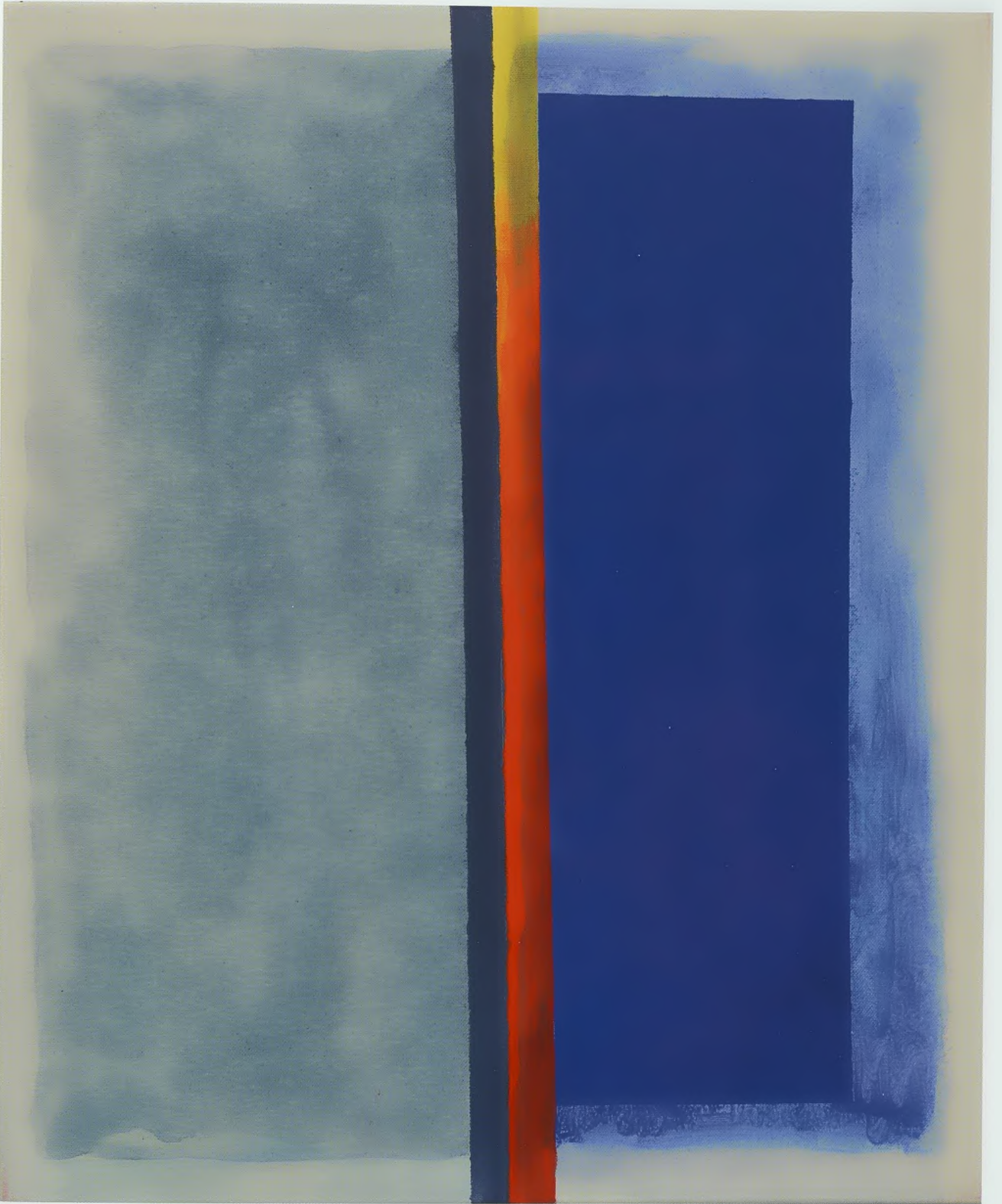






*Aut. Ernest Zawada*





*Aut. Ernest Zawada*







## Strzeż się tych miejsc

WOJCIECH LIPOWSKI

Czy można opisać miasto i jego ciemne rejon? Dotrzeć do ulic, dzielnic, gdzie wybrani mają odwagę zapuszczać się w dzień, a nieliczni w nocy. Zakazanych posesji, domów, w których mieszkają ludzie żyjący pod osłoną mroku, bo wtedy nie widać czym się zajmują, jakie życie prowadzą i kim są naprawdę. Jest to możliwe. Taki świat, ukryte podziemie kryminalne Warszawy, opisał w kultowej książce Leopold Tyrmand, a było to w 1955 roku, gdy ukazała się bodaj najgroźniejsza powieść tamtego czasu *Zły*. Czytali ją wszyscy, mimo że nie było to dzieło o wysokich walorach artystycznych, ale trafiło do mas, które na co dzień karmiono literaturą socrealistyczną wydawaną w wysokich nakładach, poza tym udało się w niej przemyścić krytykę powojennych porządków, niektórzy dopatrywali się tam zwiastunów niedalekiej odwilży. Powieść zniknęła z księgarń i zaczęła swe podziemne życie w niezliczonych, nielegalnych kopiach, odpisach, a w końcu drugim obiegu wydawniczym.

Sam Tyrmand, niezwykle elegancki człowiek, którego manieri i strój kontrastowały ze zgrzebną warszawską rzeczywistością stał się ikoną swojego czasu. Trochę szkoda, że obecnie częściej mówi się o kolorowych bikiniarskich strojach, pionierskich działaniach lidera ruchu jazzowego niż o jego dokonaniach literackich, ale po 65 latach

od publikacji tego kryminału jest to literatura wciąż otwarta na nowe spotkania z czytelnikiem i to jeszcze w oficjalnym Roku Tyrmanda, gdy obchodzimy 100. rocznicę jego urodzin. I pomyśleć, że przed napisaniem powieści notował rozgoryczony na kartach *Dziennika 1954*: „Mam blisko trzydzieści czterech lat i gniję. Jestem pisarzem, któremu nie wydają książki, publicystą nie drukującym artykułów, dziennikarzem nie mającym wstępu do żadnej redakcji. Nikt nie chce ode mnie scenariuszy, nie błyszczę, nie bywam, nie mam rangi, nie stoję na szczelbie. Po prostu nie ma mnie. Wszystko dlatego, że chcę w moim kraju żyć, myśleć i pracować tak, jak uważam za słuszne. Za to płacę nieprawidłowością istnienia i zakazem rozwoju”. Pisanie dziennika i złą passę, która w końcu doprowadziła pisarza do emigracji w marcu 1965 roku, przerwała na kilka lat propozycja wydawnictwa Czytelnik, którą przyjął tworząc swój największy bestseller.

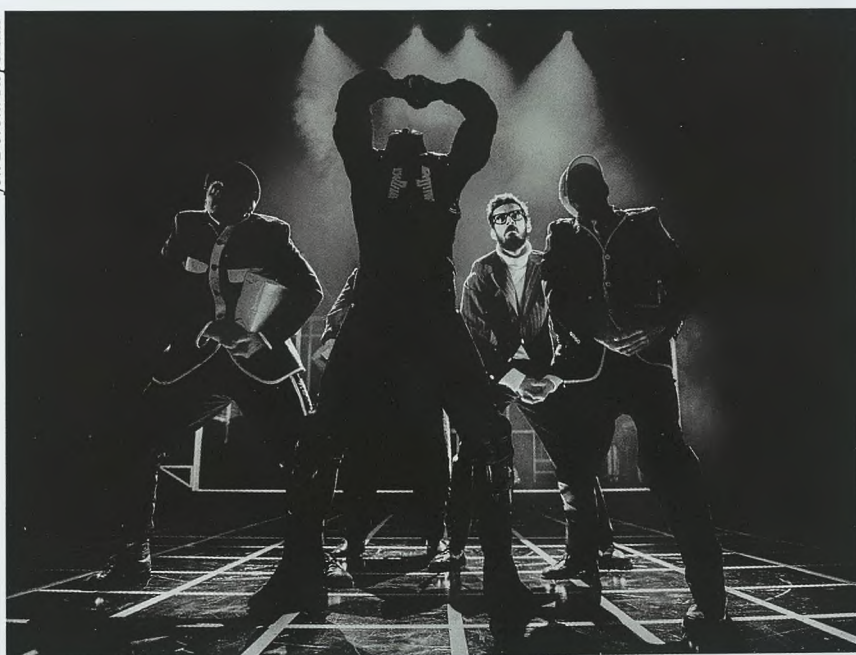
Okazało się, że powieść może stać się inspiracją dla teatru. To bardzo interesujące, bo chyba obecnie *Zły* czytany i zapoznany jest przez nielicznych. Mimo to Teatr Polski w Bielsku-Białej przygotował adaptację sceniczną tego utworu w reżyserii Piotra Ratajczaka oraz adaptacji Joanny Kowalskiej, która w 57 scenach wybranych z wieloletniej historii zawarła opowieść o war-

szawskim, czy w ogóle miejskim półświatku, jego tajemnicach, postaciach, upiornym życiu.

Portret środowiska pokazanego w tym spektaklu utkany jest nie tylko z postaci pochodzących z miejskiego podziemia, ale również zwykłych mieszkańców, dziennikarzy, przedstawicieli innych profesji uwikłanych w kryminalną intrygę. Pamiętajmy, że Tyrmand opisywał w powieści dźwigającą się z wojennej pożogi Warszawę, jej dzielnice z całym marginesem życia społecznego. Tytułowy Zły, czyli Heniek (grany bardzo dynamicznie, z dystansem przez Rafała Sawickiego), to postać przypominająca komiksowego superbohatera, o którym wszyscy wiedzą, rozmawiają, przezuwają obecność, sławią jego czyny, opiewają walkę ze złem we wszelkiej postaci, czczą. Gdy się pojawia, przychodzi z misją przebudowy świata, po doświadczeniu zła we własnym życiu teraz będzie pomagać innym. Jak w typowym schemacie sensacyjnej fabuły nastąpi zderzenie, konflikt, w tym wypadku z szefem mafii, następnie próba zmiany i podporządkowania środowiska młodych chuliganów. Widać w tym wszystkim niemal od pierwszej sceny grę, wręcz zabawę twórców spektaklu konwencjami, inspiracje figurą bohaterów obrazkowych historii takich jak Batman, Deadpool, czy Sin City. Wszystko zanurzone w niezwykle ekspresjonistycznej scenografii Marcina Chlady, przeciętej sнопami ostrego niczym brzytwa światła, ubrane w bardzo wyraziste kostiumy w realizacji Grupy Mixer. Ten niemal czarno-biały, dokumentarny obraz podkreśla w tym wypadku kto jest najważniejszy na scenie: miasto jako przestrzeń uniwersalna, pełna tajemnic, mroku nieoczywistości, zaludniona niebezpiecznymi postaciami, wypełniona grozą i wszechobecną przemocą.

Autorzy adaptacji we wspomnianym ciągu szybkich scen, dobrze przygotowanych choreograficznie przez Arkadiusza Buszkę, zbudowali pulsujący obraz miejskiego półświatka, którego zdarzenia zostały rozegrane na osi interakcji pomiędzy obrońcą porządku i sprawiedliwości, szeryfem Henkiem a bandą czarnego charakteru, czyli Merynosa/ Kudłatego (w tej roli chyba najlepszy aktor spektaklu Adam Myrczek). Układ poszczególnych epizodów przypomina nieco

fot. Dorota Koperska





fot. Dorota Koperska



spektakl muzyczny, chociaż bielski *Zły* nim nie jest, a dobrej muzyki i tanecznych figur nie brakuje w grze aktorów, szczególną uwagę zwracają w tym kontekście sceny zbiorowe. Ruchoma scena z centralnie umiejscowioną bryłą przypominającą kiosk co rusz zmienia swe przeznaczenie: raz jest pociągiem, w którym jadą ściśnięci pasażerowie, innym razem knajpą, w której rozbrzmiewa jazz, milicyjną celą czy nawet salą szpitalną. Wszystko to sprawia, że widz nie bardzo ma czas na wytchnienie, pauzę, bowiem zaskakiwany jest nie tylko zwrotami akcji, ale też nieustanną przebudową przestrzeni narracji.

Chociaż spektakl Piotra Ratajczaka ma w zasadzie bohatera zbiorowego, siłą rzeczy dominantą charakterologiczną jest warszawski Batman, czyli wspomniany Heniek Nowak. Tutaj nosi bardzo wyraziste białe okulary i robi wszystko, aby nie wychodzić poza ramy postaci, jakie spotykamy w historiach komiksów. *Zły* Sawickiego to postać zupełnie świadomie i celowo przerysowana, momentami ocierająca się o łatwy dydaktyzm, szczególnie tam, gdzie mowa o sprawiedliwości, tłamszeniu przemocy czy przywrócenia w mieście bezpieczeństwa przez kogoś wyjątkowego, oczekiwanego przez wszystkich. Tłem dla tej postaci jest niezwykła, co raz jeszcze podkreśliły, figura niktzemnego i podłego Prezesa, ucieleśnienie doskonałości i okrucieństwa. Myrczek, niczym postać z amerykańskiego filmu noir, zachwyca swobodą w zonglowaniu nastrojami, czaruje cynizmem i beczelnością. Cały zespół aktorski zasługuje na wielkie uznanie. Dawno nie widzieliśmy tak dużej sprawności, dynamiki, lekkości, z jaką aktorzy przymierzają poszczególne role niczym kostiumy, nie zwal-

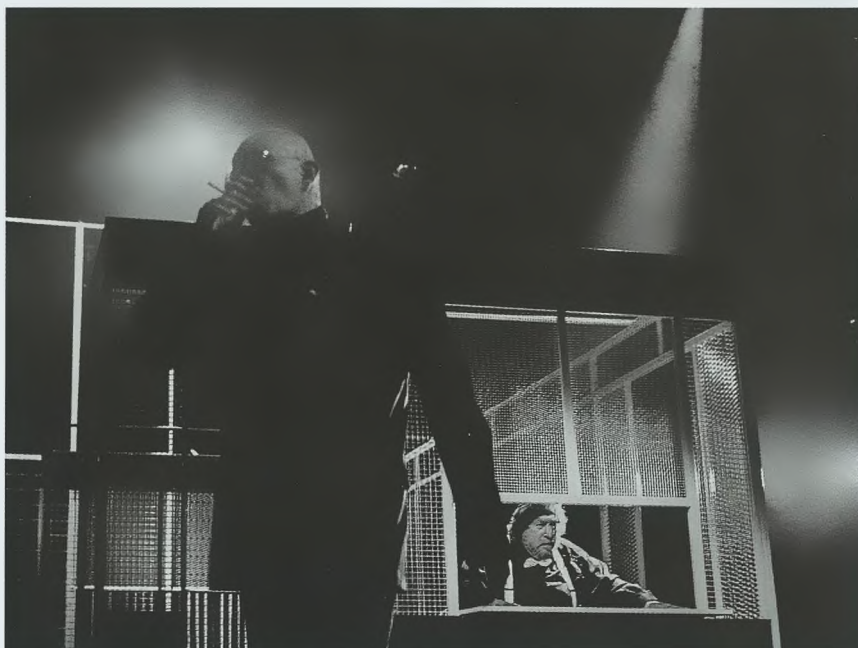
niając przy tym tempa spektaklu, wgrzywając każdy potrzebny w konkretnym miejscu i scenie ton.

Warto również poszukać w tym wszystkim punktu odniesienia. Być może jest nim bohater, którego można by określić mianem obserwatora, porządkującego opowieść o stołecznym gangu zbijającym fortunę na większych lub mniejszych przekrętach w uniwersalnym mieście. Wydaje się, że do tej roli najbardziej pasuje dziennikarz Kolanko grany przez Tomasza Lorka, który prowadzi śledztwo na temat *Złego*, sam staje po ciemnej stronie zachęcając swojego współpracownika, fotoreportera Kubę (dobra rola Grzegorza Margasa) do nielegalnych działań, które zakończą się dlań tragicznie. Jeśli ktoś zechce odnaleźć w dziennikarzu samego autora powieści niech

uważa, bo twórcy wyraźnie podkreślają, że umowność, skrótowość, redukcja, gra konwencjami stwarzają, co prawda możliwość, inspirują, nadają tempo, ale także mogą prowadzić w ślepy zaułek każdego, kto zbyt śmiało zechce zagłębić się w mało uczęszczane rejony rodzimego Sin City.

Skąd pomysł, aby miasto uczynić bohaterem spektaklu? I to jeszcze w odniesieniu do jego niebezpiecznych, ciemnych stron. Czy to nie jest przypadkiem tak, że niepokój, lęk przed otaczającym nas nieprzyjaznym światem musi w końcu znaleźć swój wyraz. Może nie potrafimy już zatrzymać spirali zła, przemocy, która nakręca się i z ogromną prędkością zmierza w naszą stronę sprawiając, że stajemy się nie tylko bezradni, ale coraz bardziej oddaleni, samotni. Oczekujący na kogoś, kto wyciągnie ocalającą dłoń. Tyrmand zanotował w *Dzienniku*: „Są w człowieku jakieś determinanty, które każą mu popadać w konflikty z tym co go otacza. Gdybyśmy znali ich sens, miarę, istotę, może umielibyśmy planować życie bez pomocy religii, metafizyki i coraz to nowych, zawsze ułomnych i niepewnych teorii. Ale nie znamy, zaś w tej naszej ignorancji rozum, wiara, nauki społeczne i psychologia są razem psu na budę. Wiem tylko, że moje determinanty są wyjątkowo niszczące. Ale są moje, nie mogę się ich wyrzec ani od nich uwolnić”.

Leopold Tyrmand  
*Zły*  
reż. Piotr Ratajczak  
Teatr Polski Bielsko-Biała  
premiera 3.10.2020



fot. Dorota Koperska







# ŚLĄSK

# NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:  
Anna Gaitoer

## Śląsk – Zagłębie

**KATOWICE, SOSNOWIEC.** „SPRAWA! Zagłębie 1905–1921 Śląsk” to słuchowisko muzyczno-dokumentalne o wspólnej historii Śląska i Zagłębia, które można usłyszeć podczas podróży bezpłatną linią tramwajową na trasie Teatr Śląski w Katowicach – Teatr Zagłębia w Sosnowcu. W każdą sobotę aż do 19 grudnia tramwaj będzie dowoził widzów na wybrane spektakle obu teatrów. Start spod Teatru Śląskiego – szczegółowy rozkład jazdy podany jest poniżej.

Słuchowisko jest częścią projektu Teatru Zagłębia i Teatru Śląskiego „Zagłębie lub i Śląsk, Śląsk lub i Zagłębie”, mają-

# SPRAWA!

## 1905 - Zagłębie - Śląsk - 1921

do odświeżania w bezpłatnej linii tramwajowej Teatr Śląski ↔ Teatr Zagłębia

Słuchowisko w dwóch częściach. Część I: Trasa Teatr Śląski → Teatr Zagłębia  
Część II: Trasa Teatr Zagłębia → Teatr Śląski

data	odjazd	przyjazd	spektakl w TZ	odjazd	przyjazd	spektakl w TS
	<b>Katowice,</b> PRZYSTANEK WYDZK, Teatr Śląski	<b>Sosnowiec,</b> PRZYSTANEK WOSPOLNA Teatr Zagłębia		<b>Sosnowiec,</b> PRZYSTANEK WOSPOLNA Teatr Zagłębia	<b>Katowice,</b> PRZYSTANEK WYDZK, Teatr Śląski	
11.10	17.00	17.35	Piąta Strona Światła	18.00	18.35	Rosemary
17.10	17.00	17.35	Bocini Boeing	18.00	18.35	Poioł
24.10	17.00	17.35	Pomoc dopomna	18.00	18.35	
07.11	17.00	17.35	Horror Szal	18.00	18.35	Amator 2020
14.11	17.00	17.35	Cyrylko G. Zaburzonego	18.00	18.35	Wąpłiwóć
21.11	17.00	17.35	Pamięć strumienia	18.00	18.35	
28.11	17.00	17.35	Wajazek Wania	18.00	18.35	Nieśmiertelność młodziłki
19.12	16.00	16.35		17.00	17.35	Korzenie

Występowie: Joanna Polak (Teatr Zagłębia), Przemysław Kania (Teatr Zagłębia), Grzegorz Huda (Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego), Bartłomiej Błaszczyński (Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego)

Muzyka: Ihabat, Zing, Kapela Fedaków, Dejele Puzir, Bezymierza i sennasennas, Wyjtek Zdzidek-Czarnokowal, Bezymierza dźwiękowa, Marcin Łezarczyk



Informacje o projekcie „Śląsk i Zagłębie 1905-1921” i Działalność Promocyjna projektu dostępna jest na stronie internetowej Teatru Śląskiego i Teatru Zagłębia.

patron honorowy



MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO -  
KULTURALNY



cego na celu budowanie świadomości wspólnoty obu regionów poprzez działania kulturalne. Przez Przemszą i Brynicę przebiegała najbardziej trwała w polskiej historii granica: między plemionami Wiślan i Opolan, między Śląskiem a Małopolską, między zaborem pruskim i rosyjskim, między Polską a Niemcami... Więc oprócz rzek, Śląsk i Zagłębie przez wieki dzieliła też historia. Ale do jakiego stopnia i czy na pewno? Tak bliskich sąsiadów wiele przecież musiało też łączyć. I rzeczywiście: wspólne mianowniki są liczne, a wspólnota doświadczeń wyraźna. Zwłaszcza jeśli na historię regionu spojrzymy nie ze zwyczajowego – narodowego – punktu widzenia. Wydarzenia zagłębiowskie musiały odbijać się echem na Śląsku i odwrotnie. Słuchowisko SPRAWA! skupia się na dwóch zaskakująco do siebie podobnych momentach: rewolucji 1905 roku na Zagłębiu i powstaniach śląskich. Historie Zagłębia podczas rewolucji 1905 roku i powstań śląskich w słuchowisku opowiadana jest za pomocą materiałów archiwalnych (artykułów prasowych z epoki, odezów, wspomnień oraz relacji uczestniczek i uczestników) a także piosenek, w których odbiły się tamte wydarzenia i tamten czas. W nagraniach udział wzięli Bartosz Błaszczński, Grażyna Bułka, Przemysław Kania i Joanna Połec, a więc aktorki i aktorzy dwóch teatrów: Zagłębia i Śląskiego a także na różny sposób odwołujące się do tradycji muzycznej zespoły: Fanga, Hańba!, Kapela Dejcie Pozór, Kapela Fedaków. Za scenariusz, reżyserię, miks i montaż odpowiadają Wojtek Zrałek-Kossakowski i Marcin Lenarczyk.

#### „To jest moja Matka, ta Ojczyzna” – papieski projekt Gminy Bardo

**BARDO – KOSZĘCIN.** 16 października, w 42. rocznicę rozpoczęcia pontyfikatu Papieża Polaka, odbyła się premiera projektu Gminy Bardo pt. „To jest moja Matka, ta Ojczyzna”, realizowanego z okazji 100-lecia urodzin św. Jana Pawła II. TWe wrześniu artyści chóru i baletu Zespołu „Śląsk” przez kilka dni nagrywali w Gminie Bardo telewizyjny koncert do papieskiego projektu. We wnętrzach kościoła i bardzkich plenerach rejestrowano utwory sakralne oraz pieśni i tańce ludowe pochodzące z repertuaru Zespołu „Śląsk”. Wśród nich m. in. ze sztandarowego programu „A to Polska właśnie” oraz „Santo Subito!” – dedykowanego Ojcu Świętemu. Premierowy pokaz kilkudziesięciu minutowego koncertu odbył się w Bazylice Mniejszej w Bardzie, po uroczystej mszy świętej z okazji stulecia urodzin św. Jana Pawła II. Podczas nabożeństwa poprzedzającego premierę, delegacja Zespołu „Śląsk” na czele z Dyrektorem Zespołu Zbigniewem Cierniakiem, przekazała nową szatę dla figury Madonny Bardzkiej – najstarszej rzeźby sakralnej w Polsce. Suknia подарowana na rzecz zakonu redemptorystów przez Dyrektora Zbigniewa Cierniaka, została uszyta w pracowni krawieckiej Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Okolicznościowa msza wkomponowała się w projekt pt. „To jest moja Matka, ta Ojczyzna” realizowany przez Centrum Kultury i Bibliotekę w Bardzie. Jego przewodnim celem była rejestracja koncertu w wykonaniu artystów Zespołu „Śląsk”, w różnych miejscach Barda, z utworami dedykowanymi Janowi Pawłowi II.

#### Katowice w obiektywie 2020 ZPAF

**KATOWICE.** „Rewitalizacja Katowic” to hasło tegorocznej edycji konkursu fotograficznego „Katowice w obiektywie”. „Katowice w obiektywie”, niezmiennie od jedenastu już lat organizowany jest przez Urząd Miasta Katowice we współpracy ze śląskim oddziałem Związku Polskich Artystów Fotografików, którego członkowie wspierają projekt swoją wiedzą, doświadczeniem, a bez wątpienia także fotograficznym zmysłem i talentem. Hasło tegorocznej edycji nawiązuje do te-



foto: Metropolia GZM

matyki Światowego Forum Miejskiego (World Urban Forum – WUF), którego Katowice będą gospodarzem za dwa lata. To prestiżowa międzynarodowa konferencja, której myślą przewodnią są zagadnienia polityki miejskiej z zakresu transformacji i rozwoju miast.

Spośród zgłoszonych do konkursu prac komisja, składająca się z przedstawicieli ZPAF-u oraz Wydziału Promocji Urzędu Miasta, wybierze 30 prac, które jako wyróżnione pojawią się na grudniowej wystawie w należącej do Związku Galerii Katowice. Nagrodą główną natomiast, podobnie jak we wcześniejszych edycjach, jest publikacja nagrodzonego zdjęcia w kalendarzu miejskim na 2021 rok. Jurorzy wskażą również trzy fotografie, których autorzy otrzymają nagrody specjalne – dwie pieniężne i, wzorem lat ubiegłych, zaproszenie do udziału w warsztatach fotograficznych prowadzonych przez ZPAF.

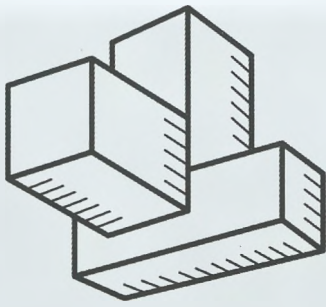
#### Konkurs dla Twórców Nieprofesjonalnych im. Pawła Wróbla w Szopienicach

**SZOPIENICE-GISZOWIEC.** Miejski Dom Kultury „Szopienice-Giszowiec” w Katowicach organizuje wystawę retrospektywną laureatów Ogólnopolskiego Konkursu dla Twórców Nieprofesjonalnych im. Pawła Wróbla w Szopienicach z lat 1990–2019. Od 1990 roku Ogólnopolski Konkurs Plastyczny dla Twórców Nieprofesjonalnych sygnowany imieniem Pawła Wróbla odbywa się w Szopienicach, a organizatorem jest Miejski Dom Kultury „Szopienice-Giszowiec” w Katowicach oraz Urząd Miasta Katowice. Od tego momentu konkurs na stałe wpisał się w kalendarium imprez kulturalnych na Śląsku, a zarazem zagościł w Filii nr 1 Miejskiego Domu Kultury „Szopienice-Giszowiec” przy ulicy Obrońców Westerplatte 10, w której co roku pod koniec października organizowany był wieczór finałowy połączony z wernisażem wystawy pokonkursowej – powstałej z nadesłanych prac twórców nieprofesjonalnych, uprawiających malarstwo oraz rzeźbę. W 2020 roku niestety sytuacja pandemiczna pokrzyżowała plany organizacji jubileuszu 30-lecia konkursu, nie mniej jednak organizatorzy dzięki wielkiemu wsparciu kolekcji Barw Śląska Pana Stanisława Gerarda Trefonia a także prywatnych zbiorów uczestników nagrodzonych przez ostatnie lata, podjęli się wyzwania zorganizowania wystawy upamiętniającej laureatów związanych z konkursem im. Pawła Wróbla.

#### Reżyser Paweł Wilkołek i historyczka sztuki Irma Kozina propagują kulturę w sieci

**KATOWICE.** W ramach uruchomionego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego programu „Kultura w sieci” krakowski reżyser Paweł Wilkołek oraz katowicka historyczka sztuki Irma Kozina przygotowali pięć filmów dokumentalnych, których tematem są wybrane przez nich zagadnienia z zakresu planowania przestrzen-





# SZTUKA I DIZAJN

w XX i XXI w. – cykl filmów edukacyjnych

nego, architektury i dizajnu. Projekt nosi nazwę: „Sztuka i dizajn w XX i XXI wieku – cykl filmów edukacyjnych”. Jako pierwszy zrealizowany został dokument śledzący dzieje dawnego ogrodu jordanowskiego przy ulicy



Barbary w Katowicach. Wątek ten powiązano z kwestią obrony Katowic w trakcie inwazji niemieckiej we wrześniu w 1939 roku, jakkolwiek główny nacisk położono na architekturę modernistycznego pawilonu, zaprojektowanego przez warszawskiego architekta Kazimierza Wędrowskiego. W najbliższym czasie powstaną kolejne filmy, badające historię pierwszej maszyny parowej inicjującej rewolucję przemysłową na Górnym Śląsku, a także kwestię kontrowersji wokół koncepcji Miasto-Ogród (zaniegowany zostanie związek rozważań Ebenezera Howarda z założeniem kolonii robotniczej w Giszowcu), specyfikę powiązań pomiędzy architekturą i akustyką współczesnych gmachów filharmonii i rewolucję w zakresie dizajnu zainicjowaną projektami ceramicznymi Lubomira Tomaszewskiego. W chwili obecnej patronat medialny nad projektem sprawują: „Gazeta Wyborcza Katowice”, „Architektura-Murator”, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” oraz internetowe pismo o dizajnie „Formy”.

Filmy dostępne będą na stronie internetowej projektu: [www.szukadizajn.com](http://www.szukadizajn.com)

## Zarząd województwa śląskiego przyjął projekt uchwały budżetowej

**KATOWICE.** Opublikowano uchwałę Zarządu Województwa w sprawie przyjęcia projektu uchwały budżetowej Województwa Śląskiego na 2021 rok, w której przewiduje się przeznaczenie na sfinansowanie potrzeb świata kultury (dział 921: Kultura i ochrona dziedzictwa narodowego) w roku 2021: 223 068 000 złotych. W tym

dla teatrów: 41 032 239, filharmonii, orkiestr, chórów i kapel: 15 328 600, domów i ośrodków kultury, świetlic i klubów: 5 650 000, bibliotek: 25 874 500, muzeów 56 203 172, na ochronę zabytków i opiekę nad zabytkami 27 872 552. Środki te przeznaczone są na sfinansowanie potrzeb instytucji kultury których organizatorem jest województwo śląskie.

## Zmiana na stanowisku Dyrektor Muzeum Powstań Śląskich

**KATOWICE.** Zarząd Województwa Śląskiego w swej uchwale z dnia 23.10.2020 r. wyraził zgodę na odwołanie Pani **Haliny Biedy** ze stanowiska dyrektora Muzeum Powstań Śląskich i zaakceptował powierzenie Pani **Iwoni Szopie** pełnienia obowiązków dyrektora Muzeum Powstań Śląskich do czasu powołania dyrektora tej instytucji, na okres nie dłuższy niż rok.

## Oświadczenie Rady Miasta Katowice

**KATOWICE.** Rada Miasta Katowice wydała Oświadczenie w którym czytamy m. in.: „Pandemia COVID-19 jest jednym z największych wyzwań ostatnich dekad. Dotyka także nas – mieszkańców Katowic. W wielu domach pojawił się strach przed chorobą. Lęk przed społecznymi i ekonomicznymi skutkami epidemii. Obawa przed utratą pracy. Lęk seniorów żyjących samotnie w izolacji. W tak trudnej sytuacji kluczowym obowiązkiem rządzących, polityków wszystkich ugrupowań i samorządowców jest dobra współpraca. Cel: ratowanie zdrowia i życia ludzi. Troska o bezpieczeństwo. Z tych powodów, jako Radni Rady Miasta Katowice negatywnie oceniamy czas, w którym zapadło orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z dnia 22 października 2020 roku. Tak ważnej, szczególnie dla kobiet decyzji nie podejmuje się w czasie szalejącej pandemii, która zagraża naszemu zdrowiu i życiu. Jako radni wywodzący się z różnych ugrupowań politycznych i samorządowych, reprezentujący rozmaite stanowiska światopoglądowe, jesteśmy zaniepokojeni też konfliktami, które mogą doprowadzić do niedających się zakopać podziałów. Z dezaprobatą oceniamy każdą próbę podsycania niechęci wobec ludzi i grup społecznych, które w demokratycznym państwie mają prawo do wyrażania własnych przekonań. Jednocześnie chcemy zapewnić, że filarami, na których budujemy nasze miasto, jest poszanowanie drugiego człowieka oraz wolność słowa. Rozumiemy wzburzenie i emocje tysięcy katowiczek i katowiczów wychodzących na ulice miasta. Katowice są świadkiem największych demonstracji od wielu lat. Dziękujemy uczestnikom „miejskich spacerów” oraz funkcjonariuszom policji za pokojowy, bezpieczny i spokojny przebieg protestów. Zwracamy się z prośbą do wszystkich o respektowanie swoich przekonań. Niszczenie mienia publicznego, prywatnego, miejsc kultu religijnego nie powinno mieć miejsca. Jako Radni, ale też jako mieszkańcy i mieszkańcy Katowic zabieramy głos, bo w tak ważnej dla naszej społeczności chwili nie można milczeć. Z przekonaniem, że nasz głos jest świadectwem, iż trzeba szukać tego, co ludzi łączy, a nie tylko tego, co dzieli. Dla naszego wspólnego dobra”.

## „Zasłużony dla Miasta Katowice”.

**KATOWICE.** Rada Miasta Katowice postanowiła na wniosek Prezydenta Miasta Katowice Pana Marcina Krupy i Przewodniczącego Rady Miasta Katowice Pana Macie-



ja Biskupskiego przyznać Teatrowi Korez tytuł honorowy „Zasłużony dla Miasta Katowice”.

Zdaniem wnioskodawców Teatr Korez jest jednym z dwóch teatrów repertuarowych w Katowicach, który wnosi do pejzażu kulturalnego miasta program teatralny na najwyższym poziomie, a przy tym potrafi rozbać każdego widza. Jako pierwszy śląski teatr wystąpił na deskach Starego Teatru w Krakowie, a sam Bogusław Schaeffer wybrał korezowski „Kwartet dla 4 aktorów” na swój światowy festiwal. Od początku swego istnienia Korez prowadzi edukację teatralną przeznaczoną dla młodzieży licealnej.

Międzynarodowy Festiwal Teatrów A Part Marcina Hericha od wielu lat prezentuje na scenie Teatru autorskie i poszukujące spektakle kameralne. Od 2004 roku Kabaret Długi, czyli Jacek Łopot i Piotr Skucha, prowadzą w Korezie swą comiesięczną Kabaretową Scenę Trójki, czyli wieczory kabaretowe w dobrym, dawnym stylu. Teatr Korez stał się również miejscem przyjaznym wielu sztukom. Jego scena była miejscem cyklicznych prezentacji fotograficznych, koncertów piosenki poetyckiej i turystycznej (cykl „W górach jest wszystko co kocham”) projekcji filmowych (m. in. kolejne cykliczne projekcje Festiwalu Filmów Kultowych/Festiwal Filmów Cropp Kultowe, np. „najgorsze filmy świata”), a także wielu autorskich spotkań literackich. Letni Ogród Teatralny od 1998 roku, na scenie w podcieniach Centrum Kultury Katowice, we wszystkie weekendy lipca i sierpnia prezentuje tłumnie przychodzącej publiczności – swemu jednemu jurorowi – spektakle teatralne i kabaretowe w nieco lżejszej formule, choć z zachowaniem wysokiego poziomu artystycznego, gwarantowanego przez najlepszych polskich (i nie tylko) wykonawców.

Katowicki Karnawał Komedii, którego pierwsza edycja odbyła się w styczniu 2008 r., przez dziesięć zimowych dni pozwala publiczności zabawić się, jak na karnawał przystało, w sposób lekki, łatwy i przyjemny. Przy padająca w 2020 roku trzydziesta rocznica założenia Teatru Korez stanowi doskonałą okazję do podsumowania Jego dotychczasowych dokonań i przyznania przez Radę Miasta Katowice tytułu honorowego „Zasłużony dla miasta Katowice”.

## Odrzucona petycja

**KATOWICE.** Rada Miasta Katowice postanowiła nie uwzględnić petycji Pana Pawła Czyży – Członka Zarządu Głównego Zjednoczenia Chrześcijańskich Rodzin z dnia 22 lipca 2020 r. w sprawie nagrywania i udostępniania na stronie internetowej Urzędu Miasta Katowice i Biuletynie Informacji Publicznej nagrań dźwiękowych wszystkich posiedzeń Komisji Rady Miasta Katowice.

Rada stwierdziła w uzasadnieniu swojego stanowiska, że obowiązujące przepisy prawa nie stwierdzają, aby posiedzenia komisji rady gminy obligatoryjnie urzędowo były nagrywane, a same nagrania publikowane na stronach internetowych urzędów gmin. Przepis § 35 ust. 4 Regulaminu Rady Miasta Katowice stanowiącego załącznik nr 3 do Statutu miasta Katowice przewiduje z kolei, iż z posiedzenia komisji Rady Miasta Katowice winien być sporządzony protokół, który podpisuje prowadzący obrady. Materiały audiowizualne lub teleinformatyczne są źródłem informacji publicznej z tych posiedzeń jedynie w wypadku, gdy: 1) protokół nie został sporządzony i 2) o ile materiały te w pełni rejestrują obrady. Skoro ustawa nie nakłada obowiązku nagrywania przebiegu posiedzeń, to nie nakłada również obowiązku udostępniania nagrań. Realizacja celu, jakim jest dostęp do informacji publicznej następuje przez dostęp do protokołu.

Z kolei NSA w wyroku z dnia 29 listopada 2017 r. (I OSK 1463/17) podkreślił, iż materiały audiowizualne lub teleinformatyczne rejestrujące obrady kolegialnych organów władzy publicznej, pochodzących z powszechnych wyborów, podlegają udostępnieniu niezależnie od tego, czy zostały sporządzone i udostępnione protokoły lub stenogramy z tych obrad – jeżeli obowiązek sporządzenia materiałów audiowizualnych lub teleinformatycznych przewidują przepisy prawa np. statutu gminy. Jeżeli zaś przepisy nie wymagają sporządzenia materiałów audiowizualnych lub teleinformatycznych z obrad, wówczas materiały te stanowią materiały wewnętrzne, pomocnicze, niepodlegające udostępnieniu w trybie ustawy o dostępie do informacji publicznej. Jest to wówczas materiał roboczy, który – jak wskazał Trybunał Konstytucyjny czy Naczelny Sąd Administracyjny – podlega wyłączeniu z szerokiego zakresu przedmiotowego informacji publicznej. W takim przypadku nagranie audiowizualne czy teleinformatyczne służy jedynie zgromadzeniu niezbędnych materiałów do sporządzenia protokołu czy stenogramu. W Katowicach dokumentami obrazującymi przebieg posiedzeń komisji Rady Miasta Katowice i posiadającymi wymiar oficjalności są protokoły, których projekty są również udostępniane publicznie.

## Program współpracy miasta Katowice z organizacjami pozarządowymi

**KATOWICE.** Rada Miasta Katowice przyjęła „Program współpracy miasta Katowice z organizacjami pozarządowymi na 2021 rok”. Realizacja zadań publicznych przy udziale organizacji pozarządowych w znaczący sposób wpływa na poprawę warunków życia mieszkańców Katowic oraz na rozwój naszego miasta. Program określa zasady, zakres i formy współpracy miasta Katowice z trzecim sektorem, a także priorytetowe zadania publiczne, których realizacja związana jest z ich finansowaniem lub dofinansowaniem z budżetu miasta Katowice. Rada Miasta Katowice przyjmując niniejszy dokument, deklaruje wolę kontynuowania współpracy z organizacjami pozarządowymi. Współpraca oparta jest na zasadach wzajemnego zaufania z wykorzystaniem najlepszych praktyk w zakresie komunikacji i partycypacji. Program wyodrębnia cele szczególne, m. in.:

- wspieranie działań miasta w zakresie diagnozowania i rozwiązywania oraz identyfikowania potrzeb mieszkańców, w tym problemów wynikających z zagospodarowania i kształtowania przestrzeni miejskiej,
- budowanie społeczeństwa obywatelskiego,
- wzmocnienie pozycji organizacji pozarządowych we współrealizacji zadań publicznych przez powierzenie i wspieranie realizacji tych zadań,
- promocja organizacji pozarządowych działających w mieście,
- stworzenie przyjaznego środowiska dla tworzenia i funkcjonowania organizacji pozarządowych – współudział organizacji pozarządowych w realizacji polityk miejskich, w szczególności polityki kulturalnej, polityki zdrowotnej, rekreacji i popularyzacji aktywności fizycznej, polityki ekologicznej, przeciwdziałania ubóstwu i wykluczeniu oraz polityki rowerowej.

## Kasyno w Katowicach

**KATOWICE.** Rada Miasta Katowice postanowiła pozytywnie zaopiniować lokalizację kasyna gry w budynku przy Al. Korfantego 9 w Katowicach dla Astrella Sp. z o. o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Jubilerskiej 10.



# Ich dwoje

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Anna Kielar-Długosz i Łukasz Długosz

fol. E. Długosz

Z wykonawczego punktu widzenie polska muzyka współczesna „stoi fletem”. Jeśli chodzi o inne instrumenty, np. obój, klarnet, fagot, trąbkę, puzon, altówkę – wybrałem tak na łapu capu – ze świecą szukać by większej grupy nieprzeciętnych solistek i solistów reprezentujących dany instrument. Zdarzają się wyjątki takie jak oboiści Kazimierz Dawidek i Mariusz Pędziałek, obaj reprezentujący najwyższy poziom światowy, ale ja bym chciał... więcej! Jako kompozytor, który napisał niemal więcej muzyki saksofonowej, niż dotychczas w sumie stworzono w Polsce na ten instrument, wielkie nadzieje wiąże ze środowiskiem saksofonistek i saksofonistów, acz myślę, iż najlepsze jeszcze przed nimi.

Pianistek i pianistów mamy, mówiący wprost, całą hordę (chyba dlatego, że łatwiej prawidłowo nacisnąć klawisz niż strunę), ale przecież bardzo niewielu z nich grywa Nową Muzykę, a jeszcze mniej gra tę Nową Muzykę jak należy. Na placu boju pozostają więc flecistki i fleciści. Z jednej strony uznane znakomitości – niektóre z tych osób już nie prowadzą działalności koncertowej – takie jak Elżbieta Gajewska, Agnieszka Kaćma, Joanna Kotnowska, Barbara Świątek (od której zaczyna się historia polskiej współczesnej muzyki fletowej), Krzysztof Langman (jako członek legendarnego Ensemble MW2 jeden z współtwórców potęgi muzyki polskiej), Grzegorz Olkiewicz, Jerzy Sojka, Andrzej Staciwa, Krzysztof Zgraja (czterej ostatni z naszego regionu!), z drugiej ci, którzy do głosu doszli na przełomie stuleci albo w pierwszych dekadach XXI wieku. Tutaj należałoby wymienić zamieszkałą w Grecji Iwonę Glinkę, krakowiankę Renatę Guzik i kilkoro innych.

Wśród tych ostatnich, od których zależy będzie rozwój nowoczesnej twórczości fletowej na rodzimym gruncie w nadchodzących czasach, uwagę moją przykuwa dwoje niecodziennych muzyków, których niewątpliwe talenty połączone z ciężką a owocną pracą na polu wykonawstwa, pedagogiki i popularyzacji twórczości fletowej plasują ich wśród europejskiej elity: Anna Kielar-Długosz oraz jej małżonek Łukasz Długosz.

Zacznijmy może od ich działalności popularyzatorskiej. Absolwenci czoło-

wych uczelni zachodnich, wielokrotnie nagradzani za swe poważne już osiągnięcia, wręcz idealnie wpisują się w tok polskiego życia muzycznego w dziedzinie promocji; ich projekty popularyzatorskie stanowią model do naśladowania. Mnie się szczególnie podoba seria „recitali” dostępnych w serwisie YouTube, a poświęconych najważniejszym okresom muzyki fletowej, od baroku do dnia dzisiejszego. Oto wespół z tytananami klawesynu, Markiem Toporowskim i fortepianu, katowiczanie Andrzejem Jungiewiczem, wyprodukowali serię wysoce poglądowych programów wideo, które przybliżają w sposób prosty, czytelny i artystycznie ujmujący historię muzyki fletowej oraz proces rozwojowy samego instrumentu. Wraz z Jamesem Galwayem (ale nie Jeanem-Pierrem Rampalem!) widzę ich oboje w niewielkiej grupce tych, którzy mogą grać tę muzykę na instrumentach współczesnych. Nie będąc snobem, zdecydowanie wolę interpretacje historyczne, tzn. interpretacje przy użyciu dawnych, odrestaurowanych instrumentów lub ich replik, niż granie na dzisiejszych instrumentach. Szczerze mówiąc, zachęcam Państwa do posłuchania fortepianowych dzieł Mozarta w wykonaniu genialnego Rosjanina, Aleksieja Lubimowa, grającego na instrumentach oryginalnych albo *Symfonii fantastycznej* Berliozą wykonanej przez Orchestra of the Age of Enlightenment pod dyrekcją Sir Rogera Norringtona, z serpentem, ofiklejdą, naturalnymi trąbkami i rogami itp., iżby w pełni zrozumieć o czym mówię. Porywa przede wszystkim przepiękna, „wokalna” barwa instrumentów dętych drewnianych, ale i blaszanych. Co jest w tym czarowne to to, że gęste faktury Berliozą brzmią przejrzysto; w wykonaniach na instrumenty współczesne ta przejrzystość najczęściej ginie, zastąpiona tym, co w odniesieniu do muzyki Wagnera mówił Debussy: „to muzyczny tynek”. Schubert grany na Steinwayu brzmi, dla mnie przynajmniej, beczkowo; inaczej zupełnie brzmią jego „dłużyny” na instrumentach z epoki: to cudowna, kolorowa, emocjonująca muzyka!

Długoszowie przekonali mnie, że odpowiednie, subtelne użycie instrumentów najnowszej konstrukcji wcale nie zniekształca muzyki dawnej – i za to (jak Galwayowi) jestem im

wdzięczny. Z tym, że tylko niewiele, moim zdaniem, potrafi to robić. Oni potrafią.

Od baroku do XXI stulecia Długoszowie grają jak natchnieni. Zachwycają intonacją, frazowaniem, zrozumieniem intencji kompozytorów i, w rezultacie, ponadczasowa ekspresja. Ich interpretacje to prawdziwe skarby muzyczne, których wspólne odkrywanie uszlachetnia nie tylko muzyków, ale przede wszystkim nas, słuchaczy i słuchaczki i słuchaczki. Nie wyobrażam sobie piękniejszej ofiary na ołtarzu sztuki niż to, co dają nam Długoszowie.

Ich interpretacje utworów najnowszych, jak np. *L-Sonaty* na dwa flety i klawesyn wrocławianki Grażyny Pstrokońskiej-Nawratil, są, powiedziano wprost, fantastyczne. W ich wykonaniach właściwie każdy nowy utwór brzmi jak podniecające zaproszenie do podróży dźwiękowej, która wiedzie nas w stronę nieznanego, ale nieznanego ciepłem przekazywanych nam nowych prawd. To jest rewelacja, albowiem przytłaczająca większość aktywności na rzecz Nowej Muzyki ogniскуje się w udowadnianiu, że Nowa Muzyka nie jest okropna. Długoszowie nie tracą czasu na takie podejście, oni nam pokazują, że Nowa Muzyka jest piękna. Ileż talentu, determinacji, morderczej pracy to zabiera, wiedzą tylko nieliczni. Co wszakże czyni muzyków jak Długoszowie wyjątkowymi, to ich fanatyczny entuzjazm, Boży talent i najradsze umiejętności.

Może się kiedyś zmęczą, może osiada na laurach życia akademickiego, może im będzie – bo przecież muszą się zmagać z wrogością – wszystko jedno. Ja jednak myślę, iż zbyt dużo w nich pozytywnej energii, by powiedzieć sobie: dosyć! Zawsze tzw. życie wchodzi w paradę, ale mamy mnóstwo przykładów artystek i artystów, którzy godzą życie ze sztuką. Są oni wytrwałymi apostołami piękna, skroś przeciwnieństw, skroś zawiści i zazdrości – i tej wytrwałości Annie i Łukaszowi życzę. Oby tak dalej, kochani!







35167411

